BIJEMY NA ALARM!
SKANDYNAWOWIE I BAŁTOWIE WZMACNIAJĄ SIŁĘ ODSTRASZANIA. A CO ROBIMY MY? PISZĄ BUDZISZ, ROKITA, KOŁODZIEJSKI

POSŁUSZEŃSTWO, KTÓRE KATOLICY SĄ WINNI PAPIEŻOWI, MA GRANICE – MÓWI NAM KARD. GERHARD MÜLLER

FENOMEN ROSYJSKIEGO SERIALU „SŁOWO PACANA. KREW NA ASFALCIE"

DAVOS: ZLOT WŁAŚCICIELI ŚWIATA, NA KTÓRYM FORMATUJĄ NAM ŻYCIE

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
5 (583) 2024
29 stycznia – 4 lutego 2024
CENA: 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

MARIUSZ KAMIŃSKI I MACIEJ WĄSIK W EKSKLUZYWNYM WYWIADZIE UJAWNIAJĄ, JAKA JEST

PRAWDA O ICH UWIĘZIENIU

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269403 05

NARODOWY BANK POLSKI

NBP

W 2023 r. NBP w imieniu wszystkich Polaków kontynuował zakupy złota, powiększając zasoby kruszcu o 130 ton do niemal

360 ton

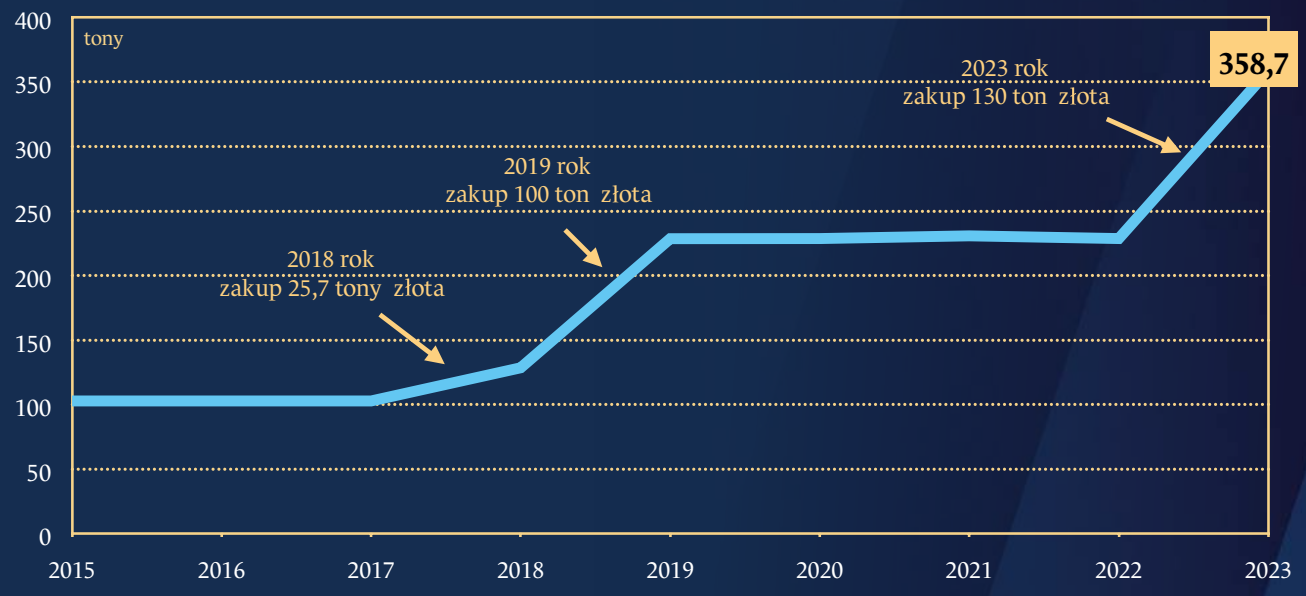

Źródło: dane NBP.

Większe bezpieczeństwo systemu finansowego, to większe bezpieczeństwo Polaków.

nbp.pl

eprasa.pl b1262a55b7

Teraz zaatakują prezydenta

Sprawiedliwość i prawo zwyciężyło. Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik zostali wypuszczeni z więzienia po ułaskawieniowej interwencji prezydenta Andrzeja Dudy, dwutygodniowych protestach przed aresztami i apelach żon uwięzionych posłów PiS. Ale bezprawie trwa! Adam Bodnar, który pewnie dawno już zakopał legitymację „rzecznika praw obywatelskich", nie rekomendował wypuszczenia więźniów politycznych, jego obóz z lubością nazywa ich przestępcami, a Hołownia zapowiada, że zabarykaduje przed nimi Sejm! Agresja władzy niebezpiecznie rośnie. Patologiczna zemsta stała się główną osią jej działań. A to oznacza, że ta wojna dopiero się zaczyna.

Nie było dotąd tak zmasowanego hejtu, jaki wylewa się teraz na byłych ministrów ukaranych więzieniem za walkę z korupcją, rozgrywającą się za rządów ich politycznych konkurentów. Jeszcze większy hejt dotyka prezydenta, który ułaskawił niewinnie skazanych posłów PiS. Na oficjalnych profilach marszałka Sejmu i polityków Koalicji Obywatelskiej czytamy, że to przestępcy. Inne wpisy są tak obrzydliwe, że pozwolę sobie ich nie przytaczać. Ale sprawa nie rozgrywa się jedynie w przestrzeni wirtualnej, choć na poziomie internetowych trolli. Została przeniesiona do realu, i to tego najtwardszego – parlamentarnego.

Szymon Hołownia powtarza, że Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik nie są posłami. Że ich mandaty skutecznie wygasił, karty dostępu zablokował i wydał decyzję o niewydawaniu im przepustek czasowych! I żadna prawna wykładnia nie ma dla niego znaczenia. Zapomniał już o konstytucji, nad którą płakał. Nie interesuje go także decyzja Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN, która uznała, że wygasił mandaty bezprawnie, ani stanowisko Pierwszej Prezes Sądu Najwyższego, która potwierdza, że obaj politycy nadal mają ważne, demokratyczne mandaty poselskie. Nie bierze również pod uwagę licznych głosów konstytucjonalistów, którzy jednoznacznie przyznają, że Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik nadal są posłami na Sejm Rzeczypospolitej!

Demokracja jest dla koalicji 13 grudnia jedynie frazesem, wytrychem niezbędnym do włamów, które podejmują każdego dnia rządów Tuska. Siłą włamali się do TVP, do Polskiego Radia, do pałacu prezydenckiego w celu uprowadzenia posłów, do Prokuratury Krajowej. Mistrz socjotechniki Donald Tusk potrafi, patrząc dziennikarzom w oczy, uzasadniać te antydemokratyczne działania, podobnie jak jego pułkownik delegowany do operacji „kultura" – Bartłomiej Sienkiewicz. Decyzje urzędników i sądów nie stanowią dla nich żadnej przeszkody, ustawy nie wyznaczają kierunku postępowania, a konstytucja nie ma mocy zatrzymania bezprawia.

Ostatnie tygodnie pokazują, że ludzie Tuska nie znają granic ani prawa, ani przyzwoitości. Chcą zastraszyć opozycję, manifestując bezwzględną siłę. Nie poprzestają na hejcie i kłamstwach. Zdecydowali się na działania przemocowe, upokarzające, wręcz upadlające wobec ministra Mariusza Kamińskiego. Decyzja sądu o złamaniu jego protestu głodowego za pomocą sondy (o czym opowiada w wywiadzie na str. 20–27), skrępowanie go pasami i zadawanie bólu w chwili, gdy decyzja o ułaskawieniu była już znana, to przecież okrucieństwo i dehumanizacja.

Oni naprawdę są zdolni do wszystkiego i nie cofną się przed niczym. Mamy rząd, który próbuje ustanowić prawdziwy reżim. I nie ujmie się za Polską żadne międzynarodowe ciało, żadna unijna instytucja. Ich celem jest wdrożenie reżimu Tuska w tempie natychmiastowej wykonalności. Mamy przed sobą nie tylko reset z Rosją. Mamy reset Polski. To tylko kwestia czasu. Potrzeba wielkiej jedności wszystkich sił konserwatywnych, wspólnego działania prawicy i jasno wyrażonego sprzeciwu społecznego. Przed nami potężny atak. Instytucje publiczne już zostały przejęte. Teraz głównym wrogiem jest prezydent Andrzej Duda. Atak już ruszył. Obyśmy zatrzymali go w porę.

Marzena Nykiel

Reklama | 36/0124/F

eprasa.pl b1262a55b7

SIECI

spis treści

28 Upadek profesury
Stanisław Janecki

32 Hodowla analfabetów?
Dorota Łosiewicz

45 Europa bez granic?
Aleksandra Rybińska

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **KAMIENI KUPA**
Krzysztof Feusette

9 **PAŁAC POD OSTRZAŁEM**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **PROKURATURA CZY PROWOKATURA?**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

13 **HISTERIA I CYNICY**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA ANETY BARCIK**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **KONSERWATYZM GÓRĄ?**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **DO KOŃCA 2024 r. CHCĄ SIĘ GO POZBYĆ**
Samuel Pereira

19 **MILIONY PROBLEMÓW**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

20 **Z MARIUSZEM KAMIŃSKIM I MACIEJEM WĄSIKIEM**
rozmawiają Marek Pyza i Marcin Wikło

KRAJ

28 **UPADEK PROFESURY**
Stanisław Janecki

32 **HODOWLA ANALFABETÓW?**
Dorota Łosiewicz

EUROPA W CIENIU WOJNY

36 **POLSKA ZAMIAST ZWIĘKSZAĆ, OSŁABIA SIŁĘ ODSTRASZANIA**
Marek Budzisz

39 **MY, POKOLENIE PRZEDWOJENNE**
Jan Rokita

42 **PSYCHOZA WOJNY**
Konrad Kołodziejski

ŚWIAT

45 **EUROPA BEZ GRANIC?**
Aleksandra Rybińska

48 **ZLOT WŁAŚCICIELI ŚWIATA**
Dariusz Matuszak

50 **50 DNI PREZYDENTA ARGENTYNY**
Małgorzata Wołczyk

OPINIE

53 **Z KARD. GERHARDEM LUDWIGIEM MÜLLEREM**
rozmawia Goran Andrijanić

56 **CZAS UMYSŁOWEGO REGRESU**
Jan Parys

59 **CHŁOPCY NIE PRZEPRASZAJĄ**
Maciej Walaszczyk

62 **JEZUS NA ŁAWIE OSKARŻONYCH**
Grzegorz Górny

SIECI KULTURY

77 **W MEDIALNYM ŚWIECIE**
Jolanta Gajda-Zadworna

80 **ANIOŁEK I KAKTUS**
Robert Tekieli

81 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

82 **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

PODRÓŻE

92 **MOJE SZLAKI: GOSIA NEALON**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

93 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

94 **ZATRZYMAĆ PSUCIE PAŃSTWA**
Wojciech Reszczyński

96 **REWOLUCJA PROSTAKÓW**
Aleksander Nalaskowski

97 **FANTAZJA STYCZNIOWA**
Leszek Długosz

98 **RZECZNICY ZŁEJ ZMIANY**
Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja

eprasa.pl b1262a55b7

NOWA TELEWIZJA

W POLSCE PL

W CENTRUM WYDARZEŃ

LIVE!

CODZIENNIE OD 9:00

» Informacje » Komentarze » Analizy

OGLĄDAJ NAS

polsat box
wcześniej Cyfrowy Polsat
NA POZYCJI 196

NETIA
NA POZYCJI 192

vectra
NA POZYCJI 825

PLAY
dawniej UPC
NA POZYCJACH 339 dekoder Mediabox 121 dekodery KAON i Horizon

www.wPolsce.pl

eprasa.pl b1262a55b7

Sygnalista nadaje

Uzurpatorskie władze TVP pracowicie wyliczają i rzucają publice, ile rzekomo zarabiali ci, których policyjną pałką nielegalnie przegoniono z pracy. Wyliczenia mocno wątpliwe, sumujące rzeczy, których sumować nie wolno, podawane za długie okresy, by zrobić wielkie wrażenie. Piętnowani w ten sposób ludzie właściwie nie mogą się bronić, bo każde słowo oznacza przedłużenie upokarzającej i zwyczajnie niebezpiecznej dla człowieka debaty o jego osobistych pieniądzach. Jednocześnie zapytane o to, ile płacą wybrańcom reżimu Tuska wwiezionym do studia TVP przez policyjne suki, np. Markowi Czyżowi, zasłaniają się ustawami o ochronie danych osobowych. Oto prawo „jak my je rozumiemy" w działaniu. Swoją drogą, patrząc na to, co się wyrabia na antenie, tym starym warto było płacić jeszcze więcej, a ci nowi powinni dopłacić, bo zniszczyli dobrą telewizję.

Mieniący się likwidatorem TVP Daniel Gorgosz wysłał do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji pismo z żądaniem przekazania wpłat z abonamentów w kwocie 38,7 mln zł. „W skrócie: nie istnieje taka firma, a p. Gorgosz nie reprezentuje Telewizji Polskiej SA" – napisał na platformie X (d. Twitter) Maciej Świrski, odnosząc się do użytego przez Gorgosza określenia „TVP S.A. w likwidacji". Szef KRRiT wystosował także do Gorgosza oficjalną odpowiedź, ale ta pierwsza wystarcza za tony dokumentacji. Nikt tego dotąd nie ujął.

Były wicepremier i minister kultury ***prof. Piotr Gliński*** zerknął, co się wyrabia w zajmowanych przez samozwańczego likwidatora Gorgosza i płk. Sienkiewicza studiach TVP. „Przypadkowo włączyłem ukradzioną Polakom TV Sienkiewicza: debatę publicystów prowadzi pan z TVN, uczestniczą przedstawiciele »Krytyki Politycznej« (Soros), »Polityki« (d. organ KC PZPR), p. Siekielski i p. Chrabota z zamordowanej przez Tuska »Rzepy«. Pełny pluralizm opinii. Muszą?" – zapytał. Naszym zdaniem chcą. Tak wyobrażają sobie świat, o to chodziło: na każdej antenie ten sam przekaz. Szkoda tylko tych, co uwierzyli, iż oni się martwią o wolność i Polskę.

Bez wstydu straszą, że to dopiero początek. „Nastrój elektoratu wydaje mi się jasny: 8 lat z nas szydzili i śmiali się nam w twarz. Dosyć tego. Jechać z nimi!" – grzmi ***Tomasz Lis***. W kolejnych wpisach postuluje szukanie sposobu na szybkie usunięcie prezydenta z urzędu, a w jeszcze innych – przymuszony przez sąd – informuje, iż „toczy się przeciw mnie z powództwa Samuela Rodrygo Pereiry postępowanie cywilne o naruszenie dóbr osobistych". Przyjemniaczek nazwał publicystę Samuela Pereirę „portugalskim znajdą" i nie znalazł w sobie minimum przyzwoitości, by przeprosić. Panie, strzeż nas od medialnych bojowników z rasizmem, bo zaraz się zaczną lincze, nie tylko medialne.

Niemieckie media nie ustają w pochwałach dla premiera i jego ministrów, przedstawiając ich bezprawne działania jako „kontrowersyjne, ale uzasadnione". Wiadomo, nad Polaczkami da się zapanować tylko pałką i knutem. Dobrze z niemieckiego punktu widzenia, iż znaleźli się tacy, którzy się tego podjęli. W podzięce niemiecki

eprasa.pl b1262a55b7

dziennik „Frankfurter Allgemeine Zeitung" wysmażył portret pułkownika-ministra Bartłomieja Sienkiewicza, który – jak czytamy – „prowadzi wojnę z PiS". Niemiecki czytelnik dowiedział się m.in., że „tuż przed świętami Bożego Narodzenia zdecydowanym, ale prawnie kontrowersyjnym posunięciem wyrwał PiS kontrolę nad mediami publicznymi. Za rządów PiS były to kanały propagandowe, w których szkalowano i zalewano nienawiścią przeciwników prawicy". Według gazety „od przewrotu Sienkiewicza telewizja publiczna znów relacjonuje obiektywnie, ale jego walka nie jest jeszcze wygrana". Ten tekst to najlepszy drogowskaz, gdzie powinien dziś stać porządny Polak.

Np. pod murami i płotami zakładów karnych, gdzie przetrzymywano więźniów politycznych i gdzie, biorąc pod uwagę słowa Tuska i działania jego ludzi, mogą się pojawić kolejni. Reporter telewizji wPolsce.pl (zapytają państwo swojego operatora kablowego o tę ciekawą nową stację) zauważył znamienną scenę w Przytułach Starych, gdzie trzymano Macieja Wąsika. Już po zakończeniu demonstracji patrol policji sprawdzał, czy wszyscy się rozeszli. Było bardzo zimno. Kilka osób podeszło do policjantów i padły słowa: „Dziękujemy za waszą służbę". Jakiż kontrast z pluciem na policjantów i wyzywaniem policjantek w trakcie demonstracji byłej opozycji. Inna cywilizacja.

Ze ściany budynku Ministerstwa Klimatu i Środowiska zerwano znak Polski Walczącej oraz tablicę upamiętniającą żołnierzy niezłomnych. Okazało się, że oba te przedmioty znalazły się w piwnicy ministerstwa. ***Andrzej Śliwka***, poseł PiS, na antenie telewizji wPolsce.pl zrelacjonował przebieg interwencji poselskiej posłów PiS w tej sprawie. „Wydelegowany do nas ekspert nazywał się Piotr Szczepański. Sprawdziliśmy, że jest to były dyrektor biura poselskiego Pauliny Hennig-Kloski, a obecnie ekspert w resorcie, człowiek partii Polska 2050. Powiedział nam, że postacie, które są upamiętniane w ramach tej kompozycji, są różnie oceniane historycznie. Szanowni państwo, nie wiem przez kogo są różnie oceniane, chyba przez osoby, które sympatyzują z hitlerowskimi Niemcami i Sowietami" – mówił Śliwka. A potem się obrażają na hasło „komuna wróciła". W tym wymiarze wróciła!

Stanowiska tracą ludzie, którzy skutecznie obronili polską granicę przed hybrydowym atakiem Łukaszenki i Putina. ***Kpt. SG Anna Michalska*** potwierdziła, że przestanie pełnić funkcję rzecznika prasowego komendanta głównego Straży Granicznej. W ubiegłym tygodniu został powołany nowy komendant główny SG. Gen. bryg. SG Robert Bagan zastąpił gen. dyw. SG Tomasza Pragę, który stał na czele Straży Granicznej od 2018 r. Michalska i Praga dobrze spełnili swój obowiązek w niełatwym czasie brutalnego ataku na granicę z zewnątrz, wbijania medialnych i celebryckich noży w plecy. Sądzimy, że w imieniu wszystkich naszych czytelników możemy powiedzieć: dziękujemy wam, Polska wam dziękuje i jeszcze kiedyś uhonoruje.

Czy z nową władzą leci pilot? Najpierw minister klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska poinformowała (8 stycznia) o wydaniu decyzji o wstrzymaniu lub ograniczeniu na pół roku wycinek lasów w 10 wskazanych lokalizacjach, m.in. w puszczach Augustowskiej, Romnickiej, Boreckiej, Świętokrzyskiej, Knyszyńskiej i w Bieszczadach. Chwilę potem ujawniono jednak kolejne jej pismo do nowego dyrektora generalnego Lasów Państwowych Witolda Kossa. Nawiązując do pierwszego polecenia, pani minister „oczekuje, że przy wykonywaniu przedmiotowego polecenia Lasy Państwowe zagwarantują zakładom usług leśnych wykonywanie prac na poziomie wynikającym z zawartych z nimi umów na bieżący rok. Oczekuję również realizacji innych zobowiązań związanych z dostępnością drewna na rynku". Jak to rozumieć? „To bardzo proste: trzeba ograniczyć pozyskiwanie drewna w lasach i jednocześnie zapewnić, by było go tyle, ile trzeba. Jak? No cóż, jakoś tam..." – skomentował celnie dziennikarz Jacek Łęski.

Na rozdwojenie politycznej jaźni cierpi w tej ekipie więcej osób. W Sejmie wybuchła burza po rolniczych protestach. Na blokadach pojawił się bowiem wiceminister rolnictwa ***Michał Kołodziejczak***, który grzmiał potem z sejmowej mównicy, zrzucając całą odpowiedzialność za sytuację rolników na rząd Zjednoczonej Prawicy. „Do roboty, panie Kołodziejczak, a nie lansowanie się w mediach, lansowanie się na mównicy sejmowej. Do roboty!" – odpowiedział mu były wiceminister rolnictwa Janusz Kowalski. Kowalski to dobry mówca, ale do pełnego nazwania bycia w rządzie i przeciw niemu trzeba chyba wezwać jakiegoś medyka.

W świecie mediów spekuluje się o nadchodzącej fali czystek w mediach prywatnych. Bo władzę denerwuje, iż ciągle ktoś pyta o złożone obietnice, darmowe akademiki, po tysiaku dla uczącej się młodzieży, żłobki za wszystkich chętnych. Władza musi coś z tym zrobić. Obietnic nie traktowała serio, nie ma ochoty ich spełniać, nawet nie może, bo bzdur nagadali. Pozostaje jedno: wyłączać sygnał kolejnych mediów. Pułkownik podobno w gotowości do akcji, a niemieckie media do kolejnych pochwał. Tylko Polski szkoda.

Fot. Mateusz Zelnik, Fratria, Andrzej Wiktor x2, Julita Szewczyk

eprasa.pl b1262a55b7

Kamieni kupa

Tusk: No i co?
Sienkiewicz: Jajco.
Tusk: Słucham?
Bodnar: Ja nic nie mówiłem.
Tusk: „Jajco" w jakim sensie?
Bodnar: W każdym. Po prostu milczę. Więc jestem.
Tusk: Pytałem o jajco.
Sienkiewicz: Niech nam skoczą. Po bodnara. Przepraszam, browara.
Bodnar: Wypraszam sobie. Byłem rzecznikiem praw obywatelskich.
Tusk: I patrzcie, co się z wami stało. Kontynuujcie, kolego.
Bodnar: Ja już nie mam nic do dodania...
Tusk: Nie wy. Prawnuk.
Sienkiewicz: A więc tak. Udało mi się zlikwidować kilkanaście jednostek regionalnych Polskiego Radia. Niestety, ten je...ny...
Bodnar: Je...ć PiS! Je...ć PiS!
Tusk: Uspokójcie się, wy jesteście za bardzo wzmożeni. O kogo chodzi?
Sienkiewicz: Sądy rejestrowe. Nie chcą wpisać, że likwidujemy.
Tusk: Co?
Sienkiewicz: Nie chcą wpisać, że likwidujemy.
Tusk: Pytam, co?!
Sienkiewicz: No, tak jak się umawialiśmy, Telewizję Polską i Polskie Radio...
Tusk: One jeszcze nadają? Przecież mieliście wolną rękę. Nie weszliście z buta?
Sienkiewicz: Weszliśmy. Ale w giewu, że tak powiem.
Tusk: Niedobrze. To wpuśćcie kilku silnych ludzi, powiedzmy, Zgorzelski, Rutnicki i Budka. Z Budką żartowałem, niech zapytają te sądy rejestrowe, czy nie znają doktryny Neumanna, iż „do wyborów nic nie zrobią, to ci – cytuję – k...wa, gwarantuję"?
Sienkiewicz: Chyba nie wszystkie. To co? Zlikwidować?
Tusk: Byle delikatnie. To nie są media, żeby walić z całej siły. Zresztą może niech to kto inny zrobi? Kolego Bodnar, co myślicie?
Bodnar: Ja?
Tusk: A jest inny Bodnar?
Bodnar: Mam wszystkich wyrzucić?
Tusk: Pytam, co sądzicie od strony prawnej?
Bodnar: Ale o czym, bo nie słuchałem?
Tusk: O decyzji sądów rejestrowych.
Bodnar: Hm... no, więc... ten... tego... ja ze swojej strony... jako minister sprawiedliwości...
Tusk: Chcecie praworządności czy nie?
Bodnar: Ja? Oczywiście. Tylko mam wątpliwości...
Tusk: ...czy to zostanie docenione? Uspokoję: mamy papiery, znaczy auswajs, z Unii Europejskiej. Ursula mówiła mi osobiście: „Donaldzie, masz pełne poparcie".
Sienkiewicz: Po polsku?
Tusk: Po angielsku. Jeszcze lepiej. Następny krok?
Sienkiewicz: Mogę coś zlikwidować. Np. szkoły podstawowe. Bo jak teraz nie będzie ani zadań domowych, ani ocen, a nauczyciele pyszczą, to może w stan likwidacji, co? Wejdziemy z Kierwińskim, a sale gimnastyczne przejmie się na spotkania wyborcze.
Tusk: Co kolega na to?
Bodnar: Znowu ja?
Tusk: Szlag mnie zaraz trafi. Jesteście ministrem sprawiedliwości czy nie? Przecież wy musicie od czasu do czasu wydać jakąś opinię!
Bodnar: Ależ ja się nie uchylam. Tylko o co chodzi?
Sienkiewicz: Sądy rejestrowe. Sąd Najwyższy, poza Izbą Pracy. Trybunał Konstytucyjny. Prerogatywy prezydenta. Z tym coś trzeba zrobić, bo tak się nie da rządzić!
Tusk: Co proponujecie?
Bodnar: Zwróćmy się do TSUE. Oni są nasi.
Sienkiewicz: Nie możemy. Nawet Tulei pytania prejudycjalne odesłali. Twierdzą, że nie można wszystkich sędziów wyrzucić. To jest europejska praworządność?
Bodnar: No właśnie...
Tusk: Co „no właśnie"? Sugerujecie, że łamiemy, to znaczy, wróć, że wy łamiecie prawo? Na oczach społeczeństwa?
Bodnar: Akurat o mnie prof. Piotrowski nic nie mówił.
Tusk: A kto to jest?
Bodnar: Jeden z najwybitniejszych polskich konstytucjonalistów. I on twierdzi, że minister Sienkiewicz...
Tusk: Wystarczy. Dość tych pochwał, bo teraz wszyscy chwalą Sienkiewicza. Że je...ć sądy i tak dalej. Smutne to bardzo, że tak słabo wierzycie w siebie i we własne praworządne możliwości, choćby w roli prokuratora generalnego. Odwagi, kolego, jak wy nie zjecie ich, to oni was. Tak dzisiaj wygląda demokracja.
Bodnar: Ale ten Piotrowski mówi...
Sienkiewicz: Nie powtarzajcie się...
Bodnar: K...wa, panie premierze, ja muszę to powiedzieć! Wykrzyczeć! Jak nie wykrzyczę tu, za zamkniętymi drzwiami, to chlapnę coś na zewnątrz.
Sienkiewicz: W jakim sensie? Mogę iść z wami?
Bodnar: No, ludzie, przecież ja nie chcę odwrotu z drogi praworządności takiej, jak my ją rozumiemy. Nie zawieszę poszukiwań dla rozwiązań prawnych z datą wsteczną, zwłaszcza że jeśli ich nie znajdziemy, to znaczy, że złamaliśmy konstytucję. Ale mnie coś kłuje...
Tusk: Pokażcie? Kolka. Za szybko myślicie.
Bodnar: Ja nie chcę łamać konstytucji!
Tusk: Troszkę za późno żeście się obudzili. Po pierwsze, weszliście do takiego, a nie innego rządu...
Bodnar: Ale Sienkiewicz złamał konstytucję.
Sienkiewicz: Chyba Henryk.
Tusk: I co z tym zrobimy?
Sienkiewicz: Zlikwidować?
Bodnar: Kogo?!
Sienkiewicz: Przecież nie Piotrowskiego. Konstytucję. Wpuszczę likwidatora i wyłączy.
Tusk: Podważcie autentyczność. Że podpisy się nie zgadzają czy coś. Jak się sprawicie, to wam ta Bruksela koło nosa nie przejdzie.
Bodnar: A co ze mną?
Tusk: Wy możecie mieć Brukselę wiecie gdzie. Na pocztówce przy pryczy, he, he... Jak wam przyślę. No, kochany, jak można tak prawo łamać? I to wy, rzecznik praw, k...wa, jak to się nazywało?
Sienkiewicz: Milicja Obywatelska.

Krzysztof Feusette

eprasa.pl b1262a55b7

WIEŻA BAB

Pałac pod ostrzałem

I choćby przyszło tysiąc Sienkiewiczów i tysiąc Bodnarów, nikt nie usunie prezydenta przed końcem kadencji

Antypisowski salon oszalał z wściekłości i nienawiści z powodu ułaskawienia przez prezydenta Andrzeja Dudę polityków PiS Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Trwa zmasowany atak tzw. demokratów na głowę państwa. Skąd my to znamy? Przemysł pogardy wiecznie żywy.

„Już widać, że nie będzie skutecznej dePiSizacji bez usunięcia ze stanowiska Dudy. Pytanie, czy trzeba z tym czekać do końca tej kadencji, czy też jest jakakolwiek procedura pozwalająca to zrobić wcześniej" – pytał dramatycznie Tomasz Lis. Siłowe przejęcie pałacu prezydenckiego raczej nie wchodzi w grę, choć na pewno „demokraci" najchętniej tak by właśnie zrobili, ale pojawiają się różne pomysły na to, jak „zneutralizować" prezydenta.

„Demokrata" Leszek Miller na poważnie zastanawia się np. nad likwidacją urzędu prezydenta. „To jest czarny dzień dla polskiej demokracji i praworządności, także dla urzędu prezydenta. Poważnie się zastanawiam, czy po tej prezydenturze nie powinno się dążyć do pozbycia urzędu prezydenta, który nie jest potrzebny, a może dostać się w takie ręce, jakie teraz widzimy" – komentował były premier w Onecie wtorkową decyzję prezydenta Andrzeja Dudy o ułaskawieniu Macieja Wąsika i Mariusza Kamińskiego.

Kilka tygodni temu na łamach „Gazety Wyborczej" Wojciech Sadurski, profesor filozofii prawa z Uniwersytetu w Sydney, proponował, by prezydenta Andrzeja Dudę ignorować, pomijać i otoczyć kordonem. Taką strategię doradzał rządzącej koalicji: „Naczelna strategia to systematyczne i konsekwentne marginalizowanie i ignorowanie prezydenta. Obchodzenie z daleka. Uznanie, że przez własne niekonstytucyjne i złośliwe działania wypisał się z polskiej demokracji" – pisał prawnik. Ten pomysł szybko podchwycił rząd Tuska. W ubiegły czwartek Kancelaria Prezydenta RP poinformowała, że ministrowie w ostatniej chwili odwołali swój potwierdzony wcześniej udział w uroczystości powołania ich w skład Rady Dialogu Społecznego (RDS). Nieobecność przedstawicieli rządu Donalda Tuska uniemożliwia podjęcie prac przez Radę.

Na kolejny „genialny" pomysł wpadł jeszcze inny „demokrata". Lech Wałęsa snuł wizję pozbycia się prezydenta Dudy w drodze referendum. „W związku z wieloletnią, szkodliwą działalnością Andrzeja Dudy jako Prezydenta wnoszę o referendum w sprawie skrócenia kadencji Prezydenta oraz rozliczenia z wszelkich nieprawości" – proponował w listopadzie na Facebooku Wałęsa. I choć może się to wydawać zaskakujące, znaleźli się całkiem poważni obrońcy tego pomysłu. Wówczas konstytucjonalista prof. Marek Chmaj stwierdził, że takie rozwiązanie byłoby zgodne z konstytucją, choć ta niczego takiego nie przewiduje. „W zasadzie zarządzenie nowych wyborów przed upływem kadencji, jeżeli wyrazi na to zgodę naród w drodze referendum. Taka hipotetyczna możliwość też istnieje – zapewniał Chmaj w programie „Dudek o polityce".

Co jeszcze wymyślicie? Może odwołać prezydenta uchwałą Sejmu? Jak szaleć, to szaleć!

Przemysł pogardy skierowany pod adresem głowy państwa wrócił ze zwielokrotnioną siłą. Jak to mówił Janusz Palikot w 2010 r.? „Trwale uszkodziliśmy liderów PiS i całą formację, która jest już niezdolna do zwycięstwa. Nikogo już nie uwiodą, bo są fundamentalnie ośmieszeni".

Zabawne, jak wszyscy obrońcy (do niedawna) konstytucji z dnia na dzień obrazili się na tę konstytucję. A Szymon Hołownia coś dawno nad nią nie płakał. Tymczasem tzw. demokratom warto przypomnieć, że Andrzej Duda ma niezwykle silny mandat wyborczy, który daje mu ponad 10,4 mln głosów Polaków. Zaraz usłyszę, że tzw. demokratyczna koalicja, która od ponad miesiąca depcze konstytucję i ustawy, w sumie zdobyła ponad 11 mln głosów i ma prawo robić, co jej się żywnie podoba. Ale chyba każdy widzi różnicę między liczbą głosów oddanych na trzy komitety wyborcze a liczbą głosów oddanych na jedną osobę. I choćby przyszło tysiąc Sienkiewiczów i tysiąc Bodnarów, nikt nie usunie prezydenta przed końcem kadencji.

Dorota Łosiewicz

Podziemne państwo

Tal Beeri, dyrektor izraelskiego centrum badawczego Alma Research and Education Center, zwrócił uwagę na system podziemnych bunkrów, które na południu Libanu zbudował Hezbollah. Jest on bardziej rozległy i lepiej skonstruowany niż w przypadku „palestyńskiego metra", jak nazywa się tunele wykopane przez Hamas w Gazie. W opinii izraelskich ekspertów ekstremistyczne organizacje z Bliskiego Wschodu już od co najmniej 40 lat korzystają z wiedzy północnokoreańskich inżynierów.

Izraelskie wojska nie są w stanie, mimo trwającej już trzy miesiące wojny, spenetrować podziemnych tuneli i bunkrów w Gazie, a w opinii Tala Beeriego likwidacja znacznie większego „podziemnego państwa" w południowym Libanie jest w ogóle poza ich możliwościami. Tylko w okolicach niewielkiej rzeczki Litani Hezbollah zbudował 600 bunkrów, centrów dowodzenia, magazynów żywności i broni. Są one połączone korytarzami, niekiedy tak szerokimi, że pozwalają na ruch ciężarówek. Na południu Libanu zidentyfikowano co najmniej kilka takich podziemnych labiryntów, pozwalających odpalać rakiety i szybko wycofywać się na nowe pozycje.

Budowę tego rodzaju systemów opracowano w Korei Północnej jeszcze w latach 60. Miały być one jednym z narzędzi zwycięskiej wojny z Seulem. Południowokoreańscy eksperci sądzą, że w ostatnich dekadach Pjongjang wykopał co najmniej 48 tuneli pod granicą, w tym prowadzące do centrum Seulu. Mają one umożliwić uderzenie z zaskoczenia o skali wielokrotnie przewyższającej to, co obserwowaliśmy w październiku ub.r. podczas ataku Hamasu na Izrael.

W 2004 r. zbieg z Korei Północnej ujawnił jeden z takich systemów tuneli, które reżim Kimów zbudował w pobliżu strefy zdemilitaryzowanej. W każdym z nich może przebywać do 2 tys. w pełni uzbrojonych żołnierzy.

Służą one szybkiemu przemieszczaniu oraz zajmowaniu podziemnych stanowisk artyleryjskich i rakietowych. Trudno je zlokalizować, a Seul dysponuje ograniczoną liczbą specjalistycznych rakiet zdolnych do penetrowania bunkrów i bomb umożliwiających ich burzenie. To oznacza, że w razie ataku Korea Północna może mieć nie tylko przewagę liczebną nad Seulem, lecz także będzie w stanie wykorzystać element zaskoczenia, wyprowadzając niespodziewane natarcie ze swojego „podziemnego państwa".

Marek Budzisz

Fot. Astrelok/Shutterstock.com

Niepoprawny politycznie liberał

Władze College of Psychologists of Ontario nakazały prof. Jordanowi Petersonowi, znanemu na całym świecie psychologowi klinicznemu, odbycie dokształcającego szkolenia w zakresie wystąpień publicznych i posługiwania się mediami społecznościowymi.

Tak w praktyce wygląda ściganie „mowy nienawiści" w Kanadzie. Rzecznik sądu w Ontario odmówił bowiem rozpatrzenia apelacji złożonej przez Petersona. Uczelnia zarzuciła naukowcowi, że zamieszczane przez niego komentarze, dotyczące m.in. zmiany płci czy ocieplenia klimatu, stwarzają „umiarkowane ryzyko wyrządzenia szkody społeczeństwu i podważają zaufanie społeczne do zawodu psychologa". Prof. Peterson musi teraz zdecydować, czy przejdzie szkolenie, które sam nazwał „obozem reedukacyjnym", czy zaryzykuje utratę licencji i praw do wykładania na uczelni.

Peterson jest poirytowany, lecz zarazem przekonany, że szykany tylko wzmocnią jego pozycję naukową. To m.in. autor słynnej książki „12 życiowych zasad. Antidotum na chaos", która wraz z jej kontynuacją sprzedała się w milionach egzemplarzy na całym świecie, również w Polsce. Prowadzi też swój kanał na YouTube z prawie 4 mln subskrybentów. Twierdzi, że nie zrozumiemy zachodniego społeczeństwa bez zrozumienia postmodernizmu, który od 40 lat rozpuszcza jego tożsamość. Radykalnie sceptyczny, stosuje w praktyce marksistowską teorię walki klas, przekształcając nasze życie w pole bitwy na wszystkich możliwych płaszczyznach – polityce, krytyce literackiej, antropologii, prawie, edukacji, a nawet medycynie.

Co ciekawe, Peterson zamknął prywatną praktykę psychologiczną jeszcze w 2017 r. Od lat zajmuje się psychologią ideologii, religii oraz systemami totalitarnymi, krytykując m.in. polityczną poprawność jako rodzaj „napastliwej nadwrażliwości". Zaczął być identyfikowany jako konserwatysta, choć z tradycyjną prawicą nie ma nic wspólnego i sam się określa jako klasyczny liberał, któremu zaczęły uwierać coraz większe ograniczenia wolności, narzucane przez zachodnie demokracje. Teraz stał się ich ofiarą jako obywatel Kanady.

Maciej Walaszczyk

Fot. Tony Norkus/Shutterstock.com

Etiopia

Bój o wybrzeże

Ataki jemeńskich rebeliantów Huti to niejedyny problem armatorów korzystających z Kanału Sueskiego. Zaostrza się bowiem sytuacja na drugim brzegu Zatoki Adeńskiej, który może się stać areną konfliktu pomiędzy Etiopią i Somalią.

Jego przyczyną jest porozumienie zawarte na początku roku pomiędzy rządem Etiopii i władzami Somalilandu – państwa nieuznawanego przez społeczność międzynarodową, które w 1991 r. oddzieliło się od Somalii. Na mocy tej umowy Etiopia otrzyma w 50-letnią dzierżawę pas wybrzeża morskiego wokół portu Berbera, a w zamian Somaliland oczekuje od Etiopii dyplomatycznego uznania swojej państwowości. Porozumienie wywołało oburzenie władz Somalii, które nie uznają odrębności Somalilandu. Prezydent Somalii Hassan Sheikh Mohamud nie wykluczył nawet wojny z Etiopią.

Somaliland był kolonią brytyjską do 1960 r. Terytorium cieszyło się pięciodniową niepodległością, zanim dobrowolnie zjednoczyło się z Somalią, dawną kolonią włoską. Ten związek zakończył się secesją Somalilandu w 1991 r. po trwającej dekadę walce wyzwoleńczej przeciwko reżimowi wojskowemu w Mogadiszu. Dziś Somaliland jest *de facto* niepodległym państwem, posiadającym własną walutę i parlament. Jest też stosunkowo spokojny – w odróżnieniu od Somalii, która od dwóch dekad zmaga się z islamistyczną rebelią Al-Kaidy. Głównym problemem Somalilandu jest jednak międzynarodowa izolacja.

Z kolei dla Etiopii, która od czasu secesji Erytrei w 1993 r. jest pozbawiona dostępu do morza, porozumienie z Somalilandem stanowi furtkę do dalszego rozwoju gospodarczego. W tej chwili Etiopia jest uzależniona od sąsiedniego Dżibuti, przez które przechodzi ponad 95 proc. etiopskiego handlu międzynarodowego. „Przewiduje się, że w 2030 r. będziemy mieć 150 mln mieszkańców, a 150 mln ludzi nie może żyć w geograficznym uwięzieniu" – powiedział w październiku premier Etiopii Abiy Ahmed Ali. Jego zdaniem zgoda na utratę dostępu do morza była historycznym błędem, który zagraża istnieniu Etiopii, co niektórzy zinterpretowali jako zapowiedź wojny z Erytreą.

Porozumienie z Somalilandem oddala to ryzyko, lecz jednocześnie wywołuje konflikt z Somalią. Co więcej, po stronie Somalii opowiedział się Egipt, który prowadzi ostry spór z Etiopią wokół Tamy Wielkiego Odrodzenia budowanej na Nilu Błękitnym. Zdaniem władz w Kairze tama zagraża zasobom wodnym oraz gospodarce Egiptu.

Etiopia nie przesądza jeszcze, czy uzna odrębność Somalilandu. To sprawa kluczowa, ponieważ władze Somalilandu uważają to za warunek wejścia umowy w życie. Jednak nawet gdyby Etiopia odstąpiła od umowy, to ryzyko wojny nie zniknie, bo kwestia jej dostępu do morza pozostanie nierozwiązana.

Konrad Kołodziejski

Fot. Shutterstock

Indie

Hinduski Watykan

W mieście Ajodhja w stanie Uttar Pradesh premier Narendra Modi otworzył uroczyście wielki kompleks sakralny, okrzyknięty w mediach „hinduskim Watykanem". To olbrzymi projekt budowlany, obejmujący m.in. międzynarodowe lotnisko, nowoczesny dworzec kolejowy oraz sieć hoteli. W jego centrum znajduje się gigantyczna świątynia hinduskiego boga Ramy, zbudowana za 217 mln dol. Sama modernizacja miasta kosztowała ponad 3 mld dol. Zdaniem indyjskich władz inwestycja szybko się zwróci, ponieważ każdego dnia ma przyciągać ok. 150 tys. pielgrzymów.

Według rządzących znacznie ważniejsza jest jednak inwestycja w tożsamość narodową i religijną Hindusów. Świątynia ma być bowiem pomnikiem sanktuarium hinduskiego nacjonalizmu. W związku z tym część mediów krytykuje premiera Modiego, twierdząc, że wykorzystuje on religię do celów politycznych, zwłaszcza w kontekście zbliżających się wyborów parlamentarnych. Inwestycja budzi wielką niechęć szczególnie wśród mniejszości muzułmańskiej, ponieważ świątynię Ramy wzniesiono na miejscu XVI-wiecznego meczetu Babri, który został zburzony przez hinduskich nacjonalistów w grudniu 1992 r.

Spór między wyznawcami obu religii rozpoczął się w lipcu 1992 r., gdy grupa indyjskich archeologów stwierdziła, że wspomniany meczet został zbudowany w 1528 r. przez muzułmańskich najeźdźców z dynastii Wielkich Mogołów na miejscu dawnej świątyni Ram Janmabhoomi, gdzie według miejscowych przekazów miał narodzić się bóg Rama. Hinduscy nacjonaliści odebrali istnienie islamskiego ośrodka kultu właśnie w tym miejscu jako śmiertelną obrazę. Kilka miesięcy później zburzyli więc meczet, co wywołało wybuch zamieszek, w których zginęło ok. 2 tys. osób, głównie muzułmanów. Atakującym przyświecał jeden cel: wybudowanie na miejscu narodzin Ramy wielkiej świątyni ku jego czci.

Teraz, po wielu latach, premier Modi nie ukrywał satysfakcji, obwieszczając spełnienie wielkiego marzenia hinduskich nacjonalistów.

Grzegorz Górny

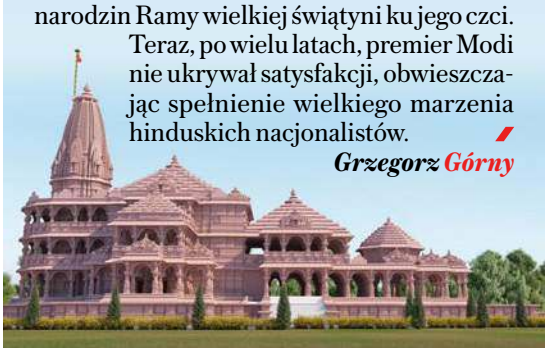

Fot. Shutterstock

eprasa.pl b1262a55b7

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Prokuratura czy prowokatura?

Jan Pietrzak

Poza wieloma fatalnymi skutkami zmiany rządu w Polsce pojawił się mój osobisty problem mentalny. Prawdopodobnie wpadam w depresję. Nie przechodziłem czegoś takiego przez 86 lat. Pod wpływem bieżących wydarzeń nic mi się nie chce albo inaczej: „wszystkiego mi się odechciewa". Ile razy w życiu mam opisywać wyczyny zdegenerowanej władzy? Przecież to już przerabialiśmy, to już załatwiliśmy... Miało być już tylko lepiej!

Jeszcze niedawno miałem przeświadczenie, że Polska wykonała taki przeskok od peerelu do cywilizacji, że nie ma powrotu do tamtego dziadostwa. Niestety, ostatnie wybory przekreśliły to złudzenie. Zapanowało bezprawie pod hasłem naprawy praworządności. Bezczelne oszustwa są podawane jak informacje. Tę wredną robotę wykonują ludzie cyniczni jak cyna. Jak wiadomo cyną można jedynie coś przylutować, budować się nie da bez mocniejszych pierwiastków. Trwa demolka wielu instytucji dobrze służących Polakom, ale nieakceptowanych przez sąsiadów. Edukacja pod zarządem pani Nowackiej zmierza do dna. Dzieci mają się jak najmniej uczyć, żeby nie były przypadkiem najmądrzejsze w Europie.

To wszystko dzieje się po ośmiu latach bardzo owocnej pracy organicznej. Zjednoczona Prawica wygrała dla Polski osiem lat, lecz przegapiła dwa miesiące kampanii wyborczej. Zdarza się. Z takim paradoksem mamy do czynienia. Jest czas wyciągania wniosków. Zwłaszcza że komando ministra pułkownika likwidatora kasuje wszystko, co się da, w zawrotnym tempie.

Czy to nie jest groteska: obstrukcja prokuratora generalnego przez prokuratora krajowego przy pomocy pełniącego obowiązki prokuratora nieprzepisowego w kordonach służby więziennej? Czy to jest jeszcze prokuratura, czy raczej prowokatura? Ponieważ mój przypadek został niedawno odesłany do prokuratora, rozumieją państwo trawiącą mnie depresję. Czy będę miał do czynienia z uzurpatorem, dublerem, czy z przyzwoitym prawnikiem, jakich jeszcze kilku zostało, w co nie wątpię i na co liczę?

Po blisko pół wieku trwającej popularyzacji hasła „Żeby Polska była Polską" mam się nad czym zadumać, czego i wam życzę.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Brukselka w sosie moskiewskim

Dominik Zdort

Ostatnie tygodnie wymownie pokazują, że we współczesnym państwie prawa nie mają znaczenia przyjęte przez większość parlamentarną ustawy czy prerogatywy władz. Ważniejsze są inne czynniki: kto ma po swojej stronie siłę, czyli policję, wojsko, służby chroniące władzę oraz establishment Unii Europejskiej.

Jeśli chodzi o wojsko, policję czy Służbę Ochrony Państwa, to trudno było mieć jakieś wątpliwości – wiadomo, jak to działa. Po komisarzach i generałach nikt nie oczekuje, że będą wierni przepisom czy prawu, oni zawsze zrobią to, czego zażąda władza. Na tym polega hierarchiczność i tak było za PiS, tak samo jest za Tuska. I tak w sumie być powinno: jeśli nowa władza oczekuje łamania przepisów, to trepy w niebieskich i zielonych mundurach bez mrugnięcia okiem wykonają polecenia. Służby siłowe nie istnieją bez posłuszeństwa, nie działałyby dobrze, nie należy od nich oczekiwać ideowości, ale skuteczności.

Bardziej niepokoi mnie towarzystwo z Brukseli. Bez niego rządowi Tuska trudno byłoby bezkarnie łamać prawo. Europejski establishment był wrażliwy na domniemane przekroczenia w czasach poprzedniej władzy. Kiedy obecna wprost, bez pozorów, łamie najbardziej podstawowe zasady (stanowienie przepisów za pomocą uchwał, nieuznawanie ustaw), cywilizowanej Europie to jakoś nie przeszkadza, wręcz przeciwnie, przyklaskuje zamachowcom, którzy niszczą ich własne (teoretycznie własne) wartości.

Wszyscy, którzy się oburzali, gdy rolę Brukseli w UE porównywano do roli Moskwy w bloku sowieckim, powinni czym prędzej zjeść swoje kapelusze, wejść pod stół i szczekać: „Skłamałem jak pies". Oczywiście odpowiedź na pytanie, ile dywizji ma Ursula von Leyen, jest jasna (swoją drogą to żenada, że Europa wciąż nie potrafi wystawić realnej siły zbrojnej dla NATO). Nie grozi jak Sowiety bezpośrednią interwencją, bo jest na to za słaba. Ale szantażuje, obcina pieniądze tym, którzy chcą iść swoją drogą. I usprawiedliwia łamanie prawa oraz pełzające zamachy stanu, takie jak ten w Polsce.

Nie wiem, co jest bardziej niemoralne: jawne grożenie interwencją czy zaciskanie finansowej pętli na szyi, przyduszanie w odwecie za samodzielność, za niezależne myślenie i pragnienie niepodległości oraz jawne wspieranie łamania prawa.

Gdyby ktoś zapytał, co należy zrobić, kiedy Polska znów będzie miała swój niezależny rząd, jakie pierwsze decyzje powinna podjąć Rzeczpospolita, gdy znów wybije się na suwerenność... Dziś to chyba już jasne.

eprasa.pl b1262a55b7

BRONISŁAW WILDSTEIN

Histeria i cynicy

Władze TVP zablokowały dostęp do internetowego Tygodnika TVP, który pod redakcją Dominika Zdorta ukazywał się od 2017 r. To krok dalej niż cenzura, która uniemożliwia upublicznienie niepożądanych przez jej dysponenta treści. Blokowanie dostępu do stron internetowych to współcześnie odpowiednik usuwania z bibliotek niewygodnych publikacji, czego najbardziej manifestacyjnym aktem było palenie „niewłaściwych" książek przez nazistów czy komunistów. Przypuszczalnie nie sposób definitywnie zniszczyć tekstów, które pojawiają się w sieci, ale trudno było także spalić wszystkie papierowe egzemplarze znienawidzonej publikacji i pomimo wysiłków totalitarystów zawsze niektóre przetrwały, więc analogia wydaje się ze wszech miar uzasadniona.

Ideologiczne czyszczenie księgozbiorów i archiwów to obrazy zła, które spędzają sen z powiek współczesnym liberałom, toteż decyzja neowładz TVP wywołała aplauz tego środowiska. Internetowe wpisy wielbicieli tolerancji i pluralizmu oraz wrogów odgórnego narzucania jednej prawdy wyrażają entuzjazm z powodu usunięcia z obiegu publicznego myśli swoich przeciwników i domagają się eskalacji. W tym kontekście mniej ważne jest, że wyrażający te opinie nie mają pojęcia, o jaki periodyk i jakie teksty chodzi. Tygodnik TVP dystansował się od bezpośrednich kłótni politycznych, a jego autorzy usiłowali analizować zjawiska kultury i polityki w głębszej perspektywie, zaś z inwektyw radujących się jego zablokowaniem można wnosić, że był to frontowy biuletyn PiS. To jednak sprawa drugorzędna wobec faktu, że nasi liberałowie domagają się nie tylko zamknięcia ust swoim przeciwnikom, lecz także eliminacji z przestrzeni publicznej ich głosu, a więc myśli.

Pokrewną sprawą jest zmiana polskiej wystawy przygotowywanej na biennale w Wenecji. „Minister kultury i dziedzictwa narodowego, który obecnie pełni funkcję komisarza Pawilonu Polskiego, po przeanalizowaniu procedur konkursowych na projekt wystawy w ramach 60. Międzynarodowej Wystawy Sztuki w Wenecji w 2024 r. i po zapoznaniu się z opiniami i głosami środowisk, zaakceptował decyzję o niewdrażaniu projektu kuratorów Piotra Bernatowicza i Dariusza Karłowicza z udziałem Ignacego Czwartosa".

Z oficjalnego tekstu nie dowiadujemy się, jakie to opinie i których środowisk wpłynęły na decyzję ministra i tylko pośrednio wnioskujemy o tym, że mianował się on komisarzem Pawilonu Polskiego, co jest wprawdzie ewenementem, lecz nie powinno dziwić w dobie ideologicznej mobilizacji, gdy kulturą w naszym kraju dyryguje człowiek służb specjalnych.

„Polskie ćwiczenia z tragiczności świata. Między Niemcami a Rosją" jesienią ub.r. wygrały konkurs. Decyzja Sienkiewicza przerwała zaawansowane prace, które miały przygotować ekspozycję. Kwestionowanie decyzji jury jest absurdalne, gdyż zwycięzcę konkursu automatycznie zastąpi projekt, któremu przyznało ono drugie miejsce.

Nie dowiemy się tego z mediów III RP. Przeczytamy, że Czwartos to „reżimowy malarz", „ulubiony malarz prawicy", „pupil PiS". Tych określeń używają również autorzy, którzy jeszcze kilka lat temu z uznaniem pisali o jego warsztacie i oryginalności artystycznej. Wszystko się zmieniło, kiedy zainteresował się on żołnierzami wyklętymi, a zwłaszcza po wystawie w Zachęcie w ub.r., która wskazywała jego religijne i patriotyczne zaangażowanie.

Wzorcowy – jak zwykle – materiał na temat sprawy zaprezentował TVN 24. Na tle fragmentu jednego, odpowiednio skadrowanego obrazu Czwartosa, słyszymy z offu o „oburzeniu", które w „środowisku" wywołał wybór pierwotnego projektu. Potwierdza to zaproszona do komentowania jurorka. Nie dowiadujemy się, że jest to jedna z trójki, która była przeciw wybranemu projektowi, za którym głosowało 11 osób. Usłyszymy natomiast od niej, że Czwartos jest „neofaszystą".

Wydawało się, że redukcja ad Hitlerum, którą komuniści stosowali wobec wszystkich oponentów, skompromitowała się w latach 50. Okazje się jednak, że wróciła w pełnej okazałości. To symptom ideologicznej, tym razem liberalnej, gorączki, która infekuje całość kultury. To ona każe uznawać oponentów za wcielenie absolutnego zła, wobec których nie obowiązują żadne reguły. Ci, którzy mają wątpliwości, to przecież populiści, nieodróżnialni od faszystów. Dopiero kiedy się ich wytępi, można będzie myśleć o przywracaniu praworządności i innych zasad liberalnego państwa.

Histeria jest poręcznym narzędziem cyników. Swoją postawę uzasadniają tym, że walczą z wcielonym złem. Nienawiść zagłusza myślenie.

W 2005 r. Donald Tusk tak głęboko przeżywał swój katolicyzm, że musiał wziąć ślub kościelny, a jego przywiązanie do Solidarności owocowało nawet książką. Kiedy okazało się, że PiS, z którym miał wejść w alians, lepiej, bo autentycznie reprezentuje polski konserwatyzm, Tusk rozpętał przeciw niemu histeryczną wojnę, która ma usprawiedliwić wszystko. I odnosi sukcesy.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b1262a55b7

Walizka Anety Barcik

wokalistki i reżyser

Gdy jeszcze nie miałam dzieci, bardzo lubiłam podróżować do Barcelony i Londynu. To były dwa moje ulubione miasta, które odwiedzałam regularnie. A odkąd mieszkam w Polsce, podróżuję po naszym kraju, gdzie w parafiach różnych miast i miasteczek daję świadectwo wiary, śpiewam, organizuję pokazy mojego filmu, czasami prowadzę warsztaty wokalne. To daje mi ogromną satysfakcję, bo dzięki podróżom poznaję Polskę. Kiedy miałam 12 lat, przeprowadziłam się do Niemiec. Wychowałam się w Hamburgu, studiowałam w Londynie i dopiero od pięciu lat jestem z powrotem w mojej ojczyźnie. Najlepiej wypoczywam blisko kościołów lub zakonów. Bardzo lubię jeździć do sióstr benedyktynek w Gdańsku.

CZERWONA SUKIENKA, CZERWONE BUTY, BIAŁO-CZERWONE KWIATY

Na Polski Festiwal w Hamburgu zawsze ubierałam się w nasze barwy narodowe. Gdy wróciłam do Polski, tak się kiedyś ubrałam, na co jedna z sióstr zakonnych powiedziała: „Jak się ładnie pani Anetka ubrała w kolory miłosierdzia Bożego". Od tej pory często noszę garderobę w takiej kolorystyce, łącząc patriotyzm z ideą miłosierdzia.

PAN JEZUS, POCZTÓWKI I DŁUGOPISY

Byłam ochrzczona w kościółku, który obecnie jest Sanktuarium Miłosierdzia Bożego i czuję się powołana do głoszenia ewangelii oraz mówienia ludziom, że Bóg ich kocha. Dlatego postanowiłam, że zamiast czekoladek będę wręczać ludziom obrazki z Panem Jezusem. Pocztówki są podpisane hasłami motywacyjno-refleksyjnymi, m.in. „Ja ogarniam całość, a Ty mi pomóż". Na długopisach z kolei są cytaty z „Dzienniczka" św. s. Faustyny, np. „Jezu, ufam Tobie".

eprasa.pl b1262a55b7

BIULETYN IPN Z ULMAMI

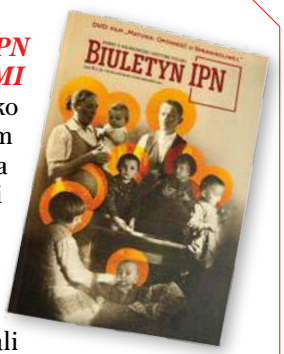

Dostałam jako prezent. Byłam ostatnio na peregrynacji relikwii błogosławionej rodziny Ulmów. Poprosiłam ich, żeby patronowali mi nad produkcją mojego nowego historycznego filmu o II wojnie światowej.

„CZAS MIŁOSIERDZIA"

To jest płyta z moją muzyką, słowami i śpiewem. Natchniona „Dzienniczkiem" św. s. Faustyny oraz inspiracjami zaczerpniętymi ze wspomnianego sanktuarium. Gdy podróżuję, zazwyczaj odwiedzam parafie na ewangelizację, gdzie daję świadectwo wiary i śpiewam podczas mszy, a po niej sprzedaję moje płyty.

ULOTKI I WYSTAWA PRO-LIFE

Kiedyś jechałam z moją córeczką do domu i wtedy akurat na ulicach były demonstracje spod znaku błyskawicy. Moja córka dopytywała o powód demonstracji. Gdy jej wytłumaczyłam, ona powiedziała: „Ależ mamo, przecież jak już tylko się wie, że ma się dzidziusia w brzuszku, to trzeba się cieszyć!". To zdanie mnie natchnęło do przygotowania wystawy pro-life.

RÓŻANIEC

Zawsze wożę go ze sobą, czasami rozdaję jako prezenty. Należę do wspólnoty modlitewnej „Różaniec rodziców za dzieci" - codziennie odmawiam dziesiątkę w tej intencji. Lubię zasypiać z różańcem w dłoni.

PLAKAT I ULOTKI MOJEGO FILMU

„Tylko powiedz każdemu" to film o dobrym kapłanie. Opowiada historię ks. Roberta Szumowskiego, który był takim chodzącym po ziemi Panem Jezusem. Zmarł nagle po 33 latach kapłaństwa. Jest wiele świadectw, że ks. Robert objawia się w innych kapłanach.

KOSMETYCZKA

Trzymam w niej typowo kobiece atrybuty związane z makijażem. Cały sekret make-upu polega na tym, żeby nie było go widać.

KALENDARZ I NOTATNIK

Zawsze muszę mieć ze sobą kalendarz, bo ciągle coś się dzieje i planuję nowe wydarzenia, a w notatniku zapisuję to, czego nie mogę zapomnieć, żeby świat się nie skończył.

LOKÓWKA

Często jej używam i dlatego wszędzie się spóźniam. Nawet nie staram się wymyślać innych powodów i szczerze przyznaję, że musiałam sobie zrobić loki.

CZARNE BUTY

Na wypadek, gdyby znalazł się ktoś, kto pójdzie ze mną na salsę.

Fot. Aneta Barcik

Wysłuchał i zapisał ***Michał Korsun***

eprasa.pl b1262a55b7

OGNIEM NA WPROST

Ministrze, do roboty!

Igor Wsiewołodowicz Girkin, ksywa Igor (Iwanowicz) Striełkow, to wyjątkowa kanalia. Jest ścigany przez ukraińską prokuraturę i SBU za zbrodnie wojenne oraz międzynarodowym listem gończym za zestrzelenie samolotu Malaysia Airlines. Zaocznie skazany został przez holenderski sąd na dożywocie. Odpowiada też za porwanie obserwatorów OBWE. Girkin zaczął karierę jako żołnierz kontraktowy. W latach 1996–2013 był funkcjonariuszem FSB. Tam dochrapał się rangi pułkownika. W międzyczasie uczestniczył w konfliktach o Naddniestrze czy w Bośni i Hercegowinie. Brał również udział w wojnach czeczeńskich, aneksji Krymu, wojnie w Donbasie oraz inwazji Federacji Moskiewskiej na Ukrainę. W 2014 r. był głównodowodzącym prorosyjskich separatystów, bojówek w bantustanach Słowiańsku oraz Doniecku. Ale to nie wojskowa przeszłość go zgubiła. Postanowił zostać również komentatorem politycznym i publicystą. Ponieważ od tej wojaczki pomieszało mu się we łbie, myślał, że żyje w wolnym kraju, to zaczął konsekwentnie wyrażać się krytycznie o sytuacji na okupowanym Krymie i wynagrodzeniach rosyjskich żołnierzy. Po ponadrocznej działalności w sieci (głównie na Telegramie) zarzucono mu „publiczne nawoływanie do ekstremizmu za pośrednictwem internetu" i podstawiono przed sądem w Moskwie. Były przywódca donbaskich separatystów został skazany na cztery lata kolonii o zaostrzonym rygorze. Jak z tego płynie nauka? Otóż może się czasem zdarzyć, że stanie pod ogniem na pierwszej linii jest mniej niebezpieczne od zajmowania się polityczną publicystyką.

U Ruskich jak długo i szeroko trzaskające mrozy. Pisałem już o tym, ale Moskal dalej myśli o wygranej wojnie, a nie o zamarzniętych klatkach schodowych, przypominających lodowe jaskinie. Z powodu „niedziałających", jak twierdzi Kreml, sankcji w państwie nie ma środków ani materiałów do wykonywania podstawowego serwisu technicznego. Jak informuje Mateusz Lech z kanału Kremlinka Show i portalu Ekonomia Rosji z tego samego powodu padła ponad połowa rosyjskich wind. Po prostu nie ma części, a Rosja nie jest w stanie wyprodukować ich sama. Ponieważ prawie całość produkcji idzie na cele wojenne, windami nikt się nie przejmuje. Jakby tego było mało, ku radości obywateli cywilizowanego świata w Nowoczerkasku pękła z mrozu główna rura kanalizacyjna. Pół miasta zalały odchody i cuchnie jak cholera. Ale Ruski i na to znalazł sposób. Poważnie wzrosło spożycie alkoholów wysokoprocentowych. Windy popsute, na zewnątrz mróz to siedzimy i chlejemy, czekając na zwycięstwo.

A w Polsce? „Wyrastające na pancerną potęgę poznańskie Wojskowe Zakłady Modernizacyjne, gdzie swój hub obsługowy będą miały amerykańskie Abramsy i koreańskie czołgi K2, zaczęły wytracać inwestycyjny impet. Typowo wielkopolskie, solidne dotąd przygotowania do nowych zadań WZM zwolniły, bo wciąż nie ma jednoznacznych decyzji w sprawie budowy w kraju 800 licencyjnych koreańskich Czarnych Panter [...]. Przez ostatnie miesiące pracowaliśmy nad adaptacją zakładowej infrastruktury do nowych wyzwań. Przygotowaliśmy halę montażu, szykujemy dodatkowe buforowe magazyny, lakiernię, aby zapewnić w przyszłości serwis i produkcję setek pancerzy. Nadal wierzymy, że budowa i obsługa czołgów K2 PL, kontraktowanych w ramach polsko-koreańskiej pancernej współpracy, zapewni zajęcie WZM na całe kolejne dekady" – nie traci wiary prezeska firmy Elżbieta Wawrzynkiewicz. Dotychczasowy plan był w miarę jasny: dzięki wkładom fachowców, m.in. z WZM, zamówione w Korei Południowej czołgi skonstruowane przez Hyundai Rotem miały zmienić się w głęboko spolonizowaną broń sygnowaną jako K2 PL. Czy na pewno ten plan się powiedzie? Zamiast się sprężać i kończyć rozmowy z Koreańczykami nowy szef MON biega po studiach i opowiada jakieś kocopoły o aborcji oraz pigułce „dzień po". A zewsząd płyną poważne sygnały o możliwym uderzeniu Moskwy na kraje bałtyckie i Polskę już 2025 r.

A na froncie? Awdijiwka, Bachmut, Kupiańsk – te pozycje w ostatnich dniach atakowała Kacapia. Trwa planowana rosyjska zimowa ofensywa, choć nie jest tak spektakularna, jak przypuszczano. Obrona jest mocna, bo jak mówi w rozmowie z wp.pl gen. Waldemar Skrzypczak, „Ukraińcy przygotowali się, nie marnowali czasu". Sztab Generalny Sił Zbrojnych Ukrainy przekazał, że ukraińskie wojska odparły większość ataków wroga w kierunku Awdijiwki. Czyli na Wschodzie bez zmian.

Współpraca „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b1262a55b7

Konserwatyzm górą?

Marta Kaczyńska-Zielińska

Badania opinii publicznej przeprowadzone w Stanach Zjednoczonych w 2023 r. przez Instytut Gallupa wskazały największy od dekady wzrost liczby Amerykanów określających swoje poglądy społeczne jako konserwatywne. 38 proc. ankietowanych stwierdziło, że jest „konserwatywna" lub „bardzo konserwatywna" jeśli chodzi o sprawy społeczne, w porównaniu z 29 proc., które stwierdziło, że jest „liberalna" lub „bardzo liberalna". Rok wcześniej 33 proc. badanych opowiadało się po stronie konserwatywnej, a 30 proc. popierało liberałów.

Szczyt popularności konserwatyzmu nastąpił także w 2009 r. i wówczas paradoksalnie wybory prezydenckie zostały rozstrzygnięte na korzyść demokraty Baracka Obamy. Podobne zjawisko miało miejsce w 2021 r., który okazał się nieszczęśliwy dla republikańskiego prezydenta Donalda Trumpa. W ostatnich trzech latach pozostawania republikanów w opozycji odnotowano zmianę tendencji w zakresie poglądów konserwatywnych w sprawach społecznych wśród zwolenników tej partii o 14 pp., a wśród osób niedeklarujących sympatii politycznych o 5 proc. więcej. Nastąpiły także zmiany deklarowanych poglądów w poszczególnych grupach wiekowych. Większość (z wyjątkiem 65-latków i starszych) zaczęła się skłaniać ku prawicy, a największe przesunięcie – o 13 pp. – dotyczyło osób w wieku od 30 do 49 lat (osoby w wieku od 50 do 64 lat przesunęły się o 11 pp., natomiast dorośli poniżej 30. roku życia przesunęli się w prawo o 6 pp.).

Przyczyny wzrostu aprobaty dla poglądów konserwatywnych upatruje się w różnych czynnikach. W opinii publicznej można usłyszeć poglądy, wedle których istnieje korelacja pomiędzy rządami lewicowymi a wzrostem przestępczości. Takie tendencje są widoczne m.in. w USA, gdzie miasta zarządzane przez demokratów zmagają się w ostatnich latach ze zdecydowanym obniżeniem poczucia bezpieczeństwa ich mieszkańców. Opinie te mogą potwierdzać wyniki badań Gallupa, które wskazują, że w 2023 r. 56 proc. Amerykanów stwierdziło, iż na ich obszarze jest więcej przestępczości niż w roku poprzednim. To najwyższy odsetek od 1972 r., gdy Gallup zaczął przeprowadzać badania we wspomnianym zakresie.

W ostatnich latach Stany Zjednoczone zmagają się z coraz bardziej dostrzegalnymi problemami społecznymi, takimi jak bezdomność, plaga uzależnień od substancji psychoaktywnych i zachowania aspołeczne. W Nowym Jorku liczba osób nieposiadających dachu nad głową wzrosła o 18 proc., a liczba bezdomnych w mieście po raz pierwszy w historii przekroczyła 100 tys. Obozowiska namiotowe na zachodnim wybrzeżu są scenerią porachunków gangów, handlu narkotykami i przemocy na wszelkich płaszczyznach. Na ogólne poczucie niepewności oraz niestabilności znaczący wpływ ma podobno coraz częstszy widok osób pozostających pod wpływem narkotyków, zachowujących się irracjonalnie, sprawiających wrażenie nieobliczalnych i groźnych dla otoczenia. O spotykanych na ulicach Los Angeles czy Filadelfii ludziach przypominających zombie, prezentujących skutki zażywania fentanylu, można przeczytać wiele artykułów.

Przeświadczenie o spadku poczucia bezpieczeństwa w amerykańskich metropoliach skłania wyborców do stawiania na Partię Republikańską, która jest prezentowana jako ugrupowanie prawa i porządku. Przywrócenie porządku w USA zapowiada Donald Trump zyskujący coraz większą popularność – nie tyko w sondażach, lecz także w mediach społecznościowych wśród młodych ludzi.

Na razie republikanie pozostają w opozycji, ale konserwatywne poglądy zdają się mieć ostatnio zdecydowanie lepszą markę niż liberalizm. „The New York Times" pisze, że jedną z zauważalnych zmian w dzisiejszym życiu Amerykanów jest to, iż konserwatyści twierdzą, że są osobiście szczęśliwsi niż liberałowie. Można domniemywać, że w niepodważalny sposób wiąże się to z ich religijnością. Ludzie wierzący są szczęśliwsi. Autor artykułu wyraża przekonanie, że kultura „postępu" wydaje się być bardziej cieniem nieszczęścia, a nawet chorób psychicznych, i wskazuje, że tendencja do pogarszania się zdrowia psychicznego wśród młodych ludzi, będąca ostatnio przedmiotem wielu dyskusji, jest szczególnie uderzająca wśród młodego pokolenia liberałów.

REKLAMA

47/1223/F

eprasa.pl b1262a55b7

Do końca 2024 r. chcą się go pozbyć

Samuel Pereira

Demokracja i państwo prawa mają to do siebie, że w ramach ich praw można głosić nawet zniesienie demokracji. Uczciwe jest jednak, by planując zamach na konstytucję, szczerze mówić o tym wyborcom w kampanii.

Jeśli ma się pomysł, żeby np. zmienić konstytucję albo w ogóle ją znieść i wprowadzić dyktaturę, to nie powinno się tego ukrywać. W innym przypadku obywatel może chcieć zagłosować na demokratę, a wybierze autokratę. Co prawda Donald Tusk miesiąc przed wyborami mówił, że „o tym, jak będzie wyglądało rządzenie w Polsce, powie po wyborach" i jak to zazwyczaj w Polsce bywało między 2016 a 2023 r. nikt oprócz TVP się tym nie zainteresował. Nawet dziennikarz Polsatu w trakcie wywiadu nie czuł dyskomfortu i nie zagaił, co to za tajny plan ówczesny lider opozycji kryje za pazuchą. Teraz nawet TVP o to nie zapyta, bo Tusk, jak przystało na prawdziwego demokratę, kilka dni po przejęciu władzy postanowił położyć łapę na mediach publicznych. Dosłownie, bo jego kompan w nocy uchwałą ogłosił się panem i władcą zarządów spółek medialnych. Mogliśmy co nieco podejrzewać w momencie zaprzysiężenia, gdy Adam Bodnar, wybrany na ministra sprawiedliwości, ślubował przed prezydentem, że „dochowa wierności postanowieniom Konstytucji RP i innym prawom Rzeczypospolitej Polskiej, a dobro ojczyzny oraz pomyślność obywateli będą dla niego zawsze najwyższym nakazem", a stojący za nim herszt całej bandy Donald Tusk śmiał się pod nosem.

Czy partia, na którą oddało głos 22,4 proc. obywateli uprawnionych do głosowania, ma prawo uznać, że bierze wszystko, nawet jeśli konstytucja jej na to nie pozwala? Czy może ostentacyjnie podważać prerogatywy prezydenckie? Oczywiście, że nie. A jednak to robi. Dlaczego? Bo skoro Berlin i Bruksela pozwalają, to oni uważają, że można. „Już nie przeszkadza" – pisał po katastrofie smoleńskiej prof. Zdzisław Krasnodębski. Dziś znowu prezydent im przeszkadza. Czy to doprowadzi do tragedii? Chcę wierzyć, że Polacy są mądrzy po szkodzie, ale czy Tusk i jego przystawki zrobią wszystko, żeby do końca 2024 r. Andrzej Duda prezydentem nie był? To pewne.

Z perspektywy influencera

Z Kamilem Wodką rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Dlaczego warto wybrać się na film „Dziewczyna influencera"?

Kamil Wodka: Bo jest bardzo na czasie. Dotyka tematów, z którymi codziennie mamy do czynienia, przesuwając palcem po ekranie telefonu. I jeśli do tej pory się nie zorientowaliśmy, można w nim zobaczyć, jak życie kreowane w mediach społecznościowych wygląda od drugiej strony. Że nie zawsze jest pięknie i kolorowo, a pod plastikowym wdziankiem nieraz kryje się pogmatwana czy mroczna historia.

Z kim najlepiej odkrywać tę historię?

Z przyjaciółmi, dziewczyną... bo jest w tym filmie sporo rozrywki. Ale myślę, że warto byłoby też zabrać na seans niektórych rodziców. Szczególnie tych coraz młodszych uczestników świata wirtualnego. Bo podobnie jak ich dzieci (choć z innych powodów) często nie widzą pułapek i zagrożeń nowych mediów. A po filmie może będą czujniejsi, zaczną trzymać rękę na pulsie, sprawdzać, co oglądają i co udostępniają na platformach steamingowych ich dzieci.

Na planie obracał się pan w barwnym towarzystwie.

I spełniło się jedno z moich dziecięcych marzeń. To o poznaniu Małgosi z serialu „M jak miłość". Byłem wielkim fanem Joasi Koroniewskiej, a teraz zagrałem z nią w filmie.

Sympatię telewidzów dał panu „Nowy" z serialu „Na sygnale", szeroką rozpoznawalność – netfliksowe „Sexify". Jak się pan odnalazł w najnowszej roli?

Całkiem nieźle. Też lubię „influencerskie stylówki" [śmiech]. Do tego stopnia, że zdaniem dziewczyn odpowiadających za kostiumy mógłbym grać Konfiego w prywatnych strojach. Choć oczywiście trochę się też różnimy.

Czytaj też na str. 77–78

Fot. TVP

eprasa.pl b1262a55b7

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: A. WIKTOR, SHUTTERSTOCK, WORLD ECONOMIC FORUM / BORIS BALDINGER, MAT. PRASOWE

TRENDY I OWĘDY

Miliony problemów

Kiedyś zaborcy czy okupanci stawiali na rozpijanie społeczeństwa

Ryszard Makowski

W III RP obywatele znaleźli przyjemniejsze warianty spędzania czasu niż spożycie do imentu. Zdezaktualizowały się żarty: wchodzi gość do restauracji, nie ma miejsc, tylko przy jednym stoliku siedzi samotny, dobrze trącony konsument, a obok niego jest puste krzesło. Gość podchodzi – „Czy to miejsce jest wolne?”, „Chwilunia”, konsument zagląda pod stół – „Ty, będziesz jeszcze siedział?”.

Teraz lokale to mekka wegetarian, wegan, raczących się cynamonową kawą latte z mlekiem owsianym. Problem jest jednak taki, że to towarzystwo pozornie z wyższej półki zainfekowano wirusem tak „nowoczesnych” poglądów, że mają bardziej zwichrowany system wartości niż klienci peerelowskiej budki z piwem. „Zniewolony umysł” powinien zastąpić „zatruty umysł”. Jak to jest możliwe, by ludzie mianujący się elitą, profesorowie, lekarze, prawnicy, a przede wszystkim nauczyciele, byli dumni z używania bluzgów typu ***** ***? Okazują pogardę dla „moherów”, „pisiorów”, oczywiście w ramach poszanowania inności i tolerancji. Zagorzali obrońcy konstytucji są teraz zachwyceni, gdy ta konstytucja jest rytualnie deptana. Nie przeszkadza im, że „rozgrzanych sędziów” zastąpił „rozgrzany minister sprawiedliwości”. Nie ma takiej nieprawości, której ochoczo nie przyklasną.

W wywiadzie premiera dla trzech sformatowanych telewizji padły słowa, że wyborcy PiS są problemem. W internecie pojawił się hasztag #JestemProblememTuska, uzupełniany zdjęciami. Te miliony problemów to chyba jedyna nadzieja na trzeźwość myślenia.

eprasa.pl b1262a55b7

Nasza sprawa jest bardzo drastyczna, ale widzimy, co się dzieje w mediach, w prokuraturze, jakie są zapowiadane dalsze ruchy tego reżimu. To, że ten rząd powstał 13 grudnia, ma symboliczną wymowę. Adekwatne są porównania z reżimem Jaruzelskiego. Dzisiaj też rządzą siła i przemoc

Jesteśmy gotowi na twardy opór

eprasa.pl b1262a55b7

Fot. Andrzej Wiktor

Z Mariuszem Kamińskim i Maciejem Wąsikiem, posłami PiS, pierwszymi więźniami politycznymi Donalda Tuska, rozmawiają Marek Pyza i Marcin Wikło

Dobrze panów widzieć na wolności. Na początek zapytamy, jak się czujecie? Kilkanaście dni głodówki nie może nie zostawić śladu na organizmie. Jak z waszym zdrowiem?

Mariusz Kamiński: Nie najgorzej. Trochę schudliśmy. Pewne problemy się pojawiały, ale wszystko jest pod kontrolą.

Maciej Wąsik: Ze zdrowiem nie jest źle. Ale naszą rozmowę musimy zacząć od podziękowań tym wszystkim, którzy byli razem z nami. Przede wszystkim naszym żonom. One wzięły na siebie wielki ciężar. Codziennie były przed więzieniami. Każdego dnia o 18.00 czekałem, aż usłyszę głos Romy. To ona przez megafon powiedziała, że wyjdę za krótki czas. Była niezwykle dzielna i silna. Dziękujemy też dziennikarzom, wszystkim, którzy demonstrowali na ulicach Warszawy 11 stycznia i tym, którzy przyjeżdżali przed więzienia. Tym, którzy codziennie byli z nami od godz. 18.00. Dziękuję wszystkim, którzy dawali nam pocieszenie, otuchę i nadzieję, którzy stali na mrozie, na śniegu, w wietrze. To było bardzo ważne. Dziękuję wszystkim, którzy pisali listy. Dostaliśmy ich po kilkaset. Pewnie jeszcze niektóre dojdą do więzienia po naszym zwolnieniu i zostaną nam przekazane. To jest wielka sprawa. Dzięki temu czuliśmy się wolnymi ludźmi.

M.K.: Tak, to było niezwykłe. Codziennie o godz. 18.00 uchylałem okno i słyszałem potężny głos wspierających nas ludzi. Nasze cudowne żony opowiadały nam, że to byli zwykli, wspaniali ludzie. Oczywiście byli wśród nich i nasi przyjaciele, posłowie, ale też Polacy poruszeni tym, co się wydarzyło. To było dla nas wielkie wsparcie moralne. Czuliśmy się dzięki temu silni.

W Przytułach Starych wieczorami można było dostrzec sylwetkę człowieka przez mleczną szybę w oknie celi nr 339. Wówczas bardzo wzmagały się okrzyki wsparcia dla Macieja Wąsika. To rzeczywiście był pan?

M.W.: Tak! Pawilon D, blok 16, cela 339. Miałem to szczęście, że okno było od strony, po której gromadzili się moi przyjaciele.

Dziś możemy się uśmiechać, rozumiemy, że po dwóch tygodniach za kratami, wreszcie uwolnieni, w naturalny sposób czują panowie radość. W celi zapewne nie było tak wesoło. Jak zachowuje się organizm, jakie przychodzą myśli w kolejnej dobie protestu głodowego?

M.W.: Łatwo nie było. Nie zjedliśmy żadnego posiłku ani w areszcie, ani w zakładach karnych. Przyznaję, miałem taki moment, że z głodu chciałem chodzić po suficie. Ale zapijałem to herbatą czy sokiem. Miałem nad Mariuszem tę przewagę, że wszedłem do celi z „lepszymi zapasami naturalnymi", których jeszcze trochę zostało [śmiech].

eprasa.pl b1262a55b7

M.K.: Przez pierwsze dni czułem fizyczny głód, a później to już przechodzi, piłem tylko wodę. Ja niestety mam pewne zalecenia lekarskie, więc po wyjściu nie mogłem się najeść, musiałem się zadowolić kleikiem ryżowym. Dziś doszedł delikatny rosołek. Był pyszny.

M.W.: A ja chciałem od razu jechać do jakiegoś baru i zjeść kiełbasę na gorąco. Nie wiem dlaczego, ale w więzieniu kilkakrotnie śnił mi się ten rarytas. Jednak żona mi nie pozwoliła, zapewne słusznie. W domu dała mi jogurt, do którego dodatkowo wyprosiłem kajzerkę. To absolutnie zaspokoiło mój głód na pierwszą noc.

To był czas próby nie tylko dla was samych, lecz także panów najbliższych. Szybko się okazało, że panów żony są w zasadzie liderkami tych protestów, miały wielki wkład w to, że o was nie zapomniano i bez przerwy wspierano.

M.K.: Nie wiedzieliśmy, że są aż tak silne. Mówiąc szczerze, trochę się bałem, jak one to wytrzymają. Były niezwykle waleczne. Tak naprawdę zaczęły organizować autentyczny ruch obywatelski w naszej obronie. Jestem dumny z Basi i mojego syna Kacpra.

M.W.: Mieliśmy w naszych żonach oparcie, którego nie da się przecenić. Jestem pod ogromnym wrażeniem siły mojej rodziny. Trochę się obawiałem, jak zareagują najbliżsi, czy się nie załamią, nie będą się na mnie złościć, że dałem się zamknąć i dzieci zostaną na dłuższy czas bez ojca. Roma o wszystko zadbała. Dzieci wysłała na ferie, byłem o nie spokojny. Dzielna żona i matka, silna w godzinie próby.

M.K.: Nasze żony poruszyły niebo i ziemię, by nam pomóc. Choć zostaliśmy na dwa tygodnie rozdzieleni, z każdym dniem coraz wyraźniej czuliśmy, jak są blisko nas.

M.W.: Bałem się o moich synów. Mają 12 i 16 lat, czy to się na nich nie odbije w jakiś szczególny sposób? Dziś już wiem, że te zmartwienia były niepotrzebne. W najtrudniejszym momencie nie dali się złamać, nawet przez moment nie zwątpili w sens naszej walki. Duża w tym zasługa naszych żon, które tak szybko nas stamtąd wyrwały.

Dochodziły do panów te głosy z zewnątrz, słyszeliście wasze żony, które codziennie przyjeżdżały do Radomia i Przytuł Starych?

M.W.: To było wzruszenie nie do opisania, gdy każdego dnia o 18.00 słyszałem głos Romy. Ona zaczynała te wszystkie protesty. Codziennie dostawałem potwierdzenie, że jest przy mnie, jest w dobrej formie. Dawało to mnóstwo siły.

Ale ok. godz. 20.00 te głosy milkły, ludzie się rozchodzili, zostawaliście sami. O czym się wtedy myśli? Czy przychodzą chwile zwątpienia?

M.K.: Nie miałem takiego momentu. Gdy kończyły się te manifestacje, zaczynało się czekanie na kolejne następnego dnia. Szczerze mówiąc, brałem wtedy książkę i oddawałem się lekturze.

Co panowie wzięli do czytania w celi?

M.K.: Miałem ze sobą tomik wierszy Herberta.

M.W.: Ja też, a naprawdę tego nie konsultowaliśmy. W pałacu prezydenckim okazało się, że obaj postanowiliśmy, że przez ten trudny czas przejdziemy w towarzystwie Księcia Poetów.

M.K.: Spakowałem również wspomnienia Janka Kelusa, które czytałem 20 lat temu i „Mówią ludzie 1863 roku" ks. Józefa Jarzębowskiego, londyńskie wydanie, które kupiłem już jakiś czas temu, ale nie zdążyłem przeczytać. To zbiór dokumentów, listów i wspomnień z okresu powstania styczniowego, szczególnie mi bliskiego.

M.W.: Ja poza Herbertem wziąłem Sergiusza Piaseckiego „Piąty etap" i „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy". Przeczytałem też „Kontrolę" Suworowa, którą wypożyczyłem z więziennej biblioteki.

Kiedy sobie panowie uświadomili, że to, jak was potraktowano, wcale nie jest oznaką siły tego reżimu? Że może i sięgną nawet do pałacu prezydenckiego, ale tą przemocą kryją własną słabość?

M.W.: Od samego początku mieliśmy takie poczucie. Dlatego przez cały czas byliśmy tak spokojni.

M.K.: Nie od początku miałem w celi telewizor, dopiero po kilku dniach mi go kupiono. Wiedzę czerpałem więc tylko z rozmów z żoną i adwokatem.

Jak często mogli panowie rozmawiać telefonicznie z małżonkami?

M.K.: Formalnie dwa razy w tygodniu po 10 min. Aż pewnego dnia przedstawiciel administracji więziennej poinformował mnie, że jeżeli złożę wniosek do dyrektora, to zgodzi się na codzienny kontakt. To była oznaka tego, że po tamtej stronie zaczynają pękać. Złożyłem więc taki wniosek i dostałem pozwolenie.

M.W.: Mariusz miał więcej szczęścia. Mnie powiedziano, że nie usłyszę żony więcej niż dwa razy w tygodniu.

To wsparcie z zewnątrz bardzo szybko okazało się ogromne, bo dwa dni po panów bezprawnym uwięzieniu w Warszawie odbyła się największa zimowa manifestacja w historii III Rzeczypospolitej. Była tak liczna w dużej mierze z panów powodu.

M.K.: To była manifestacja w obronie wolności, zwołana z powodu pacyfikacji mediów publicznych, lecz w międzyczasie władza Tuska poszła naprawdę głęboko w proces demontażu demokratycznego państwa. Wiemy, że była ona również w naszej obronie. Gdy się dowiedzieliśmy, jak olbrzymia liczba ludzi wzięła w niej udział, dało nam to mnóstwo siły i nadzieję, że przeciw dziejącemu się w naszym kraju bezprawiu będzie opór. On musi być, musimy walczyć. Nasza sprawa jest bardzo drastyczna, ale widzimy, co się dzieje w mediach, w prokuraturze, jakie są zapowiadane dalsze ruchy tego reżimu. To, że ten rząd powstał 13 grudnia, ma symboliczną wymowę. Adekwatne są porównania z reżimem Jaruzelskiego. Dzisiaj też rządzą siła i przemoc. Rządzą ludzie bezwzględni, ostentacyjnie łamiący prawo, mający zagraniczne poparcie. Im się wydaje, że to wystarczy, by zniszczyć opozycję. To jest ich cel.

Czy w panów przypadku była synergia w działaniu polityków i sędziów?

M.W.: Od samego początku. Było dla mnie jasne, że chcą nas wziąć za kraty natychmiast po objęciu władzy. Byłem nastawiony na to, że nie spędzę świąt z najbliższymi, że przyjdą już przed Wigilią. Tak się spieszyli.

eprasa.pl b1262a55b7

Fot. Andrzej Wiktor

Kiedy zapadła decyzja o głodówce i dlaczego przyjęliście panowie tak drastyczną formę protestu?

M.K.: Miałem przygotowane pismo do Bodnara już kiedy mnie brali. Napisałem w nim, że w związku z bezprawnymi działaniami wobec byłego kierownictwa CBA oraz pozbawieniem nas możliwości wypełniania mandatów poselskich od pierwszego momentu pobytu w areszcie odmawiam przyjmowania posiłków. Miałem bardzo ograniczone możliwości protestu, a to jest tradycyjna forma protestu więźniów politycznych. Wywodzę się z opozycji solidarnościowej, wielu moich przyjaciół prowadziło takie protesty, gdy byli osadzeni w więzieniach. Przygotowywali mnie do tego psychicznie, mówili, jak się czuli, kiedy za komuny głodowali. Byłem więc w pełni przygotowany, wiedziałem, z czym się to wiąże, że jest to ryzyko dla zdrowia, ale uznałem, że są ważniejsze wartości – godność, honor i wolność.

M.W.: Moja decyzja o proteście głodowym została przyjęta przez funkcjonariuszy ze zrozumieniem. Wytłumaczyłem, że to nie jest zwykła niesubordynacja ani protest wobec Służby Więziennej, lecz krzyk o naszą wolność. Że nie mogę się zachować inaczej. Gdy zapytano mnie, kiedy rozważam przerwanie protestu, odpowiedziałem, że w momencie, kiedy wyjdę na wolność.

Ale nikt nie chciał karać panów za podjęcie głodówki?

M.W.: Przeprowadzono postępowanie, wobec mnie nie wyciągnięto konsekwencji, ale Mariusza ukarano naganą.

M.K.: W areszcie na Grochowie usiłowano mi przeprowadzić rewizję osobistą, a przy każdym wyjściu z celi zakładać kajdanki. Odmówiłem. Powiedziałem, że tylko przemocą mogą mi coś takiego narzucić. Powołali się na regulamin, ponownie zaprotestowałem, bo on nie dotyczył mnie, jest dla więźniów kryminalnych, a nie politycznych. Było bardzo nerwowo, dyrektor ostatecznie odstąpił od tych działań. Następnie zostałem wezwany na posiedzenie jakiejś komisji penitencjarnej i ukarany naganą za nieprzestrzeganie regulaminu, również za nieprzyjmowanie posiłków.

Nie wiemy, czy panowie o tym wiedzą – są dziennikarze, którzy o to pytali, interesowało ich, czy można was jakoś ukarać za głodówkę.

M.W.: Są redakcje, które miałyby dużą satysfakcję, podając, iż Wąsikowi i Kamińskiemu wymierzono w więzieniu dodatkowe kary. Miałem w celi telewizor, więc widziałem, że przez dwa tygodnie używali sobie na nas. Być może myśleli, że kopią leżącego, ale my nie leżeliśmy, siedzieliśmy z godnością, głodowaliśmy z godnością. Dwa tygodnie temu Jan Maria Rokita pisał w tygodniku „Sieci" o Donaldzie Tusku: małostkowy i pamiętliwy. Wiemy, że Tusk pamięta nam różne rzeczy.

eprasa.pl b1262a55b7

W słynnym wywiadzie dla trzech telewizji pozwolił sobie na słowa, których nie pozostawimy bez odpowiedzi. Tusk mówił, że „w niektórych krajach – np. w Wielkiej Brytanii – za to, co zrobili Wąsik i Kamiński, grozi dożywocie".

To była próba zrobienia z panów przestępców porównywalnych z mordercami.

M.W.: Próbowali odrzeć nas z godności i przypisać nam ciężkie zbrodnie, nawet wbrew temu pozornemu wyrokowi sądu z 20 grudnia. Ci, którzy go uznają, powinni go kiedyś przeczytać i zobaczyć, za co ten pozorny sąd Iustitii nas skazał. Tam nie było żadnej zbrodni, skazano nas za techniczne aspekty wykonywania niektórych czynności operacyjnych.

W tym bezprawnym wyroku chodzi o „przekroczenie uprawnień" podczas ścigania afery gruntowej. Wszystko opiera się na zarzucie fałszowania dokumentów i nagrywania operacji specjalnej w pokoju hotelowym, czyli w miejscu niepublicznym.

M.W.: W tej sprawie musieliśmy stworzyć odpowiednią legendę dla agenta pod przykryciem – fałszywą tożsamość i dokumenty poświadczające, że jest właścicielem dużej działki na Mazurach, którą będzie chciał przekształcić. Na wszystkie te działania oraz kontrolowane wręczenie korzyści majątkowej mieliśmy zgodę Prokuratora Generalnego. Sąd zezwolił na kontrolę operacyjną i rejestrowanie wszystkich czynności. Rzecz rozbija się zapewne o pewne niezrozumienie przez sąd różnicy między podsłuchem a rejestracją operacji kontrolowanego wręczenia łapówki. Zarzucono nam, że prowadziliśmy rejestrację w pokoju hotelowym, a więc nie w miejscu publicznym. Według tej logiki mogliśmy nagrywać przed hotelem, w recepcji, ale już nie w pokoju. Przecież to absurd wiążący służbom ręce!

Dziś słyszymy nawet, że całą aferę stworzyli panowie od początku, by zniszczyć Andrzeja Leppera, by go na siłę umoczyć w tę sprawę.

M.W.: To kłamstwo. Afery nikt nie wymyślił, był biznesmen, który twierdził, że miał kontakty w Ministerstwie Rolnictwa i oferował odrolnienie działek w zamian za gigantyczne łapówki. CBA tylko odpowiedziało na jego ofertę.

M.K.: Działania operacyjne CBA szybko dowiodły, że relacje głównych bohaterów tego przekrętu z Andrzejem Lepperem i innymi politykami Samoobrony są prawdziwe, a tropy wiodą na szczyt władzy, do naszego koalicjanta. Wiedzieliśmy, że ryzykujemy upadkiem rządu, lecz nie mogliśmy się wycofać.

> Nie wiedzieliśmy, że nasze żony są aż tak silne. Mieliśmy w nich oparcie, którego nie da się przecenić

Siedzimy w redakcji telewizji wPolsce.pl, tygodnika „Sieci", portalu wPolityce.pl, ale wszyscy oczekiwali panów dziś w Sejmie. Teren parlamentu od rana został obstawiony policją, kontrolowane są samochody wjeżdżające, jakbyście chcieli się ukryć w bagażnikach, niczym niegdyś posłowie dzisiejszej koalicji w czasie protestów KOD. Dlaczego nie jesteście przy ul. Wiejskiej?

M.K.: Gdy przed zatrzymaniem powiedzieliśmy, że wybieramy się do Sejmu, by wykonywać swoje obowiązki poselskie, Hołownia przełożył posiedzenie. Dziś więc wykazał się aktem odwagi, obrady się odbyły, ale Sejm został solidnie zabezpieczony przed tymi dwoma potworami, czyli nami. Tusk i cała jego ekipa to są straszni tchórze.

M.W.: Tak, boją się, strach ma oczy Hołowni.

M.K.: Padają kolejne groźby wszczynania przeciwko nam procesów karnych. Tusk już przecież przesądził, że jego komisje śledcze mają udowodnić, jakimi byliśmy zbrodniarzami. Dla nich naprawdę jesteśmy niebezpieczni. Przypomnijmy – gdy w 2007 r. został premierem, musiał przyjąć do wiadomości, że ustawa o CBA, a wówczas byłem szefem tej służby, zakłada kadencyjność szefa. Nie miał podstaw, żeby mnie odwołać. W tym czasie wykryliśmy i ujawniliśmy m.in. aferę hazardową, w której kluczowe role odgrywali czołowi politycy Platformy Obywatelskiej, minister sportu Mirosław Drzewiecki i szef klubu PO Zbigniew Chlebowski. Jako szef CBA wysłałem premierowi Tuskowi raport, tajne pismo opisujące kulisy manipulacji rządową ustawą przygotowaną przez Ministerstwo Finansów. Przestępcy chcieli wyeliminować z niej przepisy niekorzystne dla branży hazardowej. Wówczas setki milionów złotych pozostałyby w kieszeniach rekinów hazardu. Dwa tygodnie później otrzymałem pismo z prokuratury, że wzywają mnie w charakterze podejrzanego w związku ze ściganiem afery gruntowej. Postawienie mi zarzutów wystarczyło Tuskowi za pretekst, by uznać, że nie spełniam kryterium nieskazitelności i odwołać mnie z pełnionej funkcji mimo trwającej kadencji.

Jesteście panowie posłami, macie legitymacje, powinniście uczestniczyć w obradach. Wszyscy tam na was czekali, zwłaszcza marszałek Hołownia.

M.K.: Niech czeka dalej.

M.W.: Niech nie zna dnia ani godziny.

M.K.: My się pojawimy. Ale proszę zwrócić uwagę, że dosłownie chwilę temu wyszliśmy z więzienia. Ja jestem w trakcie pewnych konsultacji medycznych. Chcemy pojawić się w Sejmie w sposób zaplanowany, bardzo precyzyjny. Panie Hołownia, na pewno pojawimy się w najbliższym czasie, ale na naszych, a nie na pańskich warunkach. Nie jesteśmy byłymi posłami, mamy legitymacje poselskie, a przede wszystkim wyrok Sądu Najwyższego, unieważniający pana decyzję o wygaśnięciu naszych mandatów.

M.W.: To niezwykle istotne, bo orzeczenie SN stwierdza, że mamy mandaty.

M.K.: Państwowa Komisja Wyborcza nie wygasiła naszych mandatów, nie ogłosiła naboru na miejsca po nas. To, co robi Hołownia i jego zaplecze, jest wielkim bezprawiem uderzającym

eprasa.pl b1262a55b7

w fundamenty systemu demokratycznego. W sposób nielegalny, bezprawny usiłuje się pozbawić posłów możliwości pełnienia mandatów. Zaś naszych wyborców – a mieliśmy duże poparcie, po kilkadziesiąt tysięcy głosów – próbuje się pozbawić takiej reprezentacji, jaką sobie demokratycznie wybrali.

Pan marszałek ma twardy orzech do zgryzienia, bo musi coś odpowiedzieć na pismo z PKW, która domaga się podania podstaw prawnych jego wniosku o wskazanie panów ewentualnych następców. A on tych podstaw przecież nie ma.

M.K.: W swoim antydemokratycznym szalbierstwie popełniają straszne błędy. Twierdzą, że 20 grudnia zapadł wyrok i z automatu przestaliśmy być posłami. Ale dwa dni później było posiedzenie Sejmu, w którym uczestniczyliśmy i nawet głosowaliśmy. Nie unieważniono tych głosowań. Marszałek Hołownia nas widział, obserwował, nawet rozmawialiśmy. Gdzie tu logika?

M.W.: Marszałek, który twierdzi, że 20 grudnia przestaliśmy być posłami, wysłał mi pieniądze na prowadzenie mojego biura poselskiego w styczniu. Dostałem dietę parlamentarną na styczeń. Miota się między różnymi opiniami. Pamiętacie konferencję prasową, na której mówił, że moja sytuacja jest „niedookreślona", że on nie wie, czy ja jestem posłem? Mało tego, wydał postanowienie wygaszające nam mandaty, a ordynacja mówi jasno, w jaki sposób można to przeprowadzić – na podstawie wpisu do Krajowego Rejestru Karnego, przekazanego mu od ministra sprawiedliwości. W momencie, w którym on wydawał to postanowienie, obaj mieliśmy czysty rejestr karny.

Czym był motywowany ten pośpiech?

M.W.: Chcieli nas wsadzić jeszcze przed świętami – tak jak zatrzymywali komuniści. Moja mama w Wilnie została zatrzymana przez NKWD 24 grudnia. W tym czasie Polacy zawsze są w domu, z rodziną. Chcieli nas w ten sposób dodatkowo upokorzyć. Złamać. Ale się przeliczyli. Naszej dumy nawet nie drasnęli.

Przejdźmy do panów zatrzymania i wyciągnięcia z pałacu prezydenckiego. Jaki to miał być sygnał dla was, dla pana prezydenta, opozycji i dla wszystkich Polaków?

M.K.: To kolejny element zastraszania opozycji i jednocześnie uderzenie w głowę państwa. My się przecież nie ukrywaliśmy, pojechaliśmy do pałacu oficjalnie. Informacja, że jesteśmy zaproszeni na spotkanie, pojawiła się dzień wcześniej. Przyjechaliśmy, rozmawialiśmy z prezydentem. On miał obowiązki państwowe, rozmowę z prezydentem Zełenskim, w Belwederze spotkanie z opozycją białoruską. Poprosił, żebyśmy poczekali na dokończenie naszej rozmowy.

> Jeden z funkcjonariuszy wziął mnie na bok i powiedział: „Panie ministrze, dla mnie to jest hańba. Wstydzę się nosić ten mundur dlatego, że pan tu jest"

M.W.: Mieliśmy też briefing prasowy na dziedzińcu przed pałacem. Nie może być mowy o jakimkolwiek ukrywaniu się.

M.K.: W którymś momencie naszej rozmowy z panią minister Grażyną Ignaczak-Bandych przyjechał zastępca szefa SOP z informacją, że mają nakaz i muszą udzielić pomocy policji. Powiedziałem komendantowi Hebdzie, że w tej chwili prezydent jest na zewnątrz, pełni ważne obowiązki, będzie za pół godziny. Według mnie powinien się zwrócić z taką informacją bezpośrednio do pana prezydenta. Chwilę później wkroczyło kilkunastu funkcjonariuszy policji, którzy siłą wyciągnęli nas przez sekretariat z pokoju przylegającego bezpośrednio do gabinetu prezydenta RP.

M.W.: Do gabinetu, w którym przebywaliśmy, weszło 12 policjantów. Znam swoje prawa jako osoby zatrzymanej, zażądałem więc telefonu do adwokata, zadzwoniłem do niego. Zaledwie po kilku zdaniach policjant wyrwał mi telefon. Dla nas było jasne, skąd ten pośpiech. Chodziło przecież o to, by zdążyć nas zabrać, zanim wróci prezydent. Na tym polegał ten podstęp. I zrobili wszystko, by trzymać się swojego planu. Potem wmawiano ludziom, że przed Belwederem zepsuł się autobus miejski i dlatego prezydent przez dłuższą chwilę nie mógł stamtąd wyjechać. Co to za bajki? To wszystko było dogadane, autobus zepsuł się tam, gdzie miał się zepsuć.

Jak nazwać taką akcję? Widać, że ktoś ją musiał koordynować z o wiele wyższego poziomu niż policjanci, którzy panów zatrzymali.

M.K.: Nie ma możliwości, aby wtargnięcie do pałacu prezydenckiego odbyło się bez wiedzy Donalda Tuska, to od niego popłynął polityczny rozkaz. To on musiał zatwierdzić działania Kierwińskiego, który jest typowym partyjnym aparatczykiem, lojalnie wykonującym polecania Tuska.

Czy ktoś kiedyś za to odpowie?

M.K.: Będziemy do tego dążyć i doprowadzimy do rozliczenia całego tego bezprawia. Jesteśmy cierpliwi, wszystko stanie się w swoim czasie.

Po aresztowaniu przewieziono panów do komisariatu na Grochowie, potem umieszczono w dwóch więzieniach – w Radomiu i Przytułach Starych. Padały wówczas pytania o wasze bezpieczeństwo. Upraszczając, policjanci zostali osadzeni pomiędzy kryminalistami, których ścigali. Mieli panowie choć przez chwilę poczucie zagrożenia ze strony współwięźniów?

M.K.: Ja przez cały czas byłem całkowicie izolowany, gdy wychodziłem poza celę, inne pomieszczenia były zamknięte. Cały obiekt był całodobowo monitorowany. Nie miałem żadnych wrogich reakcji.

eprasa.pl b1262a55b7

M.W.: W Przytułach Starych był taki moment, gdy więźniowie zareagowali agresywnie i wykrzykiwali coś pod adresem moim i Mariusza. Ale bądźmy szczerzy, ta poetyka nie różni się za bardzo od tego, co politycy Platformy wykrzykują pod adresem obecnej opozycji. Nie zrobiło to na mnie większego wrażenia.

M.K.: To może ja doprecyzuję – takie okrzyki słyszałem na sali plenarnej w Sejmie. Mówię o tym, bo widzę, że manipulowany jest pokazany wówczas przeze mnie „gest Kozakiewicza". On nie miał być ani wulgarny, ani arogancki, nie chciałem pokazać, że i tak mi nic nie zrobicie. To był gest godnościowy, gest człowieka, który wiedział, że za chwilę pójdzie siedzieć, a gdy wszedł na salę sejmową, usłyszał ten wstrętny, partyjny skowyt: do więzienia, do więzienia!

M.W.: W samym więzieniu aż tak źle nie było, a poza tym szybko się to skończyło. Więźniowie codziennie słyszeli manifestacje poparcia dla nas, więc musieli się zastanowić, czy mają rację, obsobaczając osoby, o które Polska tak intensywnie się upomina.

M.K.: Nawet jeśli nie było bezpośredniego zagrożenia, to nie jest to przyjemne. Dowiedziałem się np., że w tym samym więzieniu w Radomiu jest osadzony Pablo Gonzalez, działający pod przykryciem dziennikarza, pochodzący z rosyjsko-hiszpańskiej rodziny agent GRU. Najgroźniejszy rosyjski szpieg, jaki został ujęty przez polskie służby specjalne. Został aresztowany w czasie, kiedy nadzorowałem działania kontrwywiadu ABW.

Jak byli panowie traktowani przez klawiszy?

M.K.: W areszcie na Grochowie było bardzo nieprzyjemnie. Widać było, że oni są bardzo zestresowani, nie wiedzą, co się dzieje. Gdy jeszcze im powiedziałem, że nie pozwolę sobie założyć kajdanek i poddać się rewizji osobistej, zbaranieli.

M.W.: Słyszałem Mariusza, jak się z nimi szarpie. Ja odpuściłem te przepychanki, chciałem jak najszybciej się od nich uwolnić i wejść do celi.

M.K.: Strażnicy na Grochowie byli strasznie wkurzeni, na granicy uderzenia. Wiedzieli, że nie mogą sobie na to pozwolić, a ja widziałem, jak się w nich gotuje. W Radomiu już było inaczej. Miałem mnóstwo oznak cichej sympatii. Jeden z funkcjonariuszy wziął mnie na bok i usłyszałem: „Panie ministrze, dla mnie to jest hańba. Wstydzę się nosić ten mundur dlatego, że pan tu jest". Takich sygnałów było sporo. Padło też wiele cierpkich słów pod adresem Donalda Tuska.

M.W.: W Przytułach było podobnie. Do mnie jeden ze strażników powiedział: „W ogóle nie powinno tu pana być".

Kilka dni po waszym uwięzieniu pan prezydent wszczął procedurę ułaskawieniową. Tym razem opartą na Kodeksie postępowania karnego, która wymagała udziału prokuratora generalnego. Adam Bodnar nie odpowiedział na apel o natychmiastowe uwolnienie was na czas trwania procedury, nie spieszył się także ze sformułowaniem opinii ani z przesłaniem akt prezydentowi, by ten mógł domknąć procedurę. Jak to panowie odbierali?

M.K.: Nie miejmy złudzeń co do jego intencji. Bodnar mógł zwlekać tygodniami i miesiącami. Ale zrozumieliśmy, w czym tkwi siła ludzi i demonstracji, które przed naszymi więzieniami codziennie przybierały na sile. To wspaniali ludzie. On też słyszał ten krzyk. Zobaczył tę wielotysięczną demonstrację w Warszawie 11 stycznia, zobaczył, jak stanęły za nami kolejne miasta i myślę, że zaczął się bać. To, że nasze uwolnienie nastąpiło tak szybko, jest efektem skutecznego i pięknego działania pana prezydenta, ale to też strach Bodnara. Tusk i Bodnar są tchórzami, którzy się boją gniewu ludzi. A ten gniew będzie narastał. Wygraliśmy pierwszą bitwę, lecz wojna o Polskę dopiero się rozpoczęła.

M.W.: Nasze żony relacjonowały nam wizytę u ministra Bodnara. Roma powiedziała, że była zdumiona oziębłością i atmosferą tego spotkania. Nie widziała ani grama empatii, dziwiła się, że ten człowiek był kiedyś rzecznikiem praw obywatelskich. One przychodziły jako żony niewinnie skazanych, niewinnie osadzonych ludzi, które szukają wolności dla swoich mężów, bo wiedzą, że ta sytuacja to wielkie oszustwo ze strony rządzących. Myślały, że trafią do człowieka, który stawał kiedyś po stronie krzywdzonych. Otóż nie, to było zimne spotkanie, które nie dało im żadnej nadziei. Też mam przekonanie, że wyszliśmy po dwóch tygodniach, bo dopominali się o to zwykli ludzie.

M.K.: Początkowo Bodnar próbował zepchnąć spotkanie z naszymi żonami na barki wiceminister Ejchart. One były zdeterminowane przyjść i stać przed ministerstwem do czasu, dopóki Bodnar ich nie przyjmie. To go złamało. W którymś momencie użył argumentu, że prezydent rozpoczął procedurę ułaskawieniową, ale on nie wie, jak ta procedura się skończy, czy aby na pewno prezydent nas ułaskawi. Co za absurd! Skoro prezydent zaczyna procedurę, to znaczy, że jego oczywistą intencją jest ułaskawienie. To było wytwarzanie mgły, przeciąganie sprawy. Nie miał woli, nie miał ludzkiego odruchu, by nam pomóc. Widziałem okładkę tygodnika „Sieci" z tytułem „Rzeźnik praw obywatelskich". Fantastyczne i bardzo adekwatne sformułowanie.

À propos praw obywatelskich, macie panowie poczucie, że wasze prawa są naruszane? To pytanie przede wszystkim do pana ministra Kamińskiego o postanowienie w sprawie przymusowego dokarmiania bardzo inwazyjną metodą sondy przez nos.

M.K.: Postępowanie sądu penitencjarnego w Radomiu wywołało u mnie szok. Gdyby nie jeden z lekarzy, który kurtuazyjnie powiedział mi, że rozpoczęto postępowanie w sprawie przymusowego dokarmiania, to do końca bym tego nie wiedział. A i tak całkowicie zignorowano moje pismo, w którym przedstawiłem dokumentację medyczną i domagałem się możliwości zabrania głosu podczas rozprawy. Zostałem po prostu poinformowany, że sąd podjął decyzję o moim przymusowym dokarmianiu.

Jarosław Kaczyński mówił wręcz o torturach.

M.K.: No bo jak inaczej to rozumieć? Zwróćmy uwagę, kiedy do tego doszło. W ostatniej dobie uwięzienia miałem

eprasa.pl b1262a55b7

PIERWSI WIĘŹNIOWIE POLITYCZNI TUSKA

pewne problemy kardiologiczne, więc przewieziono mnie do szpitala. Po kilku godzinach ustabilizowano sytuację, stwierdzono, że nie ma zagrożenia życia i wróciłem do więzienia. Wtedy pojawił się sędzia Kobylski, kolejny działacz Iustitii, który wydał wyrok w sprawie przymusowego dokarmiania, i to bardzo inwazyjną metodą, wkładając sondę przez nos. Zaprotestowałem, w przestrzeni publicznej pojawiły się już przecież informacje o akcie łaski i było jasne, że niebawem wyjdę, to była kwestia godzin. Pojawiło się sześciu funkcjonariuszy. Zabrano mnie do innego pomieszczenia, skuto pasami, nie mogłem się ruszać. Kilkukrotnie usiłowano wprowadzić mi sondę przez nos, ale mam skrzywioną przegrodę i to się nie udało. W związku z tym wepchnięto mi tę około półmetrową rurę przez gardło do żołądka. Wiązało się to z autentycznym cierpieniem fizycznym.

Pamiętacie panowie moment wyjścia? Otwarcia drzwi i otoczenia przez ludzi czekających na was?

M.W.: Miałem uchylone okno, słyszałem, że ta wrzawa się nasila. Czekałem spokojnie. Wziąłem do ręki różaniec, który odmawiałem codziennie z telewizją Trwam. Gdy tylko rozpocząłem modlitwę, otworzyły się drzwi, wszedł strażnik i poinformował mnie, że wychodzę. Ktoś może zlekceważyć taki znak, ja wierzę, że to nie był przypadek. Gdy wyszedłem na zewnątrz, to była euforia. Najpierw zobaczyłem moją żonę. Rzuciła mi się na szyję. Czekałem na ten moment dwa tygodnie. Marzyłem o nim. Nogi mi się ugięły... Potem zobaczyłem Janka Kelusa, wielkiego opozycjonistę, na wózku, schorowanego, ale czekającego tym razem na mnie. I kolejne osoby, setki osób, które trwały na mrozie i nie chciały odejść, zanim ja nie wyjdę na wolność. To wielkie przeżycie, będę je pamiętał zawsze, to jedna z najbardziej wzruszających chwil, jakich dane mi było doświadczyć.

M.K.: Wspaniały moment. Moja żona, mój syn i to morze życzliwych ludzi. Chciałbym podziękować wszystkim Polakom, którzy wspierali zarówno mnie, jak i moją rodzinę w tych trudnych chwilach. Byli to nie tylko mieszkańcy Radomia, lecz także ludzie pochodzący z wielu innych miejscowości, niekiedy z bardzo daleka. Imiennie chciałbym podziękować Jankowi Kelusowi i jego żonie „Kubie".

M.W.: Pewnego razu przyjechał autobus z Wejherowa. 50 osób, odmówili modlitwę i wrócili. Proszę spojrzeć na mapę, jak to daleko. Związkowcy z pomorskiej Solidarności wynajęli kwaterę gdzieś niedaleko Przytuł, by codziennie być blisko mnie. Nie mam słów, by im wszystkim podziękować.

M.K.: Dzięki nim obroniliśmy honor, obroniliśmy godność. To oni dają nam siłę do dalszej walki.

Były szef CBA Ernest Bejda, wasz przyjaciel i wieloletni współpracownik, w tygodniku „Sieci" mówił, że „jest cały ciąg zdarzeń, które dają podstawę, by o was myśleć jako o więźniach politycznych". Czy czujecie się panowie więźniami politycznymi reżimu Tuska?

M.W.: To oczywiste.

M.K.: Zwróćcie panowie uwagę, że oprócz bezpośrednich represji, trwa również intensywna akcja zniesławiania nas. Są w to zaangażowani ludzie od poziomu Tuska poprzez reżimowych dziennikarzy aż po ośmielanych przez nich internetowych hejterów. Obrażane są nasze żony, nasi najbliżsi. Ta akcja trwa, ale nie ustąpimy, nie boimy się.

M.W.: Strona rządowa mówi, że przecież jest wyrok sądu, więc można o nas powiedzieć wszystko. A ja pytam, czy w latach 80. nie było wyroków jakichś sądów? A sądy stalinowskie nie wydawały jakichś wyroków? Też byli usłużni sędziowie, którzy wiedzieli, co mają zrobić. To też nie była ślepa Temida, tylko represje polityczne na podstawie politycznych wyroków. I my traktujemy nasz wyrok jako polityczny. Taki został wydany, bo taki miał być. Na polityczne zamówienie.

M.K.: Dla mnie określenie „więzień polityczny" brzmi dumnie, ale to także dramatyczne świadectwo czasu, w którym żyjemy. Trzeba mieć tego świadomość i być przygotowanym na wszystko, bo mamy do czynienia z bezwzględnymi, zdeprawowanymi ludźmi u władzy. Nasze podstawowe prawa polityczne i obywatelskie naprawdę są zagrożone. Nie rozkładamy jednak rąk, dla nas to jest czas zbierania sił i stawiania twardego oporu.

eprasa.pl b1262a55b7

Upadek profesury

Wielu naukowców uznało, że uzasadnianie bezprawia oraz instruowanie władzy w kwestiach zemsty i odwetu na PiS oraz wspierających ją Polakach to ich życiowa misja

STANISŁAW JANECKI

Nie jest wielką niespodzianką, że łamanie prawa z konstytucją na czele przez rząd Donalda Tuska jest uzasadniane przez profesorów prawa. Mają oni świadomość, że legitymizują bezprawie, lecz są tak zafiksowani politycznie i ideologicznie, że potrafią uzasadnić wszystko. Można wpaść w skrajne zdumienie, że liczni prawnicy akademicy uprawiają ten sam zawód, co np. prof. Ryszard Piotrowski, który w przepisach konstytucji i ustaw nie znajduje niczego, czego dowodzą jego utytułowani koledzy z branży. Oni to znajdują, choć wcale tam tego nie ma.

Lecz nie tylko oni. Także profesorowie innych dziedzin popierają i legitymizują dziejące się bezprawie, a nawet nawołują do zemsty, odwetu i represji. To kompletne złamanie etosu i powinności uczonego, do jakiego w takiej skali nie dochodziło od lat 40. i 50. ub.w., gdy wielu naukowców zdecydowało się na służenie komunistom. Ludzie formalnie najlepiej wykształceni chcą rozwiązań siłowych, a wręcz rewolucyjnej przemocy. Jakby ich idolem był Feliks Dzierżyński, twórca i szef Czeka (pierwszej tajnej policji w sowieckiej Rosji).

Nieprzypadkowo wśród najbardziej sfrustrowanych i radykalnych osób uzasadniających bezprawie i do niego *de facto* namawiających są profesorowie prawa: Ewa Łętowska, Adam Strzembosz, Stanisław Biernat, Andrzej Zoll, Fryderyk Zoll, Jan Zimmermann, Jerzy Zajadło czy Wojciech Sadurski. Podobnie jak oni, choć nie dostarczając prawnych uzasadnień bezprawia, zachowują się profesorowie reprezentujący inne dziedziny, m.in. Magdalena Środa, Radosław Markowski, Jan Hartman, Bogdan de Barbaro, Andrzej Friszke, Jacek Jassem, Jerzy Kochanowski, Stanisław Obirek, Andrzej Romanowski, Janusz Majcherek czy Andrzej Rychard. Odwołując się do kategorii Juliena Bendy, francuskiego pisarza i filozofa, można mówić o „zdradzie klerków" (esej pod takim tytułem Benda opublikował w 1927 r.). „Obowiązkiem klerka zawsze było nadawać najwyższą wartość myśli bezinteresownej, wolnej od wszelkiego dążenia do osiągnięcia praktycznych wyników" – pisał.

> Jednym z największych entuzjastów obecnej władzy, a wręcz podżegaczem do rozprawy z opozycją, jest dr hab. Maciej Górecki, socjolog i politolog, profesor UW. Jego bożyszczem i bóstwem jest Roman Giertych, którego „złote myśli" powtarza i przesyła dalej na portalu X (d. Twitter)

BEZPRAWNICY

Na czele profesorów uzasadniających „bezprawie" znaleźli się byli sędziowie Trybunału Konstytucyjnego, Ewa Łętowska i Andrzej Zoll, uważający, że uchwałami Sejmu można zrobić faktycznie wszystko. Media sprzyjające rządzącym lubią wykorzystywać sędziwego prof. Adama Strzembosza, byłego I Prezesa Sądu Najwyższego, którego samo pojawienie się ma uzasadniać wszystko, co z prawem i konstytucją można zrobić w złej woli.

Prof. Ewa Łętowska, rzecznik praw obywatelskich w latach 1988–1992, sędzia TK w stanie spoczynku, stwierdziła np.: „Sądzę, że wykorzystanie uprawnień właścicielskich wobec mediów przez ministra kultury dzięki odwołaniu się do kodeksu spółek handlowych może być uznane za proporcjonalne i mające zakotwiczenie konstytucyjne". Dla niej działanie ministra kultury jest „jeszcze proporcjonalne w świetle zasad konstytucjonalizmu kulturowego".

Na hasło „wyprowadzania" rzucone przez Donalda Tuska, a dotyczące działań w takich instytucjach, jak Narodowy Bank Polski, od razu odpowiedzieli prawnicy. Podpowiadają oni, że prezesa NBP można „wyprowadzić" jako osobę, która pobrała nienależne świadczenia (jako nielegalny prezes), czyli może być ścigana za wymuszenie i kradzież. Podobnie niektórzy sędziowie TK (tzw. dublerzy) mają zostać uznani za osoby podszywające się pod sędziów (podpowiada to np. dr hab. z UJ Mikołaj Małecki), czyli dokonujące oszustwa i czerpiące korzyści z przestępstwa.

Wyjątkowo jak na profesora prawa zachowuje się Jan Zimmermann,

eprasa.pl b1262a55b7

Ewa Łętowska

Wojciech Sadurski

Magdalena Środa

prawnik z UJ, promotor doktoratu prezydenta Andrzeja Dudy. Często powtarza, że wstydzi się za swego dawnego ucznia, choć byli zaprzyjaźnieni, a obecny prezydent bywał u niego w domu towarzysko. Samo zdradzanie szczegółów ich znajomości jest przekroczeniem granic, a często wygląda na zwykłe donoszenie. Poniżej wszelkiego poziomu są opowieści typu: „Nam na zebraniach herbatę podawał i zmywał szklanki. Nasz Andrzejek lubiany będzie teraz prezydentem Polski?!". Albo: „Kiedyś stanął samochodem pod naszym garażem i tak zatarasował wyjazd, że jak żona wyjeżdżała, otarła o drzwi bok samochodu, bo nie mogła inaczej skręcić. Na drugi dzień Andrzej przyszedł w uniformie majstra, ze skrzynką narzędziową. Do dziś mam drzwi garażu obite wtedy przez niego gąbką, by już to się nie powtórzyło. Przepraszał, że zwróci koszty naprawy samochodu". Żenujące są opowieści, że „Duda jest słabym człowiekiem" i bezpodstawne insynuacje, że „jak jest telefon z Nowogrodzkiej, to robi to, co mu mówią".

Zdumiewające jest zachowanie prof. Jerzego Zajadły, kierownika Katedry Teorii Filozofii Państwa i Prawa Wydziału Prawa Uniwersytetu Gdańskiego, który np. napisał list do ówczesnego wiceprzewodniczącego Komisji Europejskiej Fransa Timmermansa: „My, obywatele Polski i Unii Europejskiej, apelujemy do pana wiceprzewodniczącego o podjęcie jeszcze bardziej radykalnych kroków w procesie ochrony zasad prawa i demokracji w naszym kraju. To ostatni moment!". Tacy ludzie jak prof. Jerzy Zajadło zwracają się do „|obcych dworów", żeby wyzwolili Polskę spod strasznej dyktatury, czyli wybranej demokratycznie władzy.

BYĆ JAK ROMAN GIERTYCH

Niektórzy, choć są profesorami prawa, zajmują się głównie udzielaniem ściśle politycznych rad, jak prof. Wojciech Sadurski. Po wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2019 r. napisał na Twitterze (i szybko usunął), że wyniki wyborów dostarczyły mu „kolejnego argumentu za Polską federalną". W takiej Polsce część zachodnia jest „pro-liberalna, europejska, świecka", zaś część wschodnia – „wiadomo". W związku z tym potrzebne są „kompetencje wspólne: polityka zagraniczna i obronna, waluta, armia, podstawowe wolności obywatelskie (ale w skansenie wschodnim – mniej wolności od religii)". Nie wiadomo, dlaczego wpis na Twitterze został skasowany, skoro dzień wcześniej Sadurski otwarcie pisał w powyborczym komentarzu, że „wybory potwierdziły i skonsolidowały podział Polski na zachodnią i wschodnią, według linii ustrojowych, światopoglądowych i cywilizacyjnych. Powyborcza mapa Polski pokazuje dwie połowy, prawie bez wyjątków. Powinno to dać siłę pomysłom decentralizacyjnym (np. firmowanym m.in. przez prof. A[ntoniego] Dudka), a w przyszłości może nawet federacyjnym (różnica między decentralizacją a federalizacją polega na tym, że w tej drugiej decentralizacja jest utrwalona konstytucyjnie). Dlaczego Poznaniak ma cierpieć pomysły na szkołę

Fot. M. Czutko, Liudmyla Kazakova, Michał Woźniak / East News

eprasa.pl b1262a55b7

popularną w Nowym Targu, zaś Hajnówkowianin męczyć się w modelu rodziny przeważającym we Wrocławiu? [trudno powiedzieć, dlaczego mieszkańcy Poznania i Hajnówki są pisani z dużej litery]. Zaś na zarzuty o federacji jako drodze do »rozbioru« czy dezintegracji odpowiadajmy: jest wręcz przeciwnie. To rozsądna decentralizacja lub federalizacja pomaga przetrwać »jedności w różnorodności«". A to dlatego, że „wyborcy PiS głosowali [...] na partię, o której wiadomo, że będąc w »rodzinie politycznej« eurofobów, pro-putinowców i zwykłych wariatów, nie będzie miała żadnego przebicia na główne negocjacje i kompromisy, dotyczące m.in. funduszy europejskich".

Jednym z największych entuzjastów obecnej władzy, a wręcz podżegaczem do rozprawy z opozycją, jest dr hab. Maciej Górecki, socjolog i politolog, profesor UW. Jego bożyszczem i bóstwem jest Roman Giertych, którego „złote myśli" powtarza i przesyła dalej na portalu X (d. Twitter). To Górecki napisał, że „wszyscy pracownicy TVP to zbrodniarze [...] wszyscy od sprzątaczki po prezesów pracujący obecnie w TVP i radiu, i to zarówno centrali, jak i ośrodków regionalnych w odpowiednim czasie winni być zwolnieni z wilczym biletem. [...] Kłeczek, Graczak, Klarenbach czy Ogórek do więzienia". Albo: „Nie będzie dla nich litości w nowej Rzeczypospolitej. Będą ścigani, także ekonomicznie. Wprowadzone zostanie embargo na ich zatrudnienie, oczywiście także konfiskata majątku. Będą puszczeni bez skarpetek". W kolejnych wpisach Górecki przekonywał, że pracownicy TVP to „odpady moralne" i porównywał ich z SS. To Górecki twierdzi, że „elektorat PiS-u jest niezwykle toksyczny kulturowo. Po odsunięciu PiS-u od władzy służby powinny infiltrować i wewnętrznie dezintegrować każdą kolejną partię, która będzie bazować na tym elektoracie. Tylko w ten sposób unikniemy pełnoskalowego faszyzmu. [...] Powinniśmy mieć politykę i praktykę podobną do tej, jaką stosują Niemcy wobec neonazistów".

IGRANIE Z NAMIĘTNOŚCIAMI

Istotną rolę w szczuciu na obecną opozycję oraz jej elektorat odgrywa prof. Radosław Markowski, socjolog i politolog związany m.in. z Uniwersytetem SWPS. Proponuje on np. takie niedorzeczności, jak powołanie „trzecich izb parlamentu, do których byliby wybierani młodzi ludzie na 15-, 20-letnie kadencje. I mieli prawo weta wobec izby niższej w sprawach dotyczących przyrody, natury i naszego środowiska". 4 września 2023 r. prof. Markowski mówił w „Gazecie Wyborczej": „Jedynkami PiS-u są często ludzie nigdzie niezatrudnialni. To jest klientelistyczny grajdół. Około 5–6 mln pisowskiego elektoratu w 80 proc. samo się przyznaje, że nie miało ani jednej książki w ciągu roku w rękach, do tego Kościół coś tam powie pod nosem i tak buduje się »elitę« polityczną". Nieważne, że to kompletny wymysł. Ważne to, co ma się utrwalić, np. o konserwatywnych Polakach jako o „prząśności, zaściankowej religijności i nacjonalistycznej bezrefleksyjności, wypełnionej autorytarno-klientelistycznym nepotyzmem". Markowski tak mówi o zwolennikach PiS: „Dwie trzecie to są osoby powyżej 60. roku życia, dwie trzecie ci, którzy są na emeryturze lub rencie. Także dwie trzecie ludzi z wykształceniem podstawowym głosuje na PiS".

> Zdrada klerków, czyli intelektualistów, umożliwiła I i II wojnę światową, a obecnie może być instrukcją wojny domowej w Polsce

Markowski mógłby stworzyć duet z prof. Januszem A. Majcherkiem, filozofem i socjologiem związanym z Uniwersytetem Pedagogicznym w Krakowie. Po atakach na Jana Pawła II w 2023 r. Majcherek pisał: „To nie jest walka o pamięć Jana Pawła II, tylko o kształt Polski. O to, czy pod jego patronatem zostanie zaprowadzone państwo zideologizowane, w którym prawo będą dyktować hierarchowie". To Majcherek namawiał do zadania ostatecznego ciosu pamięci o człowieku, który „potępiał in vitro, domagał się całkowitego zakazu aborcji i wypowiadał się krytycznie o osobach LGBT". I wieszczył: „Liczne oznaki wskazują, że intencją rządzących [z PiS] jest zaprowadzenie systemu opartego na prawie wyznaniowym i dogmatach religii katolickiej".

Równie zajadła w ściganiu polskiej teokracji mniemanej jest prof. Magdalena Środa, filozof (etyk) z Uniwersytetu Warszawskiego. 30 sierpnia 2022 r. w „Gazecie Wyborczej" wyłożyła, że gdyby była ministrem edukacji, to sprawiłaby, że skoro „rozporządzeniem wprowadzono religię [do szkół] i tak trzeba ją wyprowadzić". Nic to, że nauczanie religii w szkołach reguluje konstytucja. Art. 53 ust. 4 stanowi, że „religia kościoła lub innego związku wyznaniowego o uregulowanej sytuacji prawnej może być przedmiotem nauczania w szkole". Marząca o wyrzuceniu religii ze szkół prof. Środa zastąpiłaby ją „edukacją obywatelską", czyli „umiejętnością uczestniczenia w życiu publicznym na różnych poziomach: od lokalnego do światowego. Szkoła powinna wychowywać otwartych, praworządnych i przyzwoitych ludzi oraz przygotowywać do światowego obywatelstwa". Szczególnie ciekawe jest to „światowe obywatelstwo". Oczywiście „patriotyzm w służbie państwa narodowego trzeba schować do lamusa". Konieczna jest też „edukacja ekologiczna", która „uczy o zagrożeniach związanych z antropocenem, o sposobach przeciwdziałania powiązanych z etyką, która kształtowałaby postawy proekologiczne i prozdrowotne". „Nie ma co dłużej kryć: jesteśmy ciemnogrodem" – donosiła w „GW" prof. Środa. „Można się usprawiedliwiać, że nasza ochrona zdrowia jest źle zorganizowana czy niedofinansowana, ale to nieprawda. Ludzie w Polsce umierają z powodu ciemnoty i zabobonów, a nie kondycji służby zdrowia" – odkryła Środa. „Ciemnotę i zabobony" wiąże ona z „Kościołem katolickim, który w Polsce stanowi nieustające i ciągle żywe źródło przesądów".

Można być zaskoczonym, że tak jak w czasach Gomułki liczni profesorowie widzą powołanie dla siebie w uzasadnianiu polityki absolutnie słusznej i ostatecznie prawomocnej (obecnie w wersji Donalda Tuska). Dlatego nie stronią od politycznych namiętności, często przechodzących w polityczne sekciarstwo. Chodzi o to, co Julien Benda nazwał „igraniem z namiętnościami politycznymi", o zastąpienie chłodnej analizy skrajnymi emocjami, a wręcz nienawiścią. Zdrada klerków umożliwiła I i II wojnę światową, a obecnie może być instrukcją wojny domowej w Polsce.

Reklama | 27/0124/F

eprasa.pl b1262a55b7

PRZYSZŁOŚĆ JEST
Z MIEDZI

Globalny lider w produkcji miedzi i srebra. Gigant, wizjoner odkrywca w branży wydobywczej i produkcyjnej. Od ponad 60 lat wydobywamy i przetwarzamy cenne zasoby ziemi, skutecznie budując pozycję lidera branży. Dzięki wiedzy i doświadczeniu naszych pracowników tworzymy produkty, które umożliwiają zrównoważony rozwój świata.

www.kghm.com

KGHM
POLSKA MIEDŹ

eprasa.pl b1262a55b7

Hodowla analfabetów?

DOROTA ŁOSIEWICZ

eprasa.pl b1262a55b7

Jeszcze podczas kampanii wyborczej Donald Tusk obiecywał ograniczenie zadawanych uczniom prac domowych. Nowa minister edukacji narodowej Barbara Nowacka zapowiedziała ich likwidację już na początku urzędowania. Oto rozporządzenie w sprawie prac domowych ma być gotowe 1 kwietnia i to wcale nie jest żart. Tylko czy na nowych pomysłach rzeczywiście skorzystają dzieci?

Premier Donald Tusk oraz szefowa MEN Barbara Nowacka poinformowali, że od kwietnia będą obowiązywały nowe zasady dotyczące prac domowych: w klasach 1–3 nie będzie ich wcale, a w klasach 4–8 będą „tylko dla chętnych i bez oceniania". Pani minister twierdzi, że rozporządzenie jest już przygotowywane. Jednak gdy słucha się przedstawicieli resortu edukacji, można mieć wątpliwości, czy aby na pewno wiedzą, co jest lub będzie w tym dokumencie.

DOBRY WUJEK?

Szef rządu potwierdził słowa swojej minister. „Uroczyście ogłaszam: tego problemu więcej nie będzie" – cieszył się Tusk na nagraniu opublikowanym w mediach społecznościowych. Przekazał, że od kwietnia będą obowiązywały nowe zasady prac domowych. „W klasach od 1 do 3 żadnych prac domowych, no, chyba że czasami jakiś wierszyk. Od 4 do 8 klasy prace domowe tylko dla chętnych i bez oceniania. Jeśli chodzi o szkoły średnie, bawcie się dobrze na feriach" – zapowiedział.

Ten sam Donald Tusk, który dziś zgrywa wobec dzieci dobrego wujka, jako premier za rządów PO-PSL był bezwzględny wobec sześciolatków, które chciał wcześniej wysyłać do szkół. Zgodnie z reformą przygotowaną przez ówczesny gabinet od 1 września 2014 r. do szkół miały pójść wszystkie dzieci urodzone w 2008 r., czyli ok. 400 tys. sześciolatków. Jednak wobec silnego oporu środowisk rodziców w 2013 r. rząd zdecydował, że w 2014 r. do szkoły powinny obowiązkowo pójść sześciolatki urodzone między styczniem a lipcem 2008 r.

W tym samym roku podczas spotkania z przedstawicielami z Fundacji Rzecznik Praw Rodziców premier Tusk przekonywał, że reforma jest skokiem cywilizacyjnym. Tymczasem zdaniem zwolenników referendum w tej sprawie i przeciwników reformy, w polskich warunkach jest to regres intelektualny dla całych roczników dzieci, ponieważ polska szkoła nie była przygotowana na tak małe dzieci i nie było w niej odpowiednich warunków dla maluchów.

Stowarzyszenie Rzecznik Praw Rodziców, które zebrało niemal 1 mln podpisów pod referendum w sprawie sześciolatków, stało wówczas na stanowisku, że najodpowiedniejszym miejscem dla tak małych dzieci jest zerówka przedszkolna i sprzeciwiało się planom wrzucenia maluchów do systemu, a dopiero w dalszej kolejności jego naprawę. Ostatecznie w grudniu 2015 r., gdy już rządziło Prawo i Sprawiedliwość, Sejm zniósł obowiązek szkolny dla sześciolatków i przedszkolny dla pięciolatków. Zgodnie z nowelizacją ustawy o systemie oświaty dzieci znów mogły obowiązkowo rozpoczynać naukę dopiero w wieku siedmiu lat.

Podczas tamtej batalii Donald Tusk nie przejmował się negatywnymi konsekwencjami, które mogło mieć (a dla tysięcy dzieci miało) przedwczesne wysłanie ich do nieprzygotowanych na to placówek. Dziś ten sam polityk z troską pochyla się nad przepracowaną młodzieżą. Tylko czego nauczą się dzieci, nie musząc się uczyć i jak to zaważy na ich przyszłości?

POMYSŁ RESORTU

Zobaczmy, co właściwie proponuje MEN, bo im głębiej analizuje się wypowiedzi przedstawicielek resortu, tym większe rodzą się wątpliwości, czy wiedzą one, co dokładnie proponują. Choć media pierwotnie donosiły o „zakazie" prac domowych, Barbara Nowacka doprecyzowała własne pomysły. „My mówimy o nieocenianiu i nieobowiązkowości, a nie o braku prac domowych. To, że nie będzie oceny, nie zmienia postaci rzeczy, że można o tym porozmawiać" – klarowała w Polsat News. Pytana o prace domowe Nowacka powiedziała, że jej resort proponuje odejście od prac domowych manualnych w klasach 1–3, które zazwyczaj wykonywali rodzice. Dodała, że nie dzieci, a rodzice byli oceniani za te prace, ich możliwości i zaangażowanie. Powiedziała także, że w klasach 4–8 prace domowe nie będą oceniane ani obowiązkowe, „co oznacza, że nauczyciel może zadać, ale nie ma prawa tego ocenić". Dodała, że za brak pracy domowej nauczyciel nie będzie mógł wstawić oceny.

Szefowa resortu edukacji dopytywana przez Marcina Fijołka o to, czy nauczyciel będzie mógł sprawdzić znajomość słówek w ramach języków obcych, tłumaczyła: „Może sprawdzić, ale nie będzie mógł ocenić". Na uwagę, że w tej sytuacji nauczyciel nie będzie w stanie wyegzekwować wiedzy, Nowacka odpowiedziała: „Nauczyciele potrafią egzekwować. [...]. Nauczyciele w Polsce są mądrzy. Znam nauczycieli, którzy od lat nie zadają prac domowych. Działają takie szkoły, gdzie niekoniecznie trzeba kogoś ukarać za brak pracy i ocenić, a można namówić". „A co z lekturami?" – dopytywał dziennikarz. „Nieoceniane i nieobowiązkowe" – odpowiedziała minister. „Jak w związku z tym wyegzekwować przeczytanie np. >>W pustyni i w puszczy<<?" - padło pytanie. „Można sprawdzić, można porozmawiać. Przy całej klasie będzie widać, kto przeczytał, a kto nie przeczytał. To dzisiaj widać. Tylko czy naprawdę musimy wszystko oceniać zamiast o wszystkim porozmawiać?" – odpowiadała pytaniem na pytanie szefowa MEN.

Jednak zupełnie inne zdanie w sprawie lektur przedstawiła w Polskim Radiu24 wiceszefowa resortu edukacji Katarzyna

eprasa.pl b1262a55b7

Lubnauer. Zapytana o to, co z lekturami, stwierdziła: „Nie, nie, nie, lektura czy wiersz to co innego. Przeczytanie lektury jest oczywistą oczywistością. Nie da się tego zrobić w szkole. Nie da się też w szkole nauczyć czegoś na pamięć, typu słówka z angielskiego, trzeba to zrobić w domu".

Skoro więc nawet same panie minister nie są zgodne, jak to ma być z tymi słówkami i lekturami, to co z tym fantem mają zrobić uczniowie i nauczyciele?

Były szef resortu edukacji, słysząc nowe propozycje reformatorek, nie ukrywa wesołości. „Zadajemy uczniowi przeczytanie jakiejś lektury i co później, nie pytamy, czy ją przeczytał, nie oceniamy, czy ją przeczytał, co z tego zrozumiał? To znaczy, że w ogóle kładziemy edukację na podłodze. Brak wymagań wobec uczniów jest tak naprawdę końcem szkoły. Uczniowie oprócz praw mają również swoje obowiązki, mają obowiązek uczenia się. Jeśli pan chciałby zadać przeczytanie lektury, a później nie odpytywać z tej lektury albo nie oceniać, czy przeczytał, czy nie, to wszyscy będą na tym samym poziomie, i ci, co przeczytali, i ci, co nie przeczytali" – komentował nowe pomysły w Radiu Plus Przemysław Czarnek. Zaś w telewizji wPolsce.pl mówił tak: „To jest jedna wielka ściema polityczna i nic więcej. Ta ściema nie wprowadzi nic poza zamieszaniem, które wprowadzają słowa pani Nowackiej".

NAUCZYCIELU, PORADŹ SOBIE SAM

Z całym tym zamieszaniem będą musieli sobie oczywiście poradzić nauczyciele.

„Obowiązkiem nauczyciela jest realizowanie podstawy programowej, a mówiąc kolokwialnie – nauczyciele się z tym nie wyrabiają. Dlatego prace domowe stały się dla nich poniekąd narzędziem" – mówiła w rozmowie z portalem Onet.pl Patrycja Szypura, matematyczka. Jej zdaniem resort edukacji najpierw powinien się zająć uszczupleniem materiału, a dopiero potem odejść od prac domowych. Ministerstwo planuje także odchudzenie podstaw programowych, ale to dopiero od 1 września. Od nowego roku szkolnego ma się zmniejszyć zakres materiału z fizyki, chemii, geografii, biologii, historii i języka polskiego. „Do września przygotujemy odchudzenie podstawy programowej, w ten sposób nauczyciele zyskają więcej czasu na pracę z uczniami" – mówiła Nowacka podczas konferencji prasowej.

Tymczasem między kwietniem a czerwcem to nauczyciele mają na własną rękę rozwiązać problem nieobowiązkowości i nieoceniania prac domowych przy obowiązujących obecnie podstawach programowych.

„To jest ta podstawowa wątpliwość, co się stanie pomiędzy kwietniem a wrześniem. Jak to ma funkcjonować? Planując pewne rzeczy, powinniśmy już wiedzieć, jak będzie wyglądała praktyka" – mówiła w Radiu Tok FM dr Iga Kazimierczyk z Fundacji Przestrzeń dla edukacji. „Pada pomysł, żeby zlikwidować prace domowe i nie towarzyszą temu żadne dyskusje, żadne badania, żadne konsultacje z nauczycielami, podbudowa merytoryczna". Dr Kazimierczyk podkreśliła też, że wprowadzanie takiej rewolucji w trakcie roku szkolnego jest bardzo ryzykowne. „Wprowadzenie jakichkolwiek zmian przed końcem roku szkolnego to jest jazda na lodzie bez trzymanki i bez żadnych umiejętności oraz barier. Dlatego, że to jest moment, w którym przygotowujemy się do końca roku i planujemy już kolejny – tłumaczyła. – Tymczasem tu wchodzi bardzo duża zmiana, której nauczyciele kompletnie nie rozumieją".

„Są przedmioty, które trzeba praktykować niezależnie od etapu edukacyjnego" – podkreślał z kolei na portalu Onet.pl biolog Mateusz Leszczyński, który uważa, że praca w domu jest niezbędna. Powinna tylko przyjąć inną formę. Zuza Karcz z Fundacji Offschool i Domu Spokojnej Młodości na antenie Radia Tok FM zwróciła uwagę na kwestię nierówności społecznych i problem przenoszenia nauczania ze szkoły na płatne zajęcia dodatkowe i na rodziców. „Ten postulat dotyczący usunięcia prac domowych jest poniekąd przejawem populizmu, bo kiedy czytam cały komentariat, który się dzieje teraz wokół prac domowych, to pojawia się głównie myśl, że jest to odciążenie rodziców. Więc pytanie, czy to jest w ogóle postulat skierowany do młodych osób czy do ich rodziców, czyli wyborców?" – pytała.

„Cały pomysł, który reprezentuje Lewica, ma doprowadzić do tego, że Polacy będą nawet nieźle wykształceni fachowo, ale będą szarą masą, siłą roboczą dla innych krajów i środowisk, tracącą swoją tożsamość i tradycję narodową – komentował zaś Wojciech Starzyński, prezes zarządu Fundacji Rodzice Szkole w audycji „Aktualności dnia" w Radiu Maryja. „Można oczywiście dyskutować o ograniczeniu zasięgu prac domowych, ale ich całkowita likwidacja nie mieści się w żadnej tradycji edukacji zarówno polskiej, jak i jakiegokolwiek innego kraju" – podsumował Starzyński.

Wygląda na to, że pomysły MEN, wprowadzane w pośpiechu, na kolanie i pod publiczkę, wzbudziły krytykę zarówno środowisk liberalnych, jak i konserwatywnych. Rodzi się obawa, że znane z memów maturalne zadanie „Pokoloruj drwala" to niezbyt odległa perspektywa. Bo jak nauczyć się pisać, nie kaligrafując i czytać, gdy nie będzie takiego obowiązku? Jak poradzić sobie z matematyką bez rozwiązywania zadań? Chyba że komuś zależy na wychowaniu pokolenia analfabetów, których jedyną ambicją i umiejętnością ma być praca przy zbieraniu przysłowiowych szparagów u Niemca.

Wygląda na to, że pomysły MEN, wprowadzane w pośpiechu, na kolanie i pod publiczkę, wzbudziły krytykę zarówno środowisk liberalnych, jak i konserwatywnych. Rodzi się obawa, że znane z memów maturalne zadanie „Pokoloruj drwala" to niezbyt odległa perspektywa

eprasa.pl b1262a55b7

EUROPA W CIENIU WOJNY

piszą:

BUDZISZ • ROKITA • KOŁODZIEJSKI

eprasa.pl b1202a5557

Polska zamiast zwiększać, osłabia siłę odstraszania

W całej Europie słychać głosy o zbliżającej się wojnie z Rosją. Skandynawowie i Bałtowie wzmacniają siłę swojego odstraszania. Do mobilizacji wzywają Anglicy, Holendrzy, Belgowie, nawet Niemcy. A co robi Warszawa?

MAREK BUDZISZ

Sir Patrick Sanders, dowódca sił lądowych, powiedział, że „armia brytyjska jest zbyt mała", aby wygrać wojnę z Rosją, jeśli ta wybuchnie i dlatego, w jego opinii, trzeba nie tylko ją rozbudować, ale również przeszkolić obywateli, aby ci byli w stanie chwycić za broń, kiedy nadejdzie godzina „W". Ostrzegł też opinię publiczną, że „znajdujemy się w 1937 r.", czyli wojna jest blisko, a to z kolei nakazuje pilną obserwację doświadczeń Ukrainy. Z wielu lekcji, które przyniósł konflikt z Rosją, w opinii brytyjskiego generała jedna jest szczególnie istotna: „Ukraina brutalnie pokazuje, że regularne armie rozpoczynają wojny, a armie obywatelskie je wygrywają". A to z kolei nakazuje nie tylko powrót do powszechnego przeszkolenia wojskowego, lecz także przede wszystkim wymusza „zmianę podejścia całego społeczeństwa", które powinno oswoić się z myślą, że przyjdzie mu walczyć.

O tym, jak obecną sytuację postrzegają najwyżsi rangą dowódcy i politycy w Wielkiej Brytanii świadczy i to, że Sanders wezwał rządzących do przyspieszonej, w czasie najbliższych trzech lat, rozbudowy potencjału kadrowego sił lądowych z obecnego poziomu 75 tys. do co najmniej 120 tys. Ale to, jak przestrzegł, i tak nie jest wystarczające, bo: „Potrzebujemy armii zaprojektowanej z myślą o szybkiej rozbudowie, aby rozwinąć pierwszy rzut, zaopatrzyć drugi oraz wyszkolić i wyposażyć armię obywatelską, która musi wejść do walki w trzecim rzucie".

Nawet Niemcy, uchodzący za najbardziej pacyfistyczne społeczeństwo na kontynencie europejskim, zaczynają zmieniać swoje nastawienie. W sylwestrowym wywiadzie dla „Bild" Markus Söder, szef bawarskiej CSU, wezwał do przywrócenia powszechnej służby wojskowej w Niemczech. Boris Pistorius, obecny minister obrony, już wcześniej rozważał publicznie czy Republika Federalna nie powinna „przyjąć wariantu szwedzkiego", który oznacza przywrócenie obowiązku służby wojskowej dla mężczyzn, ale pobór do ar-

eprasa.pl b1262a55b7

mii wyłącznie tych, których siły zbrojne potrzebują i są w stanie przeszkolić. Ostatnio zaproponował i zyskał poparcie polityków zarówno opozycji, jak i rządzącej koalicji, aby do Bundeswehry przyjmować rekrutów niemających niemieckiego paszportu. W ten sposób Pistorius chce rozwiązać dwa problemy, czyli zaradzić kryzysowi rekrutacyjnemu i powiększyć liczebność armii o 20 tys., bo o takim „korpusie cudzoziemskim" mowa. Bogate Niemcy chcą skusić ochotników, jak można się domyślać zapewne z Ukrainy albo z Kolumbii, wysokimi żołdami.

WOJNA SIĘ ZBLIŻA

W całej Europie słychać głosy o zbliżającej się wojnie z Rosją. Premier Estonii mówiła niedawno publicznie, że może się ona zacząć nawet za trzy lata, a gen. Eirik Kristoffersen, dowódca norweskich sił zbrojnych, alarmował, że jego kraj „ma najwyżej kilka lat", aby odbudować swój potencjał niezbędny w obliczu zbliżającego się konfliktu. W podobnym tonie starał się obudzić opinię publiczną premier Szwecji, a minister Carl-Oskar Bohlin, odpowiadający za obronę cywilną, przestrzegł, iż „wojna może dotrzeć" do tego skandynawskiego kraju, co skłoniło rząd do podjęcia decyzji o przywróceniu obowiązkowego szkolenia w zakresie obrony cywilnej. W związku z tą decyzją wszyscy młodzi obywatele Szwecji mający 18 lat muszą nie tylko wypełnić specjalne ankiety, lecz także będą uczęszczać na 11-miesięczny kurs, w czasie którego zdobędą wiedzę, jak się zachowywać w różnych sytuacjach kryzysowych. Premier Ulf Kristersson powiedział, że „w ten sposób krok po kroku odbudujemy nasz system obrony powszechnej". Dodał też, że „paszport to nie tylko dokument ułatwiający podróżowanie", a każdy obywatel ma też obowiązki.

Szwecja, mimo że nie jest jeszcze formalnie członkiem NATO, zapowiedziała również wysłanie swego kontyngentu wojskowego na Łotwę, co wywołało pozytywną reakcję Rygi, a także planuje w przyszłym roku przeszkolić w zakresie obrony cywilnej 100 tys. młodych ludzi.

Przed zbliżającą się wojną przestrzegał także dowódca holenderskich sił zbrojnych, mówiąc o konieczności przygotowania całego społeczeństwa do walki oraz o tym, że odległość od Rosji nie daje gwarancji bezpieczeństwa. Podobne ostrzeżenia formułował też premier Belgii i szef komitetu wojskowego NATO.

Jedynie w Polsce kwestie związane z bezpieczeństwem w obliczu eskalacji napięcia w relacjach wewnętrznych zeszły w ostatnich tygodniach na plan drugi. Urzędujący minister obrony koncentruje się na wspieraniu Wielkiej Orkiestry Jerzego Owsiaka, rozliczaniu swego poprzednika czy budowaniu równoległych struktur dowodzenia w trybie powoływania swoich specjalnych doradców, którzy, jak emerytowany gen. broni Edward Gruszka, doradzają ministrowi na odległość, na co dzień rezydując w dowództwach rodzajów broni, w tym wypadku w Dowództwie Komponentu Wojsk Specjalnych w Krakowie.

WIELKA MOBILIZACJA SKANDYNAWÓW I BAŁTÓW

Warto jednak obserwować, co robią nasi sojusznicy, przede wszystkim bardzo aktywni ostatnio Skandynawowie i Bałtowie. I tak ministrowie obrony państw bałtyckich podpisali umowę przewidującą budowę na ich granicach z Federacją Rosyjską i Białorusią systemu umocnień oraz zapór, mających stanowić trudną do przebycia linię obrony. Mowa o 600 bunkrach, które wraz z innymi elementami inżynieryjnego przygotowania terenu w oparciu o plany obrony mają utrudnić postępy Rosjanom, jeśli ci zdecydują się zaatakować. Podobne działania już w ub.r. na granicy z Federacją Rosyjską rozpoczęli Finowie. Obrona w tak przygotowanym terenie ma znacząco zwiększyć to, co Jonatan Vseviov, sekretarz generalny w estońskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych, określił mianem „rosyjskich kosztów wojny". W jego opinii cena agresji, którą Rosjanie będą musieli zapłacić, jeśli zdecydują się na zaatakowanie Bałtów, powinna być dla nich „nieakceptowalnie wysoka", co w konsekwencji może i powinno wpłynąć na kalkulacje strategiczne Moskali oraz w efekcie odwieść ich od myśli o celowości ataku. Mamy w tym przypadku do czynienia z czytelną polityką odstraszania. Rządzący sygnalizują – „będziemy walczyć" oraz że całe państwa są zjednoczone i przygotowane do obrony. System obrony powszechnej, do którego odwołują się Szwedzi, a od lat już realizują Finowie i Bałtowie, oznacza, że opór będzie stawiać całe społeczeństwo. Jest to czytelny komunikat mający również wpłynąć na rachunek strategiczny Moskali. Głosi on, że „nawet jeśli wojskowo jesteśmy słabsi, to jeśli zdecydujecie się na wojnę, będziecie musieli walczyć z całym, zjednoczonym narodem, więc zastanówcie się, zanim zaczniecie".

To przesłanie jest uzupełniane jeszcze dwoma elementami, które w jednym z niedawnych wywiadów podkreślił Alex Stubb, były premier Finlandii, mający największe szanse na wygranie trwających (pierwsza tura odbyła się w minioną sobotę) wyborów prezydenckich. Powiedział on w rozmowie z „Financial Times", że Skandynawowie budują swoje bezpieczeństwo na fundamencie własnej gotowości i determinacji, aby się bronić, członkostwie w NATO oraz szczególnych, wojskowych relacjach ze Stanami Zjednoczonymi. Ta triada, której elementy wzajemnie się wspierają, powoduje, że Finowie, mający 1380-kilometrową granicę z Federacją Rosyjską, „nie boją się" i czują się bezpieczniej niż w przeszłości.

Mamy w tym wypadku do czynienia z czytelną polityką odstraszania. Rosjanie są ostrzegani, aby nie próbowali zaogniać sytuacji, bo może ich spotkać nieprzyjemna nauczka. Będą walczyć w trudnych warunkach, ze zdeterminowanym, dobrze wyposażonym i wspieranym przez sojuszników przeciwnikiem, a nawet jeśli wygrają, to za cenę gigantycznych ofiar.

Skandynawowie i Bałtowie wykorzystują w tej narracji, choć nie wprost, jeszcze jeden element, czyli swoje marginalne ze strategicznego punktu widzenia położenie. Historycznie wielkie armie, począwszy od Napoleona, a skończywszy na Hitlerze i Stalinie, walczyły na równinach Europy Środkowej. Panowanie nad kontynentem było uzależnione od zdobycia strategicznego „serca Europy" i to na tym kierunku prowadzono największe operacje. Nie bez powodu w czasie II wojny światowej niemieckie zgrupowanie w Kurlandii broniło się do maja 1945 r. Za czasów zimnej wojny tym strategicznym „sercem Europy" były Niemcy i tam alianci z NATO przygotowywali się do obrony świata Zachodu przed agresją ZSRR. Obecnie ten punkt ciężkości Paktu Północnoatlantyckiego przesunął się na wschód, do Polski, i to u nas znajduje się centrum NATO-wskiego systemu bezpieczeństwa oraz teren przyszłej wojny, jeśli odstraszanie zawiedzie i Rosjanie zdecydują się zaatakować. Bałtowie, a tym bardziej Skandynawowie, z tej perspektywy leżą na peryferiach. Strategiczne znaczenie ich

Fot. NCN

eprasa.pl b1262a55b7

krajów jest ważne, ale bez nich NATO jest zdolne do obrony. Jeśli jednak padnie Polska i w konsekwencji rozbrojone Niemcy, to system obrony Paktu Północnoatlantyckiego załamie się.

CO ROBI WARSZAWA?

Warto o tym pamiętać, bo znaczenie Polski w NATO-wskim systemie obrony wschodniej flanki jest znakomicie większe z powodu położenia i potencjału niż państw bałtyckich czy skandynawskich. Nakłada to na nas inne obowiązki, lecz powinno też wymuszać poważniejsze podejście do kwestii bezpieczeństwa. Przede wszystkim dlatego, że nie możemy dopuścić, aby w zakresie polityki odstraszania nastąpiła niekorzystna dla nas asymetria. Jeśli mówimy o zniechęceniu Rosjan do agresji, to przedstawiciele wszystkich flanek NATO powinni wysyłać komunikat o podobnej sile i treści. Taki, jaki formułują Skandynawowie i Bałtowie, czyli że jesteśmy gotowi do walki, zdeterminowani, zjednoczeni i zdecydowani, aby rozbudować nasz potencjał.

A co robi Warszawa? Problem polega na tym, że nic. Zwróćmy uwagę choćby na kwestie związane z koreańskimi kontraktami zbrojeniowymi. Premier Tusk oświadczył na początku swych rządów, że ich drugi rzut jest zagrożony z powodu braku środków. Dla przypomnienia – pierwsze kontrakty podpisane z firmami z Korei Płd. przewidywały import sprzętu, po to, aby rozpocząć modernizację naszych sił zbrojnych i wypełnić luki związane z przekazaniem broni na Ukrainę. Kolejne umowy, które winny być właśnie negocjowane i podpisywane, dotyczą transferu technologii do Polski. Budowy u nas fabryk, najpierw części zamiennych, a potem całych systemów. Interes Polski jest oczywisty, tak jak oczywiste jest zainteresowanie koreańskich koncernów, aby sprzedawać nam gotowe systemy walki, a nie produkować je u nas. W takiej sytuacji słowa Donalda Tuska o braku środków na sfinansowanie kolejnych umów mają zmobilizować Koreańczyków czy raczej sygnalizują gotowość spowolnienia procesu modernizacji sprzętowej polskich sił zbrojnych? Doszło do tego, że koreańska prasa alarmuje, iż kontrakty z Polską mogą być zagrożone, a decyzja o podwyższeniu kapitału jednego z państwowych banków finansujących kontrakty eksportowe, mimo że jest popierana zarówno przez rząd, jak i opozycję, nie została jeszcze podjęta. Trzeba zapytać, gdzie jest polska dyplomacja, która właśnie teraz powinna dołożyć wszelkich wysiłków, aby Koreańczycy podjęli stosowne decyzje. Może Warszawa jest bardziej zainteresowana tym, aby w Seulu one nie zapadły i wtedy będzie można powiedzieć, że śmierć kontraktów z Koreą to nie nasza wina. Ta bezczynność, nie miejmy złudzeń, jest też sygnałem strategicznym, który nie umknął uwadze analityków w Moskwie.

> Znaczenie Polski w NATO-wskim systemie obrony wschodniej flanki jest znakomicie większe niż państw bałtyckich czy skandynawskich. Nakłada to na nas inne obowiązki, lecz powinno też wymuszać poważniejsze podejście do kwestii bezpieczeństwa. A rząd Donalda Tuska toczy wewnętrzne wojenki z opozycją, lekceważąc rosyjskie zagrożenie

Inny przykład – CPK. Już same rozważania na temat celowości inwestycji i związane z tym opóźnienie w rozpoczęciu budowy negatywnie wpływa na zdolności NATO do obrony wschodniej flanki. Dlaczego? Sprawa jest oczywista. Musimy pamiętać, że w Madrycie w 2022 r. sojusznicy podjęli decyzję o budowie 300-tys. sił, które w sytuacji zagrożenia miałyby zdolność szybkiego rozpoczęcia działania. Z tego 100 tys. odpowiednio uzbrojonych żołnierzy musi być gotowych do realizacji zaplanowanych operacji w terminie do 10 dni od otrzymania takiego rozkazu, a następne 200 tys. w czasie kolejnych 20 dni. Plany NATO na czas wojny wymagają również zdolności wysłania i rozlokowania 500 tys. dodatkowych żołnierzy w ciągu 180 dni. Zdolności do szybkiego przerzucenia w zagrożony rejon sił szybkiego reagowania, np. tych 100 tys. żołnierzy pierwszego rzutu, ma niekwestionowany wymiar odstraszania Rosji. Muszą się oni znaleźć na pozycjach przed wybuchem wojny po to, aby pokazać determinację i zdolności Paktu Północnoatlantyckiego do obrony. Ale musimy mieć świadomość, z jakim wyzwaniem logistycznym mamy do czynienia. Wzmocniona brygada sił NATO, w skład której wchodzi ok. 3,6 tys. żołnierzy, ma na wyposażeniu 1,5 tys. sztuk samych pojazdów. W czasie ćwiczeń Anakonda 2016, które odbywały się w Polsce, trzeba było prócz sprzętu przewieźć również 6,5 tys. kontenerów, a brało w nich udział pięciokrotnie mniej żołnierzy niż wojska NATO-wskiego pierwszego rzutu. Na przetransportowanie tego potencjału był wówczas niemal miesiąc, teraz pięciokrotnie większy będziemy musieli przerzucić w dziesięć dni. Jeśli zgodzić się z opinią gen. Pershinga, a nikt roztropny jej dziś nie kwestionuje, który powiedział, że „piechota wygrywa bitwy, ale logistyka wojny", to od wydolności naszego systemu komunikacyjnego, którego jądrem ma być właśnie CPK, może zależeć skuteczność polityki odstraszania Rosji, czyli tego, czy będziemy żyć w pokoju. Działalność posła Laska jest, jak można przypuszczać, uważnie obserwowana w Moskwie, bo ewentualne opóźnienie CPK, nie mówiąc o zablokowaniu tego projektu, z pewnością negatywnie wpłynie na NATO-wską zdolność do obrony.

Rząd Donalda Tuska, koncentrując się na walce wewnętrznej, podważając ważne dla obronności projekty tylko dlatego, że rozpoczął je znienawidzony PiS, zwiększa asymetrię odstraszania. Nasi sojusznicy na północy mówią – jesteśmy gotowi, zjednoczeni i będziemy walczyć, a Polska wysyła zupełnie inny sygnał do Moskwy. Jeśli na Kremlu będą się zastanawiać, gdzie uderzyć, to odpowiedzcie sobie państwo sami – który kierunek wybiorą?

eprasa.pl b1262a55b7

JAN ROKITA

My, pokolenie przedwojenne

Oprócz krajów bałtyckich to Polska jest najbardziej wystawiona na ryzyko wojny. Mimo to, nie wiedzieć czemu, nawykliśmy do myśli, że Bug jako granica NATO jest rzeką świętą, której żadna wojna nie jest zdolna przekroczyć

Ten artykuł chcę wyjątkowo zacząć od obszerniejszego cytatu. Będą to fragmenty mowy szwedzkiego ministra Carla-Oskara Bohlina, odpowiedzialnego za cywilną obronę kraju, wygłoszonej 7 stycznia w mieście Sälen – znanym ośrodku sportów zimowych, w którym odbywała się krajowa konferencja Szwedzkiego Towarzystwa Obrony. Z dość oczywistego powodu mowa Bohlina, wygłoszona w obecności członków rodziny królewskiej i transmitowana w mediach, nabrała rozgłosu nie tylko w Szwecji. Oto dwa jej fragmenty.

KIM BĘDZIESZ, JEŚLI NADEJDZIE WOJNA?

„Ludzką rzeczą jest widzieć życie takim, jakim chciałbyś, żeby ono było, a nie takim, jakie jest w rzeczywistości. Dla narodu, dla którego pokój jest miłym towarzyszem od 210 lat, idea, że jest on czymś trwałym, musi się wydać oczywistością. Jednak pocieszanie się w ten sposób jest dziś bardziej niebezpieczne niż kiedykolwiek. Pozwólcie, że powiem to oficjalnie, wprost i z całą jasnością: w Szwecji może wybuchnąć wojna.

Nie jest moją intencją odwoływanie się do twojego strachu, ale raczej do twojej świadomości sytuacji. Chcę otworzyć drzwi, które zazwyczaj są zablokowane wymaganiami codziennego życia. Drzwi, które wielu Szwedów mogło dotąd trzymać zamknięte przez całe życie. Drzwi do przestrzeni, w której stajemy przed ważnym pytaniem: kim będziesz, jeśli nadejdzie wojna?

Jesteś urzędnikiem wyższego szczebla?... Dobrze; czy zbudowałeś już swoją organizację wojenną i określiłeś,

Fot. DWOT/Michał Ostrowski

eprasa.pl b1262a55b7

które działania będziesz kontynuować, a które nie? Czy zapewniłeś zabezpieczenia ochronne i dostęp do alternatywnych miejsc kierowania? Jeśli nie, to pospiesz się!

Jesteś burmistrzem? Dobrze; czy zabezpieczyłeś punkty schronienia ludzi, awaryjny plan zaopatrzenia w wodę i rezerwowe dostawy artykułów spożywczych, ogrzewania oraz prądu dla opieki zdrowotnej i społecznej? Czy masz sprawną grupę wolontariuszy? Jeśli nie, to pospiesz się!

Jesteś pracownikiem? Dobrze; w takim razie czy zapytałeś pracodawcę, jaka będzie twoja rola w organizacji wojennej w twoim miejscu pracy? Czy zastanawiałeś się, z jakimi najważniejszymi codziennymi potrzebami musiałbyś sobie poradzić, aby móc kontynuować pracę? Jeśli nie, to pospiesz się!

Jesteś osobą prywatną? Dobrze; czy wziąłeś odpowiedzialność za przygotowanie swojego domu? Czy zastanawiałeś się nad dołączeniem do ochotniczej obrony terytorialnej? Jeśli nie, to pospiesz się!".

Minister Bohlin nie należy do politycznych radykałów. Jest działaczem rządzącej Moderaty, czyli słynącej z roztropności partii umiarkowanych konserwatystów. Przewodnim motywem jego mowy z Sälen był czas; kilka dni później wyjaśniał w wywiadzie dla dziennika „Aftonbladet", że nie śpi nocami, gdyż boi się, że szwedzkie przygotowania wojenne posuwają się zbyt powoli, a sami Szwedzi nie potrafią na serio oswoić się z myślą o realności wojny. Rzecz jasna Bohlin nie ma wątpliwości, w jakiej wojnie może się wkrótce znaleźć jego kraj: chodzi mu o wojnę z Rosją, która tak czy inaczej może się rozlać na Europę, w rezultacie coraz bardziej realnego zyskiwania wojennej przewagi przez Moskali na Ukrainie.

PRZETRWAĆ PIERWSZE 36 GODZIN

Scenariuszy takiego rozlania się wojny jest wiele. Jeden z nich, zadziwiająco szczegółowy, który wyciekł ostatnio do mediów, został opracowany w niemieckim ministerstwie obrony w poufnym dokumencie pt. „Obrona Sojuszu 2025". Zakłada on bardzo rychłe – już w grudniu 2024 r. – „sztuczne wykreowanie konfliktu granicznego i zamieszek z licznymi ofiarami" w tzw. korytarzu suwalskim, czyli na pograniczu Rosji, Białorusi, Litwy i Polski. A kalendarz tego rodzaju wojennej prowokacji miałby się brać z domniemanego, choćby chwilowego, osłabienia Ameryki, w rezultacie powyborczych awantur w ciągu listopada i grudnia tego roku. Awantur, które tym razem wydają się więcej niż prawdopodobne.

Bohlin nie jest zresztą jedynym, który liczy się z możliwością rychłej wojny i niepokoi naszym mentalnym brakiem przygotowania na taki rozwój zdarzeń. W ostatnią środę, 24 stycznia, gen. Patrick Sanders, szef sztabu brytyjskich sił zbrojnych, wystąpił w Londynie podczas tamtejszej wystawy sprzętu wojskowego w tonie bardzo podobnym do Bohlina. Sanders stara się wyciągać praktyczne wnioski z przebiegu wojny na Ukrainie: mówi, że wojna, jeśli się zacznie, to z użyciem profesjonalnych armii. Ale żeby ją wygrać, trzeba będzie dysponować czymś, co nazywa „armią obywatelską". Jego rosnący niepokój bierze się z tego, iż mimo prawdopodobieństwa wojny, nie dostrzega w brytyjskiej polityce wystarczającej determinacji, aby Brytyjczyków, jak mówi, „przeprowadzić na stopę wojenną".

Premier Sunak nie był zadowolony z treści mowy swojego najważniejszego generała, bo niektórzy zinterpretowali ją jako sugestię powrotu do powszechnego szkolenia wojskowego, a Sunak, walczący ostatnimi resztkami sił o uratowanie rządu torysów w tegorocznych wyborach, nie jest gotów podejmować żadnych kroków społecznie niepopularnych.

Raptem kilka dni wcześniej Holender Rob Bauer, szef Komitetu Wojskowego NATO, zwracał uwagę na konieczność zmiany podejścia do rzeczywistości,

> Rob Bauer zachęcał swoich rodaków Holendrów, aby zadbali w domach o pojemniki z wodą oraz radio i latarki na baterie. Zdaniem tego jednego z kluczowych dygnitarzy NATO taki zestaw ma umożliwić „przetrwanie pierwszych 36 godzin wojny"

Fot.DWOT/Domin Bański

Autopromocja

eprasa.pl b1262a55b7

tak by przestawić się z instynktownego myślowego nawyku, iż sprawy wokół nas są przewidywalne i dają się zaplanować, na „oczekiwanie w każdej chwili rzeczy całkiem nieoczekiwanych". Jak to Holender, Bauer wykazywał przy tym dużą dozę praktycyzmu. Zachęcał swoich rodaków, aby zadbali w domach o pojemniki z wodą oraz radio i latarki na baterie. Zdaniem w końcu nie byle kogo, bo jednego z kluczowych dygnitarzy NATO, taki zestaw ma umożliwić „przetrwanie pierwszych 36 godzin wojny".

Krótko po wystąpieniu Bauera holenderskie media informowały o wykupieniu w sklepach latarek, filtrów wodnych i podręcznych zestawów ratunkowych. A także o tym, iż handlowcy na gwałt składają w Chinach zamówienia na dodatkowe dostawy tego rodzaju towarów. Rzecz jasna Europa, choć jej przywódcy bez wytchnienia gadają o „strategicznej autonomii", nawet w rzeczach tak prostych i drobnych nie jest w stanie dopracować się niezależności od komunistycznych Chin.

TRZY LATA DO KONFRONTACJI

To wszystko są wystąpienia z trzech ostatnich tygodni. Wygląda więc na to, że coraz więcej ludzi bezpośrednio odpowiedzialnych za obronę Europy na wypadek wojny nie ma już spokojnego snu, tak jak szwedzki minister Bohlin. Trudno się temu dziwić. Czołowi politycy, zainteresowani zdobyciem albo utrzymaniem władzy, choć wydają się świadomi wojennego ryzyka, nie chcą ani robić, ani mówić czegokolwiek, co naraziłoby ich na utratę wyborców. W Wielkiej Brytanii, Belgii, Francji, Niemczech, Hiszpanii mamy do czynienia z narastającą niestabilnością władzy, więc jeden poważny piarowski błąd może prowadzić do daleko idących zmian w sondażach i wynikach wyborczych. Nie mówiąc już nawet o Ameryce, gdzie w powietrzu wisi groźba zamętu albo i społecznej rewolty, jeśliby naprawdę lewica podjęła próbę usunięcia siłą kandydatury prezydenckiej Donalda Trumpa. Jednocześnie widać jasno, że przeciągająca się wojna na Ukrainie przestała budzić grozę przeciętnych Europejczyków.

Widać to w Polsce, może nawet wyraźniej niż gdziekolwiek indziej. Bo obok krajów bałtyckich to Polska jest przecież najbardziej wystawiona na ryzyko wojny, a bombardowania stale są przeprowadzane tuż za naszą granicą. Mimo to, nie wiedzieć czemu, nawykliśmy do myśli, że Bug jako granica NATO jest rzeką świętą, której żadna wojna nie jest zdolna przekroczyć.

Jakoś nie zauważyłem też, aby do naszej zbiorowej świadomości mocniej przebiła się niezwykła przecież polemika, którą podjął szef prezydenckiego BBN minister Siewiera z niemieckim ministrem obrony Pistoriusem czy ogólniej – z nową doktryną wojskową Niemiec, przyjętą w końcu ub.r. Doktryna ta, po raz pierwszy od zjednoczenia Niemiec, przyjmuje założenie, że „wojna wróciła do Europy", a Bundeswehra musi być do wojny gotowa w ciągu pięciu, ośmiu lat. Jednak w grudniowym wywiadzie dla „Naszego Dziennika" szef BBN mówi, iż te niemieckie oceny, zbieżne skądinąd z ocenami Amerykanów, są „zbyt optymistyczne". „Jeśli chcemy uniknąć wojny – mówi Siewiera – to kraje NATO znajdujące się na wschodniej flance powinny przyjąć krótszy, trzyletni horyzont czasowy na przygotowanie się do konfrontacji. To czas, w którym na wschodniej flance musi powstać potencjał, będący jasnym sygnałem odstraszającym przed agresją". Słowa ministra Siewiery odnotowały media europejskie (np. BBC), ale nie wiem, czy w Polsce zrobiły one nawet wrażenie na czytelnikach „Naszego Dziennika". Pewnie wszyscy zbyt jesteśmy zaabsorbowani wojennym stylem przejmowania władzy w kraju przez Tuska.

To, co w tych wszystkich przestrogach i nawoływaniach płynących z różnych krajów wydaje mi się najciekawsze albo i nawet jakoś odkrywcze, to obserwacja gen. Sandersa, iż wszyscy w Europie stanowimy w gruncie rzeczy „pokolenie przedwojenne". A więc takie, które może w historii pozostać jako znów zaskoczone wojną i nieprzygotowane do niej. Sanders z premedytacją rozdrapuje brytyjskie rany narodowe, wypominając, jak bardzo Anglia nie była gotowa do wojny w 1939 r., zarówno mentalnie – przekonana, że udało jej się ugłaskać Hitlera w Monachium – jak i militarnie, uratowana z potrzasku dopiero gigantycznym wsparciem Ameryki.

Dziś w Polsce wyraziście dostrzegamy generacyjne różnice pomiędzy odchodzącym już powoli pokoleniem Solidarności, przejmującymi teraz panowanie milenialsami czy wyznającym nowe, miękkie wartości młodym pokoleniem Z. Rzecz jednak w tym, że jeśli istotnie przez Europę miałaby się przewalić wojna, to wszyscy razem, starzy na równi z młodymi, pozostaniemy w historii jako „pokolenie przedwojenne". Całkiem podobnie jak dekadencka generacja fin de siècle'u, balująca w obliczu nadchodzącej I wojny światowej. Albo też pokolenie „Kabaretu" Boba Fossego, aż tak owładnięte wyrafinowaną rozrywką i wyzwoleniem seksualnym, że nie chcące widzieć kolejnej, rychło nadciągającej wojennej pożogi.

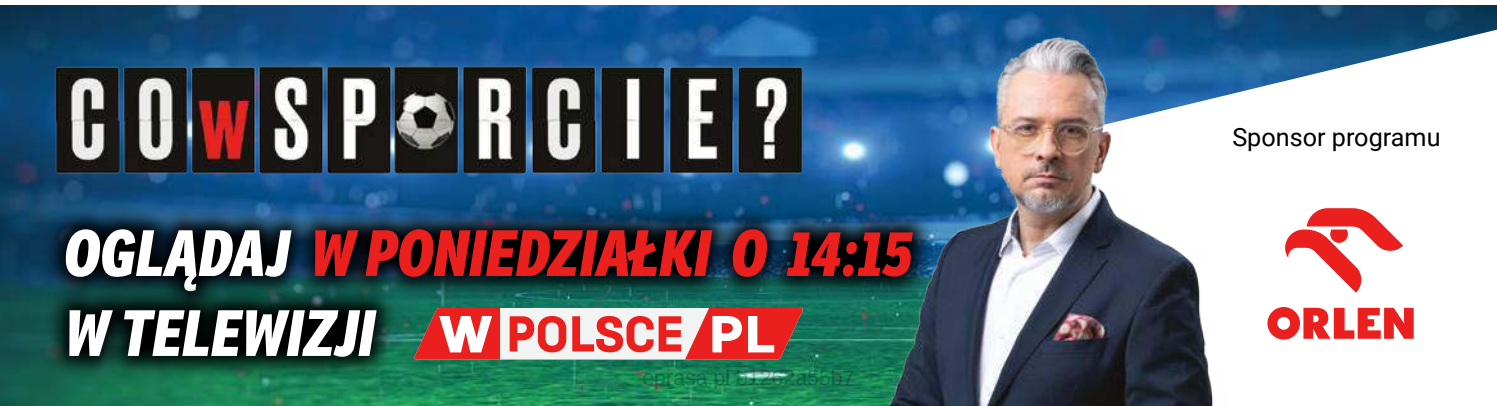

Psychoza wojny

Wojny obawia się każdy, zwłaszcza w naszej części Europy. Jednak w obliczu zagrożenia powinniśmy się kierować odpowiedzialnością. Tymczasem trudno nie ulec wrażeniu, że niedawny nawał informacji o rychłym wybuchu konfliktu jest próbą wytworzenia psychozy. Zastraszonymi, zalęknionymi ludźmi jest znacznie łatwiej sterować

KONRAD KOŁODZIEJSKI

W ostatnich tygodniach zostaliśmy zasypani lawiną doniesień o nadciągającej nieuchronnie wojnie z Rosją. Właściwie nie ma dnia, aby jakiś norweski generał, emerytowany dowódca NATO, wysoki urzędnik niemieckiego rządu czy analityk prestiżowego instytutu nie bił na trwogę. Nagły wysyp tych alarmujących wiadomości jest dość zaskakujący, ponieważ wcześniej Europa z dużym dystansem podchodziła do rosyjskiego zagrożenia i nawet dwa lata wojny na Ukrainie nie były w stanie zmobilizować zachodnich elit do szybkiego działania.

Nic więc dziwnego, że w ślad za tym medialnym wzmożeniem pojawiły się pytania, co się takiego wydarzyło, że Zachód poczuł się nagle mocno zaniepokojony wojną. W końcu z podwyższonym ryzykiem wojennym mamy do czynienia już od dwóch lat, odkąd Rosja uderzyła na Ukrainę. Czyżby więc pojawiły się jakieś nowe okoliczności, o których nie wie opinia publiczna? A może ktoś specjalnie podkręca wojenną psychozę, a jeśli tak, to w jakim celu? Czy chodzi o społeczną mobilizację i otwarcie ludziom oczu na zagrożenia, czy też o podsycanie strachu?

W ustaleniu odpowiedzi na te pytania nie pomagają chaotyczne i często ze sobą sprzeczne doniesienia mediów. Bo jeszcze nie tak dawno temu przewidywano, że Rosja, wyczerpana wojną na Ukrainie, nie będzie zdolna do nowych akcji zbrojnych przez 10–20 lat. Potem okres ten skrócono do 7–8 lat, później do 5, a ostatnio mowa była o tym, że czekają nas zaledwie 2 lata pokoju. Tydzień temu niemiecki minister obrony Boris Pistorius ponownie skorygował hipotezy, powracając do terminu 5–8 lat, jednocześnie jednak pojawiły się doniesienia, że Moskwa zaatakuje NATO zaraz po wyborach w Stanach Zjednoczonych, które są zaplanowane na późną jesień br. Trudno jest więc z zaufaniem podchodzić do tego rodzaju przekazu. Co więcej, wrzawa, którą obserwujemy, nie przekłada się na wymierne działania – na Zachodzie nie widać realnych przygotowań do wojny: przemysł zbrojeniowy nie działa na zdwojonych obrotach, europejskie armie stoją w miejscu, nie mówiąc już o budowie infrastruktury, takiej jak choćby schrony dla ludności czy plany ewakuacji. Z jednej strony grozi nam wojna, a z drugiej żyjemy, jak gdyby nic się nie działo. O co więc chodzi? Czy rzeczywiście jesteśmy dziś bardziej zagrożeni niż – powiedzmy – półtora roku temu?

W CIENIU WULKANU

Zanim spróbujemy poszukać odpowiedzi na te pytania, trzeba poczynić ważne zastrzeżenie. Otóż bez względu na to, jaki jest cel rozsiewania pogłosek o nadciągającej wojnie, wybuch konfliktu z Rosją jest realny. Jednak stopień prawdopodobieństwa wojny i jej termin to już czyste spekulacje. Można powiedzieć, że nie jest ona nieunikniona aż do chwili, gdy wybuchnie, i tego powinniśmy się trzymać.

Nie oznacza to jednak, że Rosja nie planuje takiej wojny. Gdyby tylko nadarzyła się sposobność, to z pewnością z niej skorzysta. Zresztą Kreml nigdy nie ukrywał swoich zamiarów. Przedstawił je otwarcie w ultimatum złożonym państwom NATO w grudniu 2021 r. Przypomnijmy zatem, że Moskwie chodziło wtedy o wolną rękę na terenie byłego ZSRR oraz o stworzenie strefy buforowej w państwach wschodniej flanki NATO. Kraje położone w tej stre-

eprasa.pl b1262a55b7

fie – w tym Polska – miały zostać pozbawione zdolności obronnych. Rosja zażądała usunięcia stamtąd baz i wojsk NATO oraz broni, która w ocenie Moskwy miała charakter ofensywny. Inaczej mówiąc, Kreml zażyczył sobie politycznej i militarnej kontroli nad Europą Środkowo-Wschodnią. Przyjęcie rosyjskiego ultimatum oznaczałoby zatem zepchnięcie NATO do linii Odry, a zapewne również koniec tego sojuszu.

W tej kwestii w polityce rosyjskiej nic się nie zmieniło. Moskwa nadal, przynajmniej w oficjalnych oświadczeniach, traktuje grudniowe ultimatum jako podstawę do ewentualnych negocjacji z Zachodem. Zgodzicie się na nową Jałtę, to możemy porozmawiać o pokoju, ale jeśli odrzucicie tę ofertę, to powinniście spodziewać się każdego scenariusza.

A tych scenariuszy – na razie poza oficjalnym obiegiem – jest sporo. Wszystkie jednak albo niemal wszystkie zakładają, że Rosja na nowo będzie rozdawała karty w Europie Środkowo-Wschodniej. To dość istotna kwestia, bo właśnie w tym regionie interesy mają Niemcy, co oznacza, że Moskwa w pierwszej kolejności będzie chciała zmusić do współpracy Berlin i ustalić z nim linie rozgraniczenia wpływów. Mogą mieć one różny wymiar. Można sobie wyobrazić podział funkcjonalny, np. Moskwa kontroluje kwestie bezpieczeństwa, a Berlin gospodarkę regionu. Może być też podział geograficzny: linia Bugu lub w przypadku wybuchu konfliktu linia Wisły, a nawet Odry.

W Rosji już kilka lat temu dyskutowano nad tym, czy odbudowa imperium powinna zakładać powrót do granic z 1914 r., czy też, jeśli Niemcy nie będą chciały kooperować, trzeba byłoby dokonać znacznie głębszej ekspansji, sięgającej Odry lub nawet dalej.

> Wybuch konfliktu z Rosją jest dziś realny. Jednak stopień prawdopodobieństwa wojny i jej termin to już czyste spekulacje

Krótko mówiąc, Moskwa czeka na dobry moment. Czy nadejdzie i czy Rosja będzie zdolna do realizacji swoich strategicznych planów to inna sprawa. Ważne jest, aby mieć świadomość, że znajdujemy się w strefie podwyższonego ryzyka. Coś w rodzaju życia obok wulkanu, który w każdej chwili może wybuchnąć.

CYWILIZACJA KONFORMISTÓW

Nie powinniśmy się jednak zanadto łudzić, że nasze obawy – ludzi żyjących w cieniu wulkanu – będą równie silne u tych, którzy żyją w większej odległości od krateru. Włosi, Francuzi, Holendrzy, a nawet Niemcy nie martwią się tym, że pewnego dnia na ich domy mogą spaść rosyjskie rakiety. Ten scenariusz wydaje im się zupełnie nieprawdopodobny i, co więcej, mają pewnie sporo racji. Moskwa nie zamierza wojować z całą Europą, domaga się bowiem od niej podziału wpływów. Chce kontroli nad wschodem kontynentu, który i tak uznawany jest przez stare stolice Europy za dzikie peryferia. Nie ma więc sensu nadstawiać karku za ten region.

Inna rzecz, iż społeczeństwa zachodnie w ogóle nie chcą opuszczać strefy swojego komfortu i ryzykować. O skali kryzysu świadczy fakt, że zaledwie kilkanaście procent. Niemców jest gotowych bronić własnego kraju. Pacyfistyczna – czy może raczej konformistyczna – rewolucja społeczna, która jeszcze parę lat temu mogła się wydawać gwarancją pokoju w Europie, stała się dzisiaj egzystencjalnym zagrożeniem dla kontynentu niemalże bezbronnego wobec najazdu ze wschodu (Rosja) i południa (imigranci). Dla Berlina, którego interesy w Europie Środkowo-Wschodniej krzyżują się z zakusami Moskwy, to bardzo poważny problem. Trudno bowiem wyobrazić sobie niemiecką potęgę bez zaplecza, które stanowi dla Berlina nasz region. Dawna RFN – sprzed zjednoczenia – była bogatym, prężnym państwem, ale dopiero połączenie z NRD i kontrola nad Europą Środkowo-Wschodnią stały się lewarem, który wyniósł Niemcy na obecną pozycję w Europie.

Nic więc dziwnego, że Niemcy próbują ratować swój stan posiadania, tyle że nie bardzo mają kim. Bo gdy na horyzoncie jest próba sił z Rosją, trzeba mieć w zanadrzu jakąś amunicję. Tymczasem niemiecka gospodarka, nadwerężona pandemią i absurdalną polityką klimatyczną, przeżywa kryzys za kryzysem, a społeczeństwo jest rozbite przez masową imigrację.

Fot. Evgeniyvw / Shutterstock

eprasa.pl b1262a55b7

Rząd w Berlinie wpadł ostatnio na pomysł, aby wykorzystać imigrantów i powoływać ich do armii, żeby bronili Niemiec przed wrogiem. Służba w wojsku stała się dziś w Europie niechcianą pracą, czymś w rodzaju sprzątania kibli, do którego ściągano cudzoziemców. Jednak przekonanie, że afrykańscy „inżynierowie" ochoczo staną do walki, jest równie naiwne, co wcześniejsza nadzieja, że będą z entuzjazmem szorować toalety. Nie, prędzej zdezerterują albo zastrzelą swoich niemieckich dowódców. Nie po to przyjechali przecież do Europy, aby tu pracować ani tym bardziej walczyć o nią z bronią w ręku.

To dlatego, jak uważają niektórzy, niemieckie media straszą wojną. Groźba rosyjskiej agresji ma – jak powiedział Boris Pistorius – „potrząsnąć społeczeństwem" i wybudzić je z letargu. Można jednak wątpić, czy to się uda. Dlatego, jak się zdaje, na horyzoncie pojawił się jeszcze jeden plan.

W OBRONIE BERLINA

W ogólnych założeniach jego istota jest podobna do pomysłu z powierzeniem imigrantom obrony Niemiec. Chodzi bowiem o podział zadań. Jedni finansują i dowodzą, a inni nadstawiają karku. W tym przypadku karku mieliby nadstawiać wschodni Europejczycy, ze szczególnym uwzględnieniem Polaków.

Skoro spośród krajów naszego regionu Polska jest najbardziej zagrożona (nie licząc państw bałtyckich), to niech ona – mając przy tym największe zasoby demograficzne – weźmie na swoje barki obronę Europy przed najazdem ze wschodu. To nasi żołnierze mają przelewać krew za wielokulturową, postępową Unię, cofając się najpierw do linii Wisły, a potem, jeśli wróg będzie napierał, do linii Odry. To wystarczy, bo potencjalny agresor raczej nie zamierza iść dalej.

Temu wszystkiemu służy idea armii europejskiej, której dowództwo będzie zasiadać gdzieś w Brukseli lub Berlinie, a siłę roboczą (lub jak kto woli mięso armatnie) dostarczą protektoraty z naszej części Europy. Dopóki w Polsce rządził PiS, było to mało prawdopodobne, ale dzisiaj, gdy władzę przejął Tusk, taki scenariusz, w którym instrumentalnie wykorzystuje się patriotyzm polskiego żołnierza, wydaje się niestety całkiem realny, choć oczywiście wolałbym się tu mylić.

Ważną rolę w tej koncepcji odgrywa czynnik amerykański. Otóż Niemcy są przerażeni niemalże pewną perspektywą powrotu Donalda Trumpa do Białego Domu. Może to oznaczać zdjęcie amerykańskiego parasola wojskowego znad Niemiec i Europy. Wydawałoby się, że mając przed sobą taką perspektywę, Niemcy, które od kilku dekad jadą w NATO na gapę, powinni dogadać się z Trumpem i jakoś go ugłaskać. Jednak nic nie wskazuje na to, aby tak się miało stać. Przeciwnie, liberalny Berlin spogląda na Trumpa z nieskrywaną pogardą i jest gotów wykorzystać zmianę warty w Białym Domu do przemeblowania Europy. Jeśli więc Amerykanie wyniosą się z kontynentu (zapewne pozostając w Wielkiej Brytanii), Niemcy podejmą próbę zastąpienia ich w roli obrońców Europy. Tyle że, o czym była już mowa, nie mają do tego własnych środków. Wyjściem z sytuacji jest więc armia europejska, w której Niemcy dowodzą, a inni walczą. A jeśli Niemcy dowodzą, to bronią głównie własnych interesów i własnych granic.

> Przekonane o nieuchronności wojny społeczeństwo z ulgą przyjmie negocjacje z Rosją i przełknie ewentualne ustępstwa. Zgodzi się też na wiele ograniczeń, byleby uniknąć gorszego scenariusza

W tym kontekście przestają dziwić artykuły z zachodniej, głównie niemieckiej, prasy o rychłej napaści Rosji na Europę. Bo nie chodzi tutaj o realne zagrożenie, które, jak wspomniałem, jest rzeczywiście wysokie, lecz o interesy Berlina. Mamy się jednoczyć wokół niemieckich – przepraszam, europejskich – generałów, bo Amerykanie nas porzucili, a Rosja tylko czyha na taką okazję.

Rosja oczywiście czyha na okazję, ale w rzeczywistości, jak sądzę, może ją zadowolić również stół negocjacyjny. Dlaczego? Bo po pierwsze, mocno wyczerpała swoje konwencjonalne zasoby na Ukrainie, a po drugie, wie, że pozbawione amerykańskiego parasola Niemcy będą bardziej skłonne do ustępstw. Jeśli więc Berlinowi jest potrzebna armia europejska, to głównie po to, aby nie musieć ustępować zbyt daleko.

ZARZĄDZANIE STRACHEM

Wojny obawia się każdy, zwłaszcza w naszej części Europy. Nam nie trzeba mówić, że Rosja jest zagrożeniem. W obliczu tego zagrożenia powinniśmy jednak kierować się odpowiedzialnością. Tymczasem trudno nie ulec wrażeniu, że nagła wrzawa, która wybuchła wokół wojny, wcale nie służy poprawie naszego bezpieczeństwa, lecz jest próbą wytworzenia psychozy.

Zastraszonymi, zalęknionymi ludźmi jest znacznie łatwiej sterować. I nie chodzi tu tylko o budowę armii europejskiej. Po pierwsze, przekonane o nieuchronności wojny społeczeństwo z ulgą przyjmie negocjacje z Rosją i znacznie łatwiej przełknie ewentualne ustępstwa. Po drugie, zgodzi się na wiele ograniczeń, byleby tylko uniknąć gorszego scenariusza.

Jeśli więc wspominamy o armii europejskiej, to warto dodać, że jej koncepcja jest ściśle związana z planami federalizacji Unii. Tsunami, które wywołał Putin, napadając na Ukrainę, dewastuje cały dotychczasowy świat i przyspiesza procesy, które wcześniej wydawały się trudne do wykonania. Oto liberalna, wolna Europa stoi u progu przekształcenia się w quasi-autorytarny, scentralizowany reżim, a paliwami, które to napędzają, są rosyjska agresja oraz strach przed rozlaniem się konfliktu na zachód. Całkowicie uzasadniony niepokój w wielu krajach Wspólnoty jest sprytnie wykorzystywany w partykularnym interesie unijnej oligarchii. Liczy ona na to, że zarządzając strachem, a w ostateczności kosztem niewielkich ustępstw wobec agresora, zdoła trwale usadowić się u władzy.

Tak naprawdę nikt nie wie, czy Putin zaatakuje Europę. Wiemy natomiast, że zdołał zarazić ją wirusem despotyzmu. I że ten wirus właśnie roznosi się po całym kontynencie.

eprasa.pl b1262a55b7

Europa bez granic?

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Szef Fronteksu nie wierzy w ochronę unijnych granic. Zamiast tego chce „spowolnić" napływ ludzi do UE. Nielegalna imigracja jest dla niego równie nieunikniona jak to, że rano wstaje słońce

„Razem jesteśmy silniejsi!", „Stawiamy czoła wyzwaniom!" i „Miło widzieć tak wiele osób skupiających się na wspólnych zadaniach w trudnych czasach". Mówca motywacyjny? Jeden z tych, co nas uczą, jak odnieść sukces i być jednocześnie szczęśliwym? Nie, to nowy szef Europejskiej Agencji Straży Granicznej i Przybrzeżnej Frontex Hans Leijtens, który już dość dobrze opanował język brukselskich eurokratów. Setki tysięcy nielegalnych migrantów napływa co roku do Europy. Ale razem jesteśmy silniejsi – czy jakoś tak.

Leijtens od marca ub.r. kieruje Fronteksem. Zastąpił na tym stanowisku Francuza Fabrice'a Leggeriego, który sam podał się do dymisji, bo był oskarżany m.in. o tolerowanie nielegalnego „odpychania" migrantów, czyli pushbacki oraz nieprawidłowości w zarządzaniu największą agencją Unii Europejskiej, która ma siedzibę w Warszawie. Leijtens obiecał, że będzie dbał o to, by Frontex „przestrzegał praw migrantów" oraz odbuduje „zaufanie do agencji". Powstała ona w 2004 r. w celu „ochrony europejskiej przestrzeni wolności, bezpieczeństwa i sprawiedliwości". Wspólnie z państwami członkowskimi ma zapewnić „bezpieczne i dobrze funkcjonujące granice zewnętrzne". Jak się okazuje, Leijtens nie za bardzo jednak wierzy w bezpieczne granice.

PANIKARSTWO I PRAWORZĄDNOŚĆ

W wywiadzie dla niemieckiego tygodnika „Welt am Sonntag" szef Fronteksu oświadczył, że „nic nie może powstrzymać ludzi przed przekroczeniem granic, ani mur, ani płot, ani morze, ani rzeki". Według niego „jedyne, co można zrobić, to spowolnić napływ ludzi do UE i lepiej go kontrolować". Nielegalna imigracja jest dla niego równie nieunikniona jak to, że rano wstaje słońce. „Czasami, zachowujemy się tak, jakby można było po prostu zakorkować butelkę i wtedy migracja zostanie zatrzymana. Jest to jednak błędne

Fot. Shutterstock

eprasa.pl b1262a55b7

przekonanie" – zaznaczył. „Kim ja jestem, by ośmielać się potępiać migrantów? Siedzę tutaj, w moim biurze w Warszawie, oczywiście, że mógłbym to zrobić – ale to byłoby zbyt proste" – dodał. Jego zdaniem „nie możemy cały czas podtrzymywać narrację o zatrzymywaniu ludzi i zamykaniu granic". „Moim zadaniem jest stworzenie równowagi między skutecznym zarządzaniem granicami a przestrzeganiem praw podstawowych" – mówił. Jak przekonywał dalej, zamiast ochrony granic potrzebne są procedury azylowe na granicach zewnętrznych Unii oraz szybsze deportacje i umowy z krajami trzecimi, które „obejmują np. wspólne dochodzenia policyjne w sprawie przemytu ludzi".

Mamy więc szefa agencji unijnej ochrony granic, który nie wierzy w ochronę granic i chce stawiać na szybsze deportacje, choć zapewne wie, że większości przybyszy, których wnioski o azyl zostały odrzucone, nie ma dokąd deportować. Jedynym tzw. bezpiecznym krajem trzecim gotowym obecnie współpracować z UE przy deportacjach jest Ruanda. O mało nie doszło do podobnego dealu z Tunezją w lipcu ub.r., ale upadł on po tym, jak delegacja Parlamentu Europejskiego chciała sprawdzić na miejscu, czy poziom demokracji w Tunezji jest wystarczający, by odsyłać tam migrantów. We Francji odsyła się do krajów pochodzenia jedynie 4 proc. migrantów, którym odmówiono prawa azylu.

Leijtens chce zresztą nie tylko zreformować Frontex, lecz także skierować całą debatę o migracji na nowy tor, czyli „więcej człowieczeństwa, mniej strachu przed obcymi, mniej uprzedzeń". „Należy położyć kres temu panikarstwu. U nas panuje praworządność" – podkreślił.

Dziennikarze „Welt am Sonntag" skontaktowali się także z poprzednikiem Leijtensa Fabricem Leggerim. Były szef Fronteksu utrzymywał, że „zawsze się starał bronić interesów Unii oraz krajów strefy Schengen, zwalczając terroryzm i przemyt". Według niego jego kariera się skończyła, bo „doszło do zmiany politycznej". „W październiku 2019 r. miałem spotkanie z komisarz Ylvą Johansson, odpowiedzialną za sprawy wewnętrzne. Dotąd Komisja Europejska chciała, byśmy rozwijali stały korpus Fronteksu. Komisarz Johansson zapytała mnie: na co wam to? Migranci są tu mile widziani. Po co więc ta broń i te mundury?" – dodał. Wtedy, jak twierdzi, stało się dla niego jasne, że zapewnienie efektywnej kontroli granic będzie coraz trudniejsze. „NGO miały coraz więcej wpływów w Brukseli. Nie mogłem już wypełnić swoich zadań" – utrzymuje. Presja na niego zaczęła rosnąć. Europejski Urząd ds. Zwalczania Nadużyć Finansowych – OLAF ocenił jego pracę jako „nędzną". Socjaliści obrzucali go obelgami w Parlamencie Europejskim, a on odpowiadał, że Frontex to nie organizacja pomocy migrantom. Nie chciał też zatrudnić 40 nowych pełnomocników ds. praw człowieka.

Rosła jednocześnie presja medialna. W kwietniu 2022 r. wspólne dziennikarskie śledztwo przeprowadzone przez Lighthouse Reports, niemiecki tygodnik „Der Spiegel", szwajcarskiego nadawcę publicznego SRF Rundschau oraz francuski dziennik „Le Monde" ujawniło, że Frontex był zamieszany w nielegalne pushbacki w Grecji. Nielegalni migranci mieli być umieszczani na tratwach ratunkowych i pozostawiani na Morzu Egejskim od marca 2020 r. do września 2021 r. Tymczasem w raporcie amerykańskiej organizacji Human Rights Watch z grudnia 2022 r. stwierdzono, że Frontex był również „współwinny znęcania się nad migrantami w Libii poprzez współpracę z libijską strażą przybrzeżną na Morzu Śródziemnym". Walka z przemytem jako tortury.

Niektóre NGO wręcz nawoływały do tego, by zlikwidować Frontex. W lipcu 2021 r. polska Fundacja Ocalenie (to ta od wesołych zdjęć marszałka Hołowni z migrantami w Sejmie) przyłączyła się do sieci Abolish Frontex, której postulatami są m.in. zatrzymanie deportacji nielegalnych migrantów, zaprzestanie „militaryzacji granic" (czyli *de facto* zaprzestanie ich ochrony), przesunięcie środków przeznaczanych na zabezpieczanie granic do programów usługowych dla migrantów, no i jak sama nazwa wskazuje: likwidację Fronteksu. Jak informował wówczas francuski tygodnik „Le Point", Turcja wzięła aktywny udział w usuwaniu Leggeriego ze stanowiska. Süleyman Soylu, minister spraw wewnętrznych Turcji, miał się przyznać do tego w czerwcu 2022 r. podczas spotkania z dziennikarzami. „Zrobiliśmy, co w naszej mocy i udało nam się" – zaznaczył. Dymisja Leggeriego była więc wynikiem skoordynowanej akcji aktorów wewnątrz i zewnątrz Unii, która trwała ponad dwa lata.

> Skoro Frontex nie jest w stanie chronić granic zewnętrznych Unii, bo zresztą sam tego nie chce, a jeśli chodzi o państwa członkowskie i tak nie ma żadnych kompetencji decyzyjnych, to po co właściwie istnieje?

ŁODZIE I KLIMAT

Hans Leijtens pewne nie zgodziłby się z tak radykalnym postulatem jak likwidacja Fronteksu, ale najwyraźniej jest gotów co najmniej za bardzo nie przeszkadzać w przemycie ludzi. W styczniu w Brukseli powiedział reporterom, że praca agencji będzie opierała się na „przejrzystości i odpowiedzialności".

Frontex ma przede wszystkim wspierać wdrożenie uzgodnionego w grudniu ub.r. paktu migracyjnego UE, co oznacza według niego pomoc w deportacjach i przeprowadzeniu procedur azylowych w tych krajach, do których migranci dotrą jako pierwsi. W przypadku szlaku wschodniego jest to Polska. Agencja twierdzi, że już teraz wydaje na deportacje ok. 95 mln euro rocznie. Nie każdy będzie jednak podlegał readmisji. Jak powiedział wicedyrektor wykonawczy Fronteksu Uku Särekanno w rozmowie z „Deutsche Welle", powrót osób, „które uciekły ze względów bezpieczeństwa lub ze względów

eprasa.pl b1262a55b7

klimatycznych, jest niemożliwy". I nie będzie brany pod uwagę. Wystarczy więc udowodnić, że uciekło się z powodu suszy lub innych katastrof naturalnych i można zostać w UE.

W 2023 r. Frontex zarejestrował 380 tys. nielegalnych przekroczeń granic unijnych, co stanowi wzrost o 17 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim. Do tego dochodzą łodzie na Morzu Śródziemnym, ataki na płoty graniczne, choćby w hiszpańskich enklawach w Maroku – Ceucie i Melilli – dziesiątki tysięcy incydentów każdego roku. Tymczasem liczba krajów pochodzenia i tranzytu migrantów poza Unią, które współpracują z Fronteksem, jest bliska zera. Deal z Libią storpedowały NGO. Niemiecka organizacja Sea-Watch pozwała agencję za umowę z Trypolisem do sądu. Skoro Frontex nie jest w stanie chronić granic zewnętrznych UE, bo zresztą sam tego nie chce, a jeśli chodzi o państwa członkowskie i tak nie ma żadnych kompetencji decyzyjnych, to po co właściwie istnieje?

Złośliwcy twierdzą, że z Fronteksem jest jak z paktem migracyjnym. Nowe unijne przepisy dotyczą wyłącznie tego, co w brukselskim żargonie nazywa się „migracją wewnętrzną", czyli relokacją, w pakcie nazwaną eufemistycznie przymusową solidarnością. Pakt nie pozwala natomiast, jak gorzko stwierdził były sekretarz stanu ds. migracji Wielkiej Brytanii Robert Jenrick, stawić czoło prawdziwemu wyzwaniu, jakim jest „migracja zewnętrzna" – przede wszystkim zatrzymanie łodzi. Jak to ujął Jenrick, ponieważ Bruksela „pogodziła się z masową nielegalną imigracją, Komisja Europejska jest obecnie skupiona na leczeniu symptomów problemu, a nie dostarczeniu lekarstwa". „Ten pakt nie ma ambicji zapanowania nad falami migracyjnymi ani ich osłabienia, a co najwyżej przedstawia zamiar obsługiwania tych fal" – pisał także na łamach francuskiego dziennika „Le Figaro" Jean-Thomas Lesueur, szef konserwatywnego think tanku Instytut Thomasa More'a. Jego zdaniem zalety paktu to przyspieszenie rozpatrywania wniosków o azyl i deportacje. Jako wadę planu wskazuje to, że jedynie nieznacznie usprawnia on rozporządzenie dublińskie, według którego za uchodźców odpowiedzialny jest pierwszy kraj UE, do którego przybyli. Lesueur zarzuca również paktowi, że zamiast rozwiązywać zasadnicze problemy migracji, raczej ich unika. „Jest doskonałą ilustracją politycznej niedorzeczności UE – Unia, niezdolna do realistycznego spojrzenia na migrację i jej skutki, mnoży narzędzia biurokratyczne".

EPILOG

Do Unii Europejskiej, która nie chce rozwiązać problemu migracji, Hans Leijtens pasuje jak ulał. Podobnie jak KE chce on „obsługiwać fale migracji". O umowie Fronteksu z libijską strażą przybrzeżną za czasów jego poprzednika mówi, że to „był błąd". „Z państwami zbrodniczymi się nie negocjuje". Nie przekonuje go także argument, że dzięki tej umowie liczba łodzi przekraczających Morze Śródziemne mocno zmalała. Leijtens, były dowódca plutonu opancerzonych samobieżnych dział przeciwlotniczych w Królewskiej Armii Holandii i były wykładowca Królewskiej Akademii Wojskowej, uważa się za „humanistę". „Moim obowiązkiem jest walka z niesprawiedliwością" – mówił dziennikarzom „Welt am Sonntag".

Tymczasem problem migracyjny nie jest zmienną polityki gospodarczej i społecznej. To kwestia egzystencjalna, która dotyczy tożsamości oraz przyszłości narodów i kultur. I tego Komisja Europejska nie może i nie chce pojąć. Jak alarmują eksperci ds. migracji, do 2050 r. liczba mieszkańców Afryki ma wzrosnąć o 1 mld, a już dziś połowa młodych Afrykańczyków chce wyemigrować na Stary Kontynent. Jest wysoce niepokojące, że w raporcie OLAF o Fronteksie jasno sformułowano, do czego ma służyć unijna agencja ochrony granic. Nie do pomocy władzom krajowym w kontrolowaniu granic, lecz do monitorowania (i ewentualnie) potępiania ich wysiłków ograniczania migracji.

Przy okazji został ujawniony nadmierny wpływ „społeczeństwa obywatelskiego" na europejską politykę migracyjną. Od chwili powstania Frontex jest oficjalnym strachem na wróble organizacji otwarcie prowadzących kampanię na rzecz zniesienia granic, bardzo obecnych w kręgach brukselskich, zwłaszcza w Parlamencie Europejskim. Już sam schemat organizacyjny Fronteksu zdradza tę ingerencję: oprócz zespołu „pełnomocników ds. praw podstawowych" (rodzaj wewnętrznej inspekcji praw człowieka) istnieje także „rada doradcza", złożona z organizacji międzynarodowych i organizacji pozarządowych, które ostro krytykują agencję i działania, które koordynuje. Wewnętrzne walki i ideologiczna ślepota, wydobyte na światło dzienne przez sagę o Fronteksie, są kłopotliwe i zdradzają niepokojący atawizm Unii, która woli innym udzielać lekcji, niż bronić swoich własnych interesów.

Hans Leijtens

Fot. Alexandros Michailidis/Shutterstock.com

Zlot właścicieli świata

Davos to takie miejsce, w którym miliarderzy opowiadają milionerom, jak żyją zwykli ludzie i czego potrzebują. Nie inaczej było w tym roku

DARIUSZ MATUSZAK

W tegorocznym 27. zlocie Światowego Forum Ekonomicznego (WEF) doliczono się 869 mld dol. – o ponad 100 proc. więcej niż w 2020 r., kiedy to było zaledwie 405 mld dol. Na taką wartość wyceniła majątki bogaczy obecnych na forum organizacja Oxfam Inequality. To nie znaczy, że zjechali się tłumniej, że tłok się zrobił. O nie, bogaci bogacą się coraz szybciej i po prostu majątek takich ludzi, jak Elon Musk, Bernard Arnault, Jeff Bezos, Larry Ellison i Warren Buffett w ciągu trzech lat wzrósł średnio o 114 proc. W tym samy czasie biedne 60 proc. populacji straciło 0,2 proc. To pokazuje tendencję w rozwoju świata. Nowe restrykcje i ograniczenia wprowadzane dla „dobra ludzkości", globalny sojusz korporacji i państw sprawiają, że znika mały i średni biznes, a tyją najwięksi. I jak co roku w Davos radzą oni, jak bardziej urosnąć oraz kontrolować ciemną ludność poddaną. Poniżej przedstawiamy co bardziej koszmarne pomysły, jak z książek o krainach i ustrojach dystopijnych. Najpierw jednak o dwóch nieoczywistych bohaterach tegorocznego zlotu.

Cały świat obiegły nagrania, na których widać, jak w serii wystąpień Damon Imani, mieszkający w Danii irański artysta i komentator, mówi szefowi WEF: „Pier...ić Klausa Schwaba, pier...ić Nowy Światowy Ład. My, ludzie, urodziliśmy się wolni i pozostaniemy wolni, a ty i wszyscy twoi globalistyczni kumple mogą się iść pier...ić". Wystąpień w tym stylu była cala seria, ale niestety były to tylko scenki zmontowane przez tego satyryka, które podbiły internet.

BILL GATES ŚWIAT WYKARMI

Prawdziwe za to było przemówienie prezydenta Argentyny, w trakcie którego prezes WEF Klaus Schwab uciekł z sali. Jak komentowano, Javier Milei pojawił się w jaskini bestii jako posłaniec wolności. Jego wystąpienie wyświetlono już miliony razy. „Jestem tu po to, by powiedzieć wam, że Zachód jest w niebezpieczeństwie, bo ci, którzy niby bronią zachodnich wartości, tak naprawdę przyjęli wizję świata, która nieubłaganie prowadzi do socjalizmu, a w konsekwencji do nędzy. [...] Przywódcy świata zachodniego porzucili model wolności na rzecz różnych wersji tego, co nazywamy kolektywizmem. Eksperymenty kolektywistyczne nigdy nie są rozwiązaniem problemów, ale wręcz przeciwnie – ich przyczyną". Milei, demaskując obsesje i mniemania lewicy, odnosił się m.in. do szaleństw klimatyzmu, który staje się podstawą wszelkich koncepcji kontrolowania świata: „Kolejnym konfliktem wszczynanym przez socjalistów jest konflikt człowieka z naturą. Utrzymują, że ludzie niszczą planetę i że należy ją chronić, posuwając się nawet do kontroli populacji lub krwawego programu aborcji".

Pominiemy kwestię zabijania nienarodzonych, a wspomnimy o kolejnych związanych z klimatyzmem pomysłach, którymi raczą nas globalne elity. Jak za-

wsze uderza to, że nie mając żadnego mandatu, czują się upoważnione do pouczania ludzkości i urządzania jej życia. Ot, choćby królowa Holandii Maxima, która w Davos wezwała do powszechnego wprowadzenia paszportów biometrycznych, by kontrolować, kto szczepiony, a kto nie. To tylko jedna z funkcji cyfrowego dokumentu, który chce wprowadzić Unia Europejska z Ursulą von der Leyen na czele. Inną byłoby śledzenie tzw. śladu węglowego, czyli sprawdzanie oraz zliczanie, ile też wyemitowano CO_2 przy produkcji oraz sprzedaży towarów i usług, które nabywamy. Każdy miałby limit, a jego wyczerpanie blokowałoby kolejne zakupy. Ale, ale – dla wielmożnych i bogatych jest wyjście. Są bowiem pomysły, by zaprowadzić handel limitami na kształt tego, który dotyczy ETS, czyli uprawnieniami do emisji. Latający prywatnymi jetami czempion klimatyzmu Al Gore odkupywałby od jakichś nędzarzy, których nie stać na wakacje, ich prawa do emisji, czyli podróży. Mam przekonanie graniczące z pewnością, że już trwają prace nad takim konceptem, jak i giełdą, która umożliwi obrót takimi papierami – masowe skupowanie uprawnień od mieszkańców wioch, np. na Słowacji czy w Rumunii, i spekulacje nimi. Plebs ma siedzieć w chałupie, gapić się w telewizor, a nie zawadzać jaśnie państwu w kurortach.

Ta sama kwestia dotyczy diety. Naiwny ten, kto uważa, że władcy i właściciele świata nie chcą decydować o tym, czego i ile możemy jeść. Nie ma przypadku w tym, że Jim Hagemann Snabe, szef rady Siemensa, mówił o zastąpieniu białka od zwierząt syntetycznym i o tym, że miliard ludzi ma przestać jeść mięso. Czy zastąpi się je robactwem, czy tym, co produkuje już np. Bill Gates – masą białkową z taśm produkcyjnych i wtryskarek – to sprawa wtórna. Z takich wizji jeszcze niedawno się wyśmiewano, a dziś widzimy, jak w Europie krok po kroku jest niszczone rolnictwo. Ono ma bowiem odpowiadać za 30 proc. emisji tzw. gazów cieplarnianych. Kiedy więc Karol III, co to z Bożej łaski wreszcie zasiadł na brytyjskim tronie, mówi do towarzystwa z Davos o zbilansowaniu emisji gazów cieplarnianych do zera, to tak naprawdę zapowiada likwidację rolnictwa, jakie znamy.

Musimy być przerażeni, by się na to zgodzić i dlatego szwajcarski bankier Hubert Keller, który układał program tegorocznego Davos, mówi nam, że jak pijemy espresso, to przy produkcji i transporcie ziarna na nie wyemitowano 20 razy więcej CO_2 niż ono waży. Wyobrażacie to sobie: dwa kubki kawy, a wszystko zakopcone jak na grillu u Cyganów.

Wobec ograniczeń spożywczych niczym wydaje się więc eliminacja 1,6 mld pojazdów, czego chce sam Klaus Schwab, postać jak z pierwszych filmów serii o Jamesie Bondzie, w których to z reguły jakiś łysy socjopata z ciężkim niemieckim akcentem chce zawładnąć światem. Zamiast 2,1 mld sztuk ma ich być 500 mln. A po co pojazdy, skoro pospólstwo ma siedzieć w domu, a i kawy dowozić się nie będzie.

PLAGA NIESZCZĘŚĆ

W obliczu globalnej zagłady żadne wyrzeczenia plebsu nie są zbyt małe. A to, że spotkają nas wszelkie nieszczęścia, jest już przesądzone. Na potrzeby WEF sporządzono raport o zagrożeniach dla ludzkości i planety. 83 proc. ankietowanych ekspertów akademickich, biznesu i NGO uważa, że jakieś klęski dotkną nas w ciągu dwóch lat. To może być cokolwiek, np. jak przewiduje szef Światowej Organizacji Zdrowia (WHO), oskarżany o ludobójstwo w swoim kraju, etiopski komunista Tedros Ghebreyesus, czeka nas pandemia 20 razy gorsza niż COVID-19. Jeśli do maja państwa nie się podpiszą porozumienia dającego WHO specjalne, ponadpaństwowe uprawnienia, to wykończy nas wirus X. Właśnie X, bo jeszcze nie wiadomo jaki, ale prace nad szczepionką, paszportami biomedycznymi, systemami kontroli populacji na okoliczność jego pojawienia się już trwają.

Innym nieszczęściem będzie atak cybernetyczny „wyniszczający świat". Dokładnie rok temu dyrektor WEF Jeremy Jurgens prorokował, że nastąpi on – nie wiadomo jak i skąd – do 2025 r. Skoro nie było go w 2023 r., to będzie teraz, w 2024 r. Zwróćmy uwagę, że proroctwa o chorobie X, której nie znamy, ale nas dopadnie, albo o ataku cybernetycznym nie są tak wyrafinowane jak wieszczenia klimatystów. Ci przez dekady się czegoś nauczyli i już nie mówią, że w roku tym a tym Bangladesz i Holandia znikną pod wodą, a Kanada zmieni się w pustynię. Nie, on mówią, że dziś, jedząc mięso, pijąc kawę i jeżdżąc samochodem do muzeum parowozów do Wolsztyna, czynimy tak nieodwracalne szkody, że w 2089 r., czy którymś tam, coś się wydarzy i wszyscy zginą w męczarniach. Bill Anderson, szef giganta farmaceutycznego Bayer (od aspiryny), jest bardziej precyzyjny i pesymistyczny, bo powołując się na jakiś raport, obwieścił, że z powodu wywołanych zmianami klimatu gwałtownych zjawisk pogodowych do 2050 r. może zginąć od 700 mln do 1,5 mld ludzi. To wszystko brednie, zwykłe zmyślenia, majaki, jak po grzebaniu w wątpiach zwierząt, wciąganiu czegoś do nochala jak Pytia w świątyni Apollina w Delfach, jak u baby, co się wgapia w zabójcze, bo uwalniające gazy cieplarniane, fusy kawowe i karty wykłada.

Jest jednak jedno bliskie i prawdopodobne nieszczęście, które ludzkość, a zwłaszcza bywalców Davos, naprawdę może dopaść. To ponowna prezydentura Donalda Trumpa. Przerażeni tą perspektywą są Soros junior – Alex czy szefowa Europejskiego Banku Centralnego Christine Lagarde. A już zwłaszcza dla Klausa Schwaba to coś, co w konstytucyjnej doktrynie USA nazywa się „clear and present danger", czyli wyraźne i bezpośrednie zagrożenie. Otóż grupa republikańskich kongresmenów wniosła projekt ustawy zakazującej federalnym instytucjom jakiegokolwiek finansowania WEF. W 2023 r. amerykański podatnik przekazał forum 9,1 mln dol. dotacji. Członkostwo kosztuje 100 tys. dol. rocznie, a zaproszenie na imprezę 40 tys. dol. Od 2015 r. Amerykanie wydali na imprezy w Davos co najmniej 50 mln dol. Póki prezydentem jest postępowy i równościowy demokrata jak Biden, to kochane pieniążki będą płynąć na szwajcarskie konta. A jak wygra nieokrzesaniec Trump, to pewnie ustawa przejdzie. Nie tylko skończą się przelewy od rządu, lecz także nie będą się pojawiać w kurorcie tabuny z amerykańskiej administracji, więc i zlot władców oraz właścicieli świata straci na prestiżu. Trzeba zrobić wszystko, by powstrzymać to nieszczęście.

Fot. ©World Economic Forum/Pascal Bitz

eprasa.pl b1262a55b7

50 dni prezydenta Mileia

Prezydent Javier Milei wtargnął na scenę polityczną nie tylko ku rozpaczy kasty skorumpowanych argentyńskich polityków, lecz, jak pokazało niedawne forum w Davos, także ku zgrozie szefów państw i ponadnarodowych ośrodków władzy. Jeśli Milei pozostanie wierny obietnicom danym swoim rodakom, będziemy świadkami wielu spektakularnych pojedynków, które przyćmią wyczyny Messiego czy kontrowersje papieża Bergoglio

MAŁGORZATA WOŁCZYK

Przyznajmy szczerze, że w tych niespecjalnie ciekawych czasach pozostaje nam jednak odrobina przewrotnej satysfakcji, gdy ktoś wreszcie zuchwale wymierzy policzek naszym politycznym adwersarzom, którzy swoim ideologicznym zacietrzewieniem niszczą kulturę i cywilizację Zachodu. Enfant terrible Argentyny o wiecznie skołtunionej fryzurze i porywczym temperamencie sprawia, że trudno pominąć milczeniem nie tylko jego historyczne wystąpienie w Davos, lecz także bilans 50 dni w Casa Rosada.

BICZ NA SOCJALISTÓW

Nie milkną echa jego przemówienia na Światowym Forum Ekonomicznym w Davos, a publikacje dzielą się jak zwykle na te, które demonizują Mileia, przedstawiając go jako populistę niespełna rozumu, oraz te, które przyglądają mu się z sympatią, widząc w nim wręcz materiał na jakiegoś katechona, który zatrzyma upadek Zachodu.

„Argentyński prezydent zaatakował wszystkich światowych przywódców, ale zwłaszcza organizacje międzynarodowe, które wypełniały salę, siejąc prawdziwą konfuzję wśród zgromadzonych" – donosił zniesmaczony lewicowy dziennik „El Pais", opatrując relację z przemowy Mileia wielkim zdjęciem, na którym lepiej widać kamień na żółtych zębach prezydenta niż jego oczy. Z kolei legenda dziennikarstwa Federico J. Losantos, autor wielu książek o zbrodniach komunizmu, rozpływał się w komplementach: „Przemówienie Mileia w Davos zbiegło się z setną rocznicą śmierci Lenina, twórcy pierwszego państwa totalitarnego. A ponieważ najlepszym hołdem dla ludobójstwa jest sąd nam nim, Milei potępił krwawą przeszłość komunizmu z bilansem 100 mln ofiar, a przede wszystkim jego oślizgłą teraźniejszość. Komunizm nie opiera się już na walce klasowej, lecz na walce płci, alarmizmie klimatycznym, indygenizmie lub każdej innej formie osłabienia Zachodu, który, jak słusznie stwierdził Milei, jest zagrożony w wyniku rozwoju wszystkich tych form socjalizmu. I z powodu samych elit Zachodu".

Ile bowiem trzeba mieć odwagi, aby tak jak Milei frontalnie zaatakować architektów nowego, „doskonałego" świata i rzucić im w twarz takie oto sformułowania: „Przybywam tu, aby zasiać idee wolności na socjalistycznym forum skażonym Agendą 2030"; „Zachód jest w niebezpieczeństwie, ponieważ ci, którzy niby bronią zachodnich wartości, tak naprawdę zostali skaptowani przez światopogląd, który nieubłaganie prowadzi do socjalizmu, a w konsekwencji do biedy"; „Eksperymenty kolektywistyczne nigdy nie są rozwiązaniem problemów, które dotykają obywateli świata, ale wręcz przeciwnie: są ich przyczyną".

Co więcej, Milei nazywany czasem argentyńskim Trumpem, nie odpuścił nawet promotorom aborcji i feminizmu, stając się ponownie wrogiem numer jeden rozsierdzonych ideologów lewicy. Rząd Mileia ogłosił nawet 2024 r. „Rokiem Obrony Życia, Wolności i Własności" oraz ustalił, że wszelka oficjalna dokumentacja musi zawierać to sformułowanie.

Na polskim podwórku najtrafniej chyba podsumował jego fenomen Tomasz Wróblewski, dziennikarz i prezes zarządu Warsaw Enterprise Institute, a zrobił to poprzez zestawienie z ledwie „rozkręcającym" się jeszcze wtedy Tuskiem: „O prezydencie Argentyny Mileiu mówi się w Brukseli, że jest szalony, o premierze Tusku, że przywraca normalność. Milei w pierwszym tygodniu swoich rządów ogłosił likwidację 11 ministerstw, Tusk stworzył trzy nowe, Milei zredukował wydatki państwa o 5 proc, Tusk zwiększył o jakieś 13 proc. Milei wprowadził 300 dekretów deregulacyjnych obejmujących argentyński rynek najmu mieszkań, ceł, obrotu ziemią, energii, prawo pracy, handel detaliczny, turystykę, farmację i media. Tusk w ramach reformy mediów wzmocnił partyjną kontrolę nad mediami rządowymi,

eprasa.pl b1262a5507

Fot. Facundo Florit/Shutterstock.com

podpisał zgodę na przymusową relokację nielegalnych imigrantów do Polski, zgodził się uruchomić proces i podporządkować Polskę oligopolizacji Unii".

OSTRE CIĘCIE WYDATKÓW

Przypatrzmy się zatem kolejnym posunięciom Mileia, który ma za sobą ponad miesiąc hiperaktywności. Prezydent od początku był lojalny wobec swoich rodaków, ogłaszając wszem wobec: „Kasy nie ma!". Naprawę państwa rozpoczął jednak już od progu swej siedziby prezydenckiej tzw. Casa Rosada (Różowy Dom), dowiadując się, że na użytek swego sekretariatu ma 121 samochodów służbowych i 242 kierowców. Postanowił więc odchudzić administrację państwową od własnego podwórka. Liberalno-libertariański ekonomista uczynił wszak z „piły mechanicznej" jeden z głównych symboli swojego programu gospodarczego, który skupił się wokół ograniczania wydatków publicznych. Na rok zawiesił m.in. reklamę instytucjonalną w mediach i dokonał krytycznego przeglądu wszystkich zamówień publicznych, podpisanych w ciągu ub.r. Zwolnił tysiące urzędników, którzy nie mając żadnego konkretnego zadania, utrzymywali się z budżetu państwa, zatrudnieni dzięki układom z poprzednikami, czyli peronistami. Milei spopularyzował pogardliwą nazwę „ñoquis" (słowo pochodzi od włoskich kopytek gnocchi) i zagroził, że na bruk wyrzuci najmniej 1 mln owych kopytek. To i tak zaledwie trzecia część, bo ponoć sektor publiczny zatrudnia 3,5 mln pracowników na 46 mln obywateli.

Tydzień po objęciu urzędu prezydent wydał 83-stronicowy dekret, który miał na celu deregulację gospodarki, aby wydobyć Argentynę z ograniczeń i umożliwić jej rozwój przez uchylenie kilka interwencjonistycznych ustaw, zatwierdzonych za rządów peronistów. Dekret zlikwidował system regulacji cen, zezwolił na sprzedaż akcji spółek publicznych i odebrał przywileje związkowym firmom zdrowotnym, aby mogły konkurować z sektorem prywatnym. Poza tym przewiduje modernizację rynku pracy, reformę kodeksów celnego, cywilnego i handlowego. Za poprzedniego rządu inflacja osiągała oficjalnie 12 proc. miesięcznie, ale rzeczywisty poziom był znacznie wyższy. Poprzednicy, czyli Cristina Kirchner i Alberto Fernández, sztucznie utrzymywali ceny na niskim poziomie poprzez dotacje dla firm, aby zapobiec podnoszeniu stawek i utracie klientelistycznych głosów w wyborach. Pozostawili więc Mileiowi „zatruty dar stłumionej inflacji – jak opisał to ekonomista Néstor Scibona – w postaci napiętej sprężyny, która nagle zostaje zwolniona i wyskakuje w powietrze". W grudniu inflacja sięgnęła 30 proc., a w całym 2023 r. przekroczyła 200 proc. Milei musi więc postawić na uwolnienie sił rynkowych w celu zrównoważenia cen i przyciągnięcia inwestycji. Dlatego w swym słynnym przemówieniu w Davos zaprosił przedsiębiorców do Argentyny jako nowej ojczyzny kapitalizmu w miejsce etatystycznego socjalizmu peronistów.

Po wydaniu wspomnianego dekretu Milei szykuje nowy wielki projekt „Omnibus", składający się z 664 artykułów, który przekształca system prawny, ogranicza interwencję państwa w gospodarkę i życie codzienne oraz na mocy nadzwyczajnego stanu przekazuje władzy wykonawczej (swojemu rządowi) specjalne uprawnienia na dwa lata. Owa libertariańska rewolucja była zresztą obietnicą Mileia. Projekt zakłada zaostrzenie sankcji wobec protestów ulicznych, które są w Argentynie codziennością, tym bardziej że zajadła opozycja, podobnie jak wcześniej nasza totalna, wypycha ludzi na ulice, a szklana butelka już przeleciała tuż obok prezydenckiej głowy. Lewicowe związki zawodowe, zblatowane z peronistami, od początku protestują, nie dając nawet wytchnienia na pierwsze 100 dni prezydentury. CGT, główny ośrodek związkowy zdominowany przez kirchneryzm, zwołał strajk generalny na 24 stycznia. Deputowani z partii Mileia La Libertad avanza stanowią mniejszość w Kongresie, gdzie opozycja stawia zaciekły sprzeciw, tym bardziej że przywiązanie do etatystycznych idei jest w Argentynie głęboko

eprasa.pl b1262a55b7

zakorzenione, mimo że doprowadziło do skrajnej pauperyzacji społeczeństwa.

WOJNA Z CELEBRYTAMI

W chwili, gdy powstaje ten tekst, w Argentynie trwa burza z powodu decyzji Mileia o zamknięciu Narodowego Instytutu Teatralnego, Narodowego Funduszu Sztuki oraz drastycznym zmniejszeniu budżetu dla Instytutu Filmowego. Prezydent tłumaczy: „Muszę wybrać między finansowaniem filmów, których nikt nie ogląda, a przekierowaniem funduszy dla ludzi, którzy nie mają co jeść".

Jak można było oczekiwać, tamtejsze Agnieszki Holland zatrzęsły się z oburzenia, a w sukurs przybiegł oczywiście pupil lewaków Pedro Almodóvar z „300 osobistościami kina" na czele, aby wydać oświadczenie „w obliczu gróźb ze strony skrajnie prawicowego rządu Mileia". I na nic nie pomogą twarde dane z Narodowego Instytutu Kinematografii (INCAA), że państwo wydało na kinematografię w ostatnich czterech latach aż 11 mld dol., nie mogąc liczyć ani na widzów, ani na dochody, bo z 682 filmów, które ukazały się w latach 2020–2023, tylko 12 przekroczyło pułap 100 tys. widzów, a jedynie dwóm udało się przekroczyć 1 mln.

Jeszcze jako kandydat na prezydenta Milei uprzedzał jednak elity i celebrytów, że zakończy okres przywilejów, tym bardziej że w drugiej połowie 2023 r. stopa ubóstwa przekraczała 43 proc., a płaca minimalna w Argentynie wynosi obecnie 156 tys. pesos (189 dol.) i można za nią kupić w sam raz tyle, aby nie umrzeć z głodu. Zdaniem ekspertów „nawet trzy minimalne pensje nie wystarczą na pokrycie wartości koszyka podstawowego".

TRADYCYJNA WOJNA CYFR I DIAGNOZ

Oczywiście tak samo jak w przypadku spolaryzowanej Polski wszelkie diagnozy na temat stanu państwa zależą od tego, czy czytamy argentyńską „Wyborczą" czy też – by tak rzec – przyzwoitą prasę z Buenos Aires. Niespodziewanie jednak nawet „Wyborcza" potrafi pisać prawdę o hierarchii aktów prawnych, lecz jedynie wtedy, gdy musi skopać wizerunek Mileia. Czytamy bowiem: „Konstytucja Argentyny przewiduje stanowienie prawa drogą dekretu prezydenta jedynie w nadzwyczajnych sytuacjach. Ostatnio ta możliwość była wykorzystana podczas pandemii COVID-19, gdy parlament nie mógł się zebrać. W przypadku dekreciska podobna przesłanka nie występuje; mimo to prezydent uważa, że obecny kryzys gospodarczy jest sytuacją nadzwyczajną, która mu na to pozwala". Skoro tamtejszy dekret to właściwie nasza uchwała, to trudno nie pogratulować mędrcom z Czerskiej dbałości o praworządność, tyle że w Argentynie. Finalnie jednak zdaniem autora artykułu Wojciecha Pitali: „pogrążona w społeczno-gospodarczym kryzysie i długach Argentyna niczym rozchybotana łódź idzie na dno wraz ze sternikiem Javierem Mileiem".

> Nowy prezydent Argentyny rozpoczął naprawę państwa już od progu swej siedziby prezydenckiej, dowiadując się, że na użytek swego sekretariatu ma 121 samochodów służbowych i 242 kierowców. Postanowił więc odchudzić administrację państwową od własnego podwórka

To ciekawe, bo doniesienia z prasy ekonomicznej Iberosfery temu przeczą. Podkreśla się wysiłek realizowania ambitnego planu stabilizacji, skupiający się na konsolidacji fiskalnej, odbudowie rezerw i korekcie nierównowagi gospodarczej. Nowa administracja osiągnęła porozumienie z Międzynarodowym Funduszem Walutowym (MFW) w sprawie wypłaty 4,7 mld dol. dla wsparcia „zdecydowanych wysiłków politycznych rządu pod przewodnictwem prezydenta". MFW pochwala szybkość i zdecydowanie, z jaką prezydent Milei i jego zespół ds. ekonomii podjęli działania, aby zaradzić odziedziczonej trudnej sytuacji. Argentyna, co nie dziwi, wciąż stoi przed ważnymi wyzwaniami makroekonomicznymi: brakiem rezerw, deficytem budżetowym i wysoką inflacją. „Kraj jest nadal pogrążony w procesie hiperinflacji z powodu błędnej polityki fiskalnej i pieniężnej, którą pozostawił kirchneryzm, ale ku zaskoczeniu wielu Argentyńczyków ceny niektórych produktów również spadają w wyniku prawa podaży i popytu, które dopiero teraz jest odkrywane jako nowość" – donosi „Libre Mercado".

Wyzwaniem dla Mileia będzie jednak utrzymanie poparcia wyborców. Z jednej strony zmiana rządu pozwoliła Argentyńczykom obudzić się wreszcie w nowej rzeczywistości, z drugiej dewaluacja i deregulacja spowodowały upłynnienie dochodów oraz podsyciły niecierpliwość.

POLITYKA ZAGRANICZNA

Tym, co dotyka nas nieco bardziej bezpośrednio, jest fakt, że na poziomie międzynarodowym Milei definitywnie zdystansował swoją ojczyznę od ekspansywnie rozwijającego się bloku BRICS, składającego się z Brazylii, Rosji, Indii, Chin i RPA. Po szczycie w Johannesburgu w sierpniu 2023 r. jego poprzednik Alberto Fernández rozpoczął proces przystąpienia do grupy wraz z m.in Egiptem, Iranem, Arabią Saudyjską i Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi. Milei odchodzi od tej osi krajów wrogich Zachodowi i zapowiada, że w jego polityce międzynarodowej priorytetem będą relacje z USA i Izraelem.

Oczywiście Kreml właśnie wyraził nadzieję, że rząd Mileia zmieni zdanie, a Pieskow pouczył, że tylko BRICS może być pożyteczny dla Argentyny. Według Ławrowa nie było definitywnej odmowy, a Argentyna zwyczajnie „nie jest jeszcze gotowa": „Myślę, że kiedy rząd prezydenta Mileia nabierze tempa, będzie miał więcej podstaw do zajęcia ostatecznego stanowiska" – ocenił Ławrow. Miejmy nadzieję, że zmasowane ataki na Mileia – nie tylko ponadnarodowych ośrodków władzy, lecz także ugodzonych w czułe miejsce szefów państw na forum w Davos – nie spowodują zmiany sojuszy. Prezydent Argentyny to wciąż buchająca temperamentem tajemnica, ale miejmy nadzieję, że będziemy ją poznawać z rosnącym podziwem.

eprasa.pl b1262a55b7

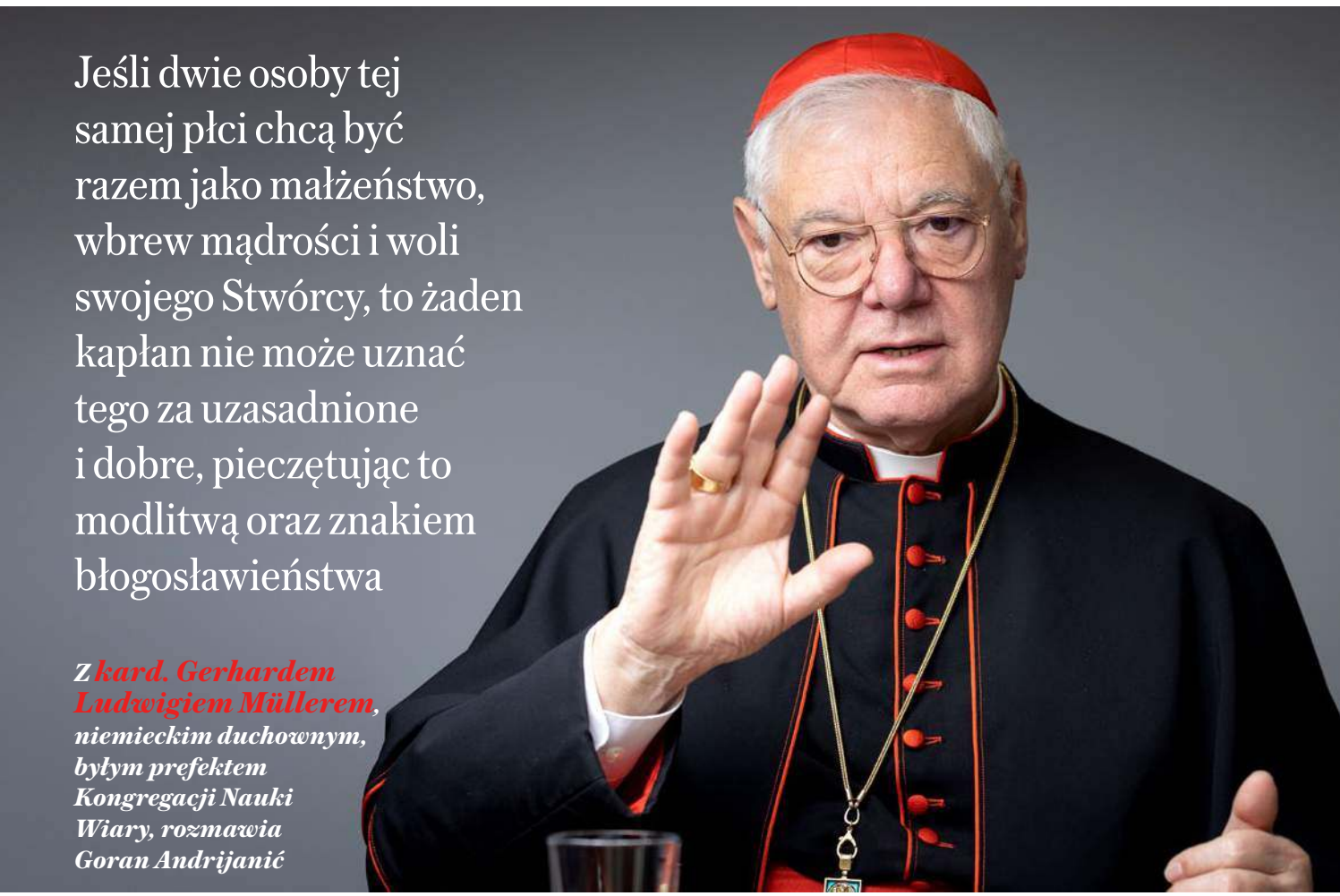

Jeśli dwie osoby tej samej płci chcą być razem jako małżeństwo, wbrew mądrości i woli swojego Stwórcy, to żaden kapłan nie może uznać tego za uzasadnione i dobre, pieczętując to modlitwą oraz znakiem błogosławieństwa

*Z **kard. Gerhardem Ludwigiem Müllerem**, niemieckim duchownym, byłym prefektem Kongregacji Nauki Wiary, rozmawia Goran Andrijanić*

Fot. Andrzej Wiktor

Posłuszeństwo, które katolicy są winni papieżowi, ma granice

W Kościele toczy się obecnie dyskusja na temat ogłoszonej przez Stolicę Apostolską deklaracji „Fiducia supplicans". Niektórzy twierdzą, że pozwala ona na błogosławieństwo par homoseksualnych, inni, że nie jest to prawda, a chodzi raczej o niesakramentalne błogosławieństwo poszczególnych osób, a nie par. Sam ksiądz stwierdził, że deklaracja jest „pełna kontradykcji". Co ksiądz miał na myśli?

Gerhard Müller: Od żadnej normalnej osoby nie można oczekiwać, że będzie się błąkała wśród sprzecznych zawiłości tego tekstu i jego wyjaśnień. Bóg błogosławi to, co stworzył i co służy naszemu zbawieniu

eprasa.pl b1262a55b7

w Chrystusie. Błogosławieństwo Boże w poranek stworzenia spoczywa na mężczyznach i kobietach, którzy dzielą się miłością Bożą we wspólnocie małżeńskiej i którym wolno przekazywać życie jako dar Boży następnym pokoleniom.

Jeśli dwie osoby tej samej płci chcą być razem jako małżeństwo, wbrew mądrości i woli swojego Stwórcy, to żaden kapłan nie może uznać tego za uzasadnione i dobre, pieczętując to modlitwą oraz znakiem błogosławieństwa. Opieka duszpasterska nad osobami odczuwającymi pociąg do tej samej płci polega raczej na dobrych radach i prośbie o pomoc łaski, aby pomimo wszelkich trudności móc prowadzić życie zgodne z wolą Bożą.

Aby wyjaśnić to księżom, nie był potrzebny dokument Dykasterii Nauki Wiary. Prefekt podkreśla, że nauczanie Kościoła w tej kwestii nie uległo zmianie i jednocześnie wzywa, aby posłuszni papieżowi stosowali całkowicie wymyśloną przez niego kategorię prywatnej modlitwy błogosławieństwa dla osób pozostających w nieregularnych związkach partnerskich, unikając jednocześnie wszelkich oznak aprobaty dla grzesznych związków. W końcu po protestach na całym świecie i on musi przyznać, że nie udało mu się rozwiązać kwadratury koła. I nie da się tego naprawić, wprowadzając wyśmiewany powszechnie limit czasowy 10–15 sek. dla tego quasi-hybrydowego błogosławieństwa.

W Polsce nakładem Wydawnictwa Esprit ukazała się niedawno książka zawierająca rozmowy księdza kardynała z włoską dziennikarką Francą Giansoldati pod tytułem „W dobrej wierze". Wydaje się, że tytuł wskazuje na to, że można krytykować niektóre posunięcia papieża i robić to z miłości do Kościoła oraz następcy św. Piotra. W samej książce wspomina ksiądz, że w części administracji watykańskiej panuje przekonanie, że każdy krytyk papieża jest jednocześnie jego największym wrogiem. Jak ksiądz to skomentuje?

Pytaniem nie jest, kto, kiedy i czy może krytykować papieża. Każdy, kto jest osobą publiczną, jest oceniany krytycznie i można to robić tylko w wolnych społeczeństwach, podczas gdy w systemach autokratycznych można za to trafić do więzienia lub zostać zabitym.

W Kościele katolickim chodzi o wierne przekazywanie prawdy objawienia i sakramentalne udzielanie zbawienia oraz misję i władzę następców apostołów dla tej misji. Po długiej historii teologicznej dotyczącej urzędu papieskiego i biskupiego, I i II Sobór Watykański dostarczyły dokładnego opisu natury i granic kompetencji biskupów, a zwłaszcza biskupa Rzymu, jako widzialnej zasady i fundamentu jedności Kościoła. Urząd Nauczycielski nie stoi ponad Słowem Bożym, lecz raczej mu służy w oparciu o Pismo Święte i tradycję apostolską (por. *Dei Verbum 10*). Posłuszeństwo wiary odnosi się wyłącznie do Boga.

> Wszystkim, którzy chcą uczynić z papieża swego rodzaju boską wyrocznię, polecam dzieło biskupa Sankt Pölten i sekretarza Soboru Watykańskiego I Josepha Fesslera „Prawdziwa i fałszywa nieomylność papieży" (Wiedeń 1871)

Istnieje także religijne posłuszeństwo Magisterium w zakresie prawidłowego przekazania i wolnej od błędów interpretacji Słowa Bożego w Jezusie Chrystusie. Posłuszeństwo, które my, katolicy, jesteśmy winni papieżowi i soborowi, ma jednak wewnętrzne i zewnętrzne granice. Kard. Manuel Fernaández i niektóre osoby bliskie papieżowi Franciszkowi stoją na stanowisku, że absolutne posłuszeństwo konkretnemu nauczaniu papieża jest konieczne, lecz takie posłuszeństwo wykracza poza dogmatyczną definicję Soboru Watykańskiego I i nie ma podstaw w wierze katolickiej. Wszystkim, którzy chcą uczynić z papieża swego rodzaju boską wyrocznię, polecam dzieło biskupa Sankt Pölten i sekretarza Soboru Watykańskiego I Josepha Fesslera „Prawdziwa i fałszywa nieomylność papieży" (Wiedeń 1871).

Następcy apostołów nie otrzymują żadnego nowego objawienia, a ich władza kościelna jest ograniczona przez Pismo Święte, Magisterium i Boskie pochodzenie Kościoła. Papież nie mógłby przenieść władzy biskupiej i kapłańskiej (przywództwa, nauczania i uświęcania) na osoby świeckie poza sakramentem święceń.

W książce wspomina ksiądz o ciekawym paradoksie. Obecny pontyfikat jest w dużej mierze nastawiony na decentralizację Kościoła. Sam synod o synodalności ma taki cel. Jednak równolegle z deklarowanym procesem decentralizacji toczy się proces centralizacji, podczas którego Stolica Apostolska podejmuje decyzje w obszarach, w których wcześniej nie miała bezpośredniej jurysdykcji. Jak ksiądz to wyjaśnia?

Zawsze krytykowałem mylącą kategorię decentralizacji, ponieważ zaciemnia ona istotę Kościoła poprzez dialektykę centrum i peryferii. Jeden Kościół katolicki składa się ze wspólnoty kościołów lokalnych (diecezji), na których czele stoją biskupi. Biskup Rzymu jest jednym z biskupów i jako następca św. Piotra ma dodatkowe zadanie reprezentowania i gwarantowania jedności biskupów oraz wszystkich wierzących w prawdę Chrystusa. Zawsze jednak istniały przeciwstawne siły: ograniczanie pluralizmu na rzecz absolutnej jedności (ultramontanizm, kurializm) lub porzucenie jedności na rzecz niezintegrowanego pluralizmu (episkopalizm, koncyliaryzm, gallikanizm, febronianizm).

Pogląd nieteologiczny fałszywie prezentuje życie Kościoła jako walkę o udział w politycznie pojętej władzy. W efekcie tego niektórzy marzą o synodalnym/oddolnym Kościele demokratycznym, w którym władzę sprawują

eprasa.pl b1262a55b7

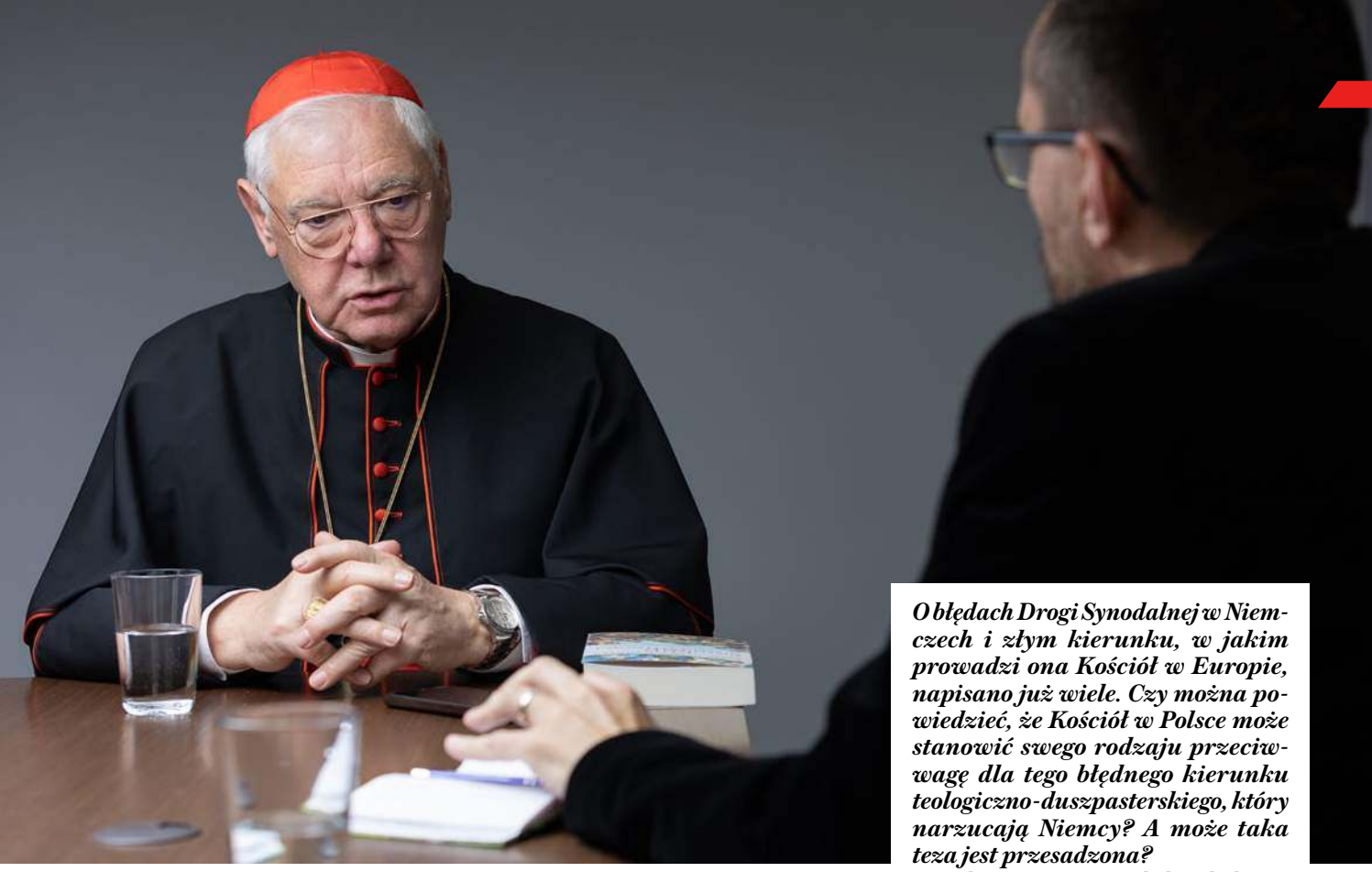

Fot. Andrzej Wiktor

świeccy. Kościele, który następnie wymagałby silnej ręki, autokratycznie powstrzymującej te siły odśrodkowe. Zasadniczy jest brak zrozumienia natury Kościoła jako ludu Bożego, Ciała Chrystusowego, świątyni Ducha Świętego i jego misji, która służy nadprzyrodzonemu zbawieniu człowieka.

„Zadaniem następnego konklawe będzie przywrócenie Kościołowi jego prawdziwej natury, przedłożenie wartości nad wpływy polityczne" – pisał ksiądz. Jak zwrócić Kościołowi jego naturę i jak się to stało, że ją zgubił?

Kościół nie może zatracić swojej natury, lecz jego misja może zostać przyćmiona fałszywymi ideologiami (np. w czasach feudalizmu biskupi mylili apostolski charakter swojego urzędu duszpasterskiego ze swoją socjologiczno-polityczną pozycją władzy na szkodę Kościoła). Lektura pierwszego rozdziału „Lumen gentium", konstytucji Soboru Watykańskiego II, mogłaby uwolnić nas od perspektywy doczesnej i utwierdzić w poglądzie, że Kościół opiera się na tajemnicy Boskiego planu zbawienia i służy mu, a nie powinien zostać włączany do doczesnych doktryn zbawienia i programów ulepszenia świata.

W książce pisze ksiądz także o błędach dyplomacji watykańskiej w związku z wojną na Ukrainie i relacji wobec reżimu komunistycznego w Chinach. Wielu analityków twierdzi, że jesteśmy obecnie świadkami odnawiania się ostpolitik Watykanu z czasów zimnej wojny ze wszystkimi jej wadami. Czy ksiądz się z tym zgadza?

Nie jestem dyplomatą kościelnym, lecz wystarczająco znam historię, aby ostrzegać przed kontaktami z ateistycznymi mocarstwami. To prawda, że w reżimach totalitarnych trzeba walczyć o prawa represjonowanego Kościoła lokalnego i w ogóle o prawa człowieka, ale ceną wolności Kościoła nie może być podporządkowanie Ewangelii jakiejkolwiek doktrynie państwowej.

Pierwsi chrześcijanie mówili, że jesteśmy posłuszni cesarzowi w sprawach doczesnych i modlimy się o pomyślność państwa, ale nie czcimy go jako Boga i absolutnego władcy. Wolelibyśmy umrzeć, niż zdradzić naszego prawdziwego Zbawiciela Jezusa Chrystusa na rzecz światowej potęgi, która z pewnością nie może nas uratować od śmierci.

O błędach Drogi Synodalnej w Niemczech i złym kierunku, w jakim prowadzi ona Kościół w Europie, napisano już wiele. Czy można powiedzieć, że Kościół w Polsce może stanowić swego rodzaju przeciwwagę dla tego błędnego kierunku teologiczno-duszpasterskiego, który narzucają Niemcy? A może taka teza jest przesadzona?

Punkt wyjścia Kościoła katolickiego w Polsce jest prostszy, ponieważ Polska nie jest krajem podzielonym wyznaniowo jak Niemcy od 500 lat (i społeczeństwem podzielonym kulturowo oraz mentalnie). Dlatego Polska ma ogromne znaczenie dla Kościoła katolickiego w Europie i w żadnym wypadku nie powinna wykazywać kompleksu niższości w porównaniu z Niemcami, kompleksu karmionego doświadczeniami i urazami historycznymi. W Polsce jest dobra teologia, dobre życie wspólnotowe i mimo kryzysów wciąż jest więcej młodych mężczyzn zainteresowanych kapłaństwem oraz mężczyzn i kobiet, którzy czują się powołani do życia zakonnego. Polska powinna być także liderem w duszpasterstwie małżeństwa i rodziny.

Chciałbym więc, żeby i wasz kraj mógł korygować pewne niepożądane wydarzenia polityczne i kościelne w Niemczech. Polska przez 200 lat walczyła o swoją tożsamość narodową i wolność, ponosząc największe ofiary, bo wiara katolicka żyła w sercach ludzi i dawała im siłę we wszelkich próbach. Św. papież Jan Paweł II jest wzorem do naśladowania na naszej wspólnej drodze do Europy, która powraca do swoich chrześcijańskich korzeni.

eprasa.pl b1262a55b7

Czas umysłowego regresu

JAN PARYS

Epoka, w której żyjemy, jest wyjątkowa. Wszyscy wiemy, że czas biegnie bardzo szybko, a świat i Polska zmieniają się na naszych oczach. Czasem warto o chwilę refleksji nad tym, czego jesteśmy świadkami

Ostatnio „ministerka" edukacji zapowiedziała, że zniesie prace domowe w szkołach podstawowych. Ten pomysł natychmiast poparł premier. Rozumiem, że skoro odrabianie lekcji było za czasów PiS, to każdy kto zmienia rzeczywistość pisowską, daje dowód na to, że jest mądry, postępowy i nowoczesny. Niestety nie usłyszeliśmy przy tej okazji rzeczowych argumentów, które stoją za taką decyzją. Tzn. usłyszeliśmy argumenty pozamerytoryczne. Jak wiadomo, już dziś uczniowie spędzają coraz więcej czasu, czytając różnej wartości treści w internecie. Gdy dzięki decyzji pani „ministerki" będą mieli jeszcze więcej wolnego czasu, będą pod jeszcze większym wpływem mediów społecznościowych. Może warto się zastanowić, czy to powiększy ich wiedzę i zdolności.

Mam wrażenie, że pani „ministerka" od edukacji i pan premier ignorują dorobek nowoczesnej psychologii i pedagogiki. Idzie mi konkretnie o dorobek Jeana Piageta. Jego badania dowiodły, że dzieci w wieku 7–11 lat kształtują swe zdolności myślenia na podstawie interakcji z otoczeniem i aktywności umysłowej. W tym czasie formują swoje zdolności poznawcze, umiejętność myślenia, klasyfikowania i hierarchii zjawisk, operacji przyczynowo-skutkowych, rozumowania indukcyjnego. Uczenie to rezultat bodźców, lecz aby było skuteczne, ważne, by nie były one bezwartościowe. Czy pani „ministerka" uważa, że im mniej pracy, tym więcej wiedzy i inteligencji? Czy przedstawicielka lewicy wierzy, że wiedza pochodzi z dziedziczenia? A może uważa, że jest nam dana przez siły nadprzyrodzone? Ja skłaniam się do poglądu, że wiedza i inteligencja biorą się z pracy. Im tej pracy mniej, tym dzieci będą słabiej rozwinięte umysłowo. Moje poglądy nie są prywatnymi i subiektywnymi przekonaniami. Opieram się na dorobku naukowym Piageta, który nie został dotychczas podważony metodami naukowymi. Ten dorobek to nie jest byle jaka teoria. To wynik badań eksperymentalnych, czyli ma solidną podbudowę empiryczną. I dlatego warto go znać i szanować, podejmując decyzje o systemie nauczania w szkołach. I oto panią „ministerkę" uprzejmie proszę.

* * *

Ostatnio zaobserwowałem zjawisko, które można opisać jako nowy kierunek naukowy w dziedzinie prawa. Można go nazwać „uchwalizmem". Ta idea polega na tym, że odrzucamy uznaną dotychczas w naukach prawnych koncepcję źródeł i hierarchii prawa. Teraz przyjmujemy, że uchwały Sejmu są waż-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl b1262a55b7

niejsze niż ustawy, a gdy to wygodne, mogą także unieważnić postanowienia konstytucji.

Poparcie środowisk prawniczych kilku wiodących uczelni dla nowego kierunku myślenia o państwie nie jest wcale rezultatem służalczości profesorów wobec władzy. Absolutnie tak nie myślę. Profesorom prawa idzie tylko o to, by jak najszybciej naprawić błędy PiS, które można by porównać do odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego lub nawet faszyzmu. A jak wiadomo, w takich przypadkach cel uświęca środki. W ten sposób nasz kraj włącza się do procesu unowocześniana nauk prawnych, zapoczątkowanego przez elitę Unii Europejskiej. Od paru lat bowiem w Brukseli przyjęto, że traktat o Unii Europejskiej można interpretować dowolnie, czyli tak jak w danej chwili potrzeba i że można dedukować z niego to, czego tam nie ma. Premier jako były wysoki urzędnik Unii Europejskiej stara się te nowe podejście do prawa wprowadzić w Polsce. Zatem wcale nie idzie o bezprawne poszerzanie władzy rządu.

Trochę jestem jednak zdziwiony, że znalazło się tak wielu profesorów, którzy wspierają ten nowy kierunek w stosowaniu prawa. Oczywiście nie mam nic przeciwko temu, by panie profesor Łętowska i Gersdorf, panowie profesorowie Safian, Rzepliński, Strzembosz czy Chmaj wspierali rząd. Jak każdy obywatel, także profesorowie mogą angażować się politycznie. Lecz gdy rezygnują z rygorów myślenia naukowego, kiedy zaczynają ignorować dorobek swej dyscypliny, niech powstrzymają się od używana tytułu profesorskiego, bo jest on związany z dyscypliną naukową, a nie z ich działalnością polityczną.

Dziś doszło bowiem w naukach prawnych do rzeczy niesłychanej. Przedstawiciele tej dyscypliny występują z opiniami całkowicie sprzecznymi. Czegoś takiego nie ma na taką skalę w żadnej innej dziedzinie. Mamy tu do czynienia z uzależnieniem nauki od bieżącej polityki. To oczywiście nic nowego. Znamy takie przypadki z dawnych lat. Dziś wspominamy je jako lata niechlubne. Bo czasy, kiedy myślenie naukowe było zastępowane przez ideologię, nie przyniosły nauce żadnych osiągnięć. Nie będę przypominał nazwisk profesorów prawa, którzy wydawali wyroki śmierci. Kazus Łysenki jest przykładem choroby środowiska naukowego, a nie świadectwem osiągnięć. Czy naprawdę tak wiele różni uchwałę Sejmu, która ignoruje ustawy, od konferencji w Otwocku w 1948 r., kiedy rządząca partia decydowała, które badania filozoficzne są właściwe i które kierunki badań należy rozwijać? Kiedyś to marksizm miał być obowiązującym sposobem myślenia. Dziś sejmowa większość narzuca nauce prawa wyższość uchwał sejmowych nad ustawami, bo to uchwały mają być podstawą politycznego działania. Warto przypomnieć, że cechą dyktatury jest to, że prawo nie jest szanowane i stanowi narzędzie ucisku. W demokracji prawo ma zapewniać podejmowanie decyzji na drodze negocjacji i perswazji. Na straży tych demokratycznych procedur stoi właśnie koncepcja źródeł i hierarchii prawa. Kto do niej się nie stosuje, zaprzecza podstawom demokracji. To są zasady równie ważne, jak trójpodział władzy i swoboda kształtowania opinii publicznej.

* * *

Nie chcę, by ktoś pomyślał, że piszę to, co piszę, bo chcę po prostu walić w rząd. Tak się po prostu składa, że ostatnie miesiące przyniosły wydarzenia, o których trudno milczeć. W 2023 r. byliśmy świadkami, jak politycy oraz „polityczki" z poprzedniego rządu nadużywali swej pozycji i wkraczali w wolność gospodarczą, która jest przynależna przedsiębiorstwom w naszym kraju. Uznali bowiem, że są mądrzejsi niż inżynierowie i menedżerowie. Dzięki temu odkryli spisek przeciwko bezpieczeństwu kraju. Polegał on na tym, że prawodawca w USA zmienił prawo, dopuszczając kredytowanie technologii nuklearnych za granicą, np. w Polsce. Poza tym władze USA, udzielając kredytu preferencyjnego na 4 mld dol., działają na szkodę RP, bo w ten sposób ktoś obcy może przechwycić kontrolę na naszą energetyką. W związku z tym decyzja spółki giełdowej, która chce budować małe reaktory nuklearne w Polsce w oparciu o amerykańską technologię, musi być zablokowana. Okazało się, że wola kilku polityków przez wiele miesięcy była ważniejsza niż zdanie ekspertów, np. stanowisko Państwowej Agencji Atomistyki, która akceptowała wybór tej technologii.

Jest to dowód na kolejne nadużywanie pozycji politycznej przy podejmowaniu decyzji, w tym przypadku idzie o decyzje o charakterze technicznym, finansowym i gospodarczym. A te decyzje, po pierwsze, powinny mieć charakter merytoryczny, a pod drugie,

eprasa.pl/61262a55b7

powinny być podejmowane przez podmioty uprawnione. W tym przypadku jest to spółka giełdowa, która ponosi ryzyko. Nie jest ono tak wielkie, skoro małe reaktory atomowe od lat istnieją i są wykorzystywane jako napęd dla lotniskowców oraz okrętów podwodnych.

* * *

Przykładów zachowań nieracjonalnych jest niestety ostatnio wiele. Myślałem, że w Polsce już nie wrócą metody opisywane przez Orwella, czyli czasy cenzury. Tymczasem nowe władze TVP nie tylko zmieniły profil polityczny telewizji, ignorując zainteresowania milionów widzów. Rozpoczęły także akcję cenzurowania i kasowania materiałów, które telewizja wytworzyła przez ostatnie osiem lat. Ktoś widać ma nadzieję, że w ten sposób wykasuje niewygodne treści ze świadomości społecznej.

To przypomina akcję, która była realizowana po II wojnie światowej przez władze komunistyczne. Wówczas nie było telewizji, lecz przeprowadzono operacje wycofywania z bibliotek książek tzw. autorów burżuazyjnych. Wkrótce potem zaczęto usuwać z uczelni profesorów, którzy reprezentowali poglądy sprzeczne z marksizmem, czyli obwiązującą doktryną. Autorom operacji prowadzonej dziś przez władze telewizji pragnę przypomnieć, że niszczenie dóbr kultury i zasobów archiwalnych jest karalne w świetle obecnie obowiązującego prawa. Cenzura w telewizji objęła także publicystykę historyczną, a w resorcie kultury również malarstwo współczesne.

* * *

Styczeń 2024 r. był bogaty w ciekawe wydarzenia także w resorcie obrony. Np. minister obrony najpierw zaprosił kilku generałów na swą konferencję, a potem ich wyprosił. Podobno chciał w ten sposób pokazać, że nie wykorzystuje ich do swoich działań politycznych. Lecz było to zachowanie wyjątkowo niegrzeczne. Następnie innych oficerów zaangażował do zespołu o charakterze czysto politycznym, tj. takiego, który ma rozliczyć działalność tzw. komisji Macierewicza. Jednym słowem, minister obrony najpierw ogłasza apolityczność wojska, potem powołuje złożone z oficerów ciało, które ma zadanie czysto polityczne.

Mam wrażenie, że ów minister nie rozumie, co robi. Wiadomo jedno – nie koncentruje się na badaniu przyczyn katastrofy smoleńskiej. To jest poza jego zainteresowaniem. Rosyjska wersja raportu o katastrofie całkowicie mu wystarcza. Natomiast będzie rozliczał tych, którzy tę katastrofę badali. Swym postępowaniem minister obrony daje do zrozumienia, że raport rosyjski, zwany raportem Anodiny, i jego polskie wersje pozwalają zamknąć sprawę. Nic więcej badać nie należy, bo wszystko jest jasne. Rozumiem, że w ten sposób minister zapewnia sobie otwarte drzwi do ponownego resetu relacji z Rosją.

Opinia publiczna dowiedziała się ostatnio, że minister spraw wewnętrznych wprowadził do pałacu prezydenckiego policję, by tam dokonać aresztowania dwóch posłów. Minister komentował później to wydarzenie, podkreślając z dumą, że policja zrealizowała w sposób perfekcyjny zlecone przez niego zadanie. Osobom, które go krytykowały za takie postępowanie, tłumaczył, że prawo mu czegoś takiego nie zakazuje. Mam wrażenie, panie ministrze, że jest wiele kwestii, których prawo nie zakazuje lub nie nakazuje. Np. żadne prawo nie nakazuje mycia zębów. Mam nadzieję, że mimo braku nakazu pan minister zęby myje. Zatem, panie ministrze, jest wiele zasad, które nie wynikają z prawa, a których ludzie na poziomie po prostu przestrzegają.

* * *

Opisane tu przypadki świadczą moim zdaniem o jednym. Mamy regres umysłowy. Coraz powszechniejsze jest odchodzenie od myślenia racjonalnego. Czynią tak coraz częściej nie tylko politycy, lecz także profesorowie nauk prawnych. Dziś ten, kto protestuje przeciwko takiemu postępowaniu, jest traktowany jak dinozaur, a dinozaury, jak wiemy, wyginęły. Ten, kto wzywa do tego, by argumentować prezentowane poglądy, jest ośmieszany. Ten, kto powołuje się na klasyczną definicję prawdy, jest uważany za zacofanego reakcjonistę. Bo dziś każdy może głosić nie tylko swoje poglądy, lecz także domagać się, by inni uznali je za prawdę.

Cechą naszego czasu jest to, że w każdej sprawie mamy mnóstwo opinii. I trzeba odwagi, by napisać, że tysiąc opinii nie podważa obowiązującej ustawy lub dorobku nauki. Powstała więc sytuacja, kiedy ten, który domaga się argumentów i racjonalnego myślenia, jest traktowany jako ktoś, kto stoi na drodze postępu i demokracji. Niestety mało kogo dziś obchodzi autorytet Arystotelesa i jego klasyczna definicja prawdy. Kiedyś polityka była wyborem między większym a mniejszym dobrem. Dziś, kiedy zrezygnowano z myślenia, jakiego uczył Arystoteles, polityka stała się wyborem między większym a mniejszym złem. Dążenie obecnej władzy do podporządkowania sobie niezależnych sądów nie zagwarantuje rozstrzygnięcia sporów politycznych w sposób korzystny dla władzy. Bo to nie sędziowie, lecz elektorat podczas wyborów rozstrzyga polityczne spory w sposób ostateczny.

Cechą naszego czasu jest to, że w każdej sprawie mamy mnóstwo opinii. I trzeba odwagi, by napisać, że tysiąc opinii nie podważa obowiązującej ustawy lub dorobku nauki. Powstała więc sytuacja, kiedy ten, który domaga się argumentów i racjonalnego myślenia, jest traktowany jako ktoś, kto stoi na drodze postępu i demokracji

eprasa.pl b1262a55b7

Chłopcy nie przepraszają

„Słowo pacana" zobowiązuje tylko wobec swoich, których trudno odróżnić od brutalnej grupy przestępczej. Nie dotyczy jednak „frajerów" z najniższego szczebla drabiny społecznej. Oto putinowska Rosja. Na Ukrainie nie mają wątpliwości, że rosyjski serial „Słowo pacana. Krew na asfalcie" lansuje estetykę i propagandę kraju agresora

MACIEJ WALASZCZYK

Pod koniec lat 90. na ekrany rosyjskich kin wszedł „Brat" Aleksieja Bałabanowa. Opowiadał o perypetiach dwóch braci – Daniły, który właśnie wraca z wojny w Czeczeni i Wiktora, nieudolnie robiącego przestępczą „karierę" w Petersburgu. Obraz rozpadającego się państwa, pogrążonego w kryzysie społeczeństwa, kulturowych zmian, przemocy i chaosu, zilustrowany muzyką z tego okresu, szczególnie trafił w gusta młodych Rosjan. Tak bardzo, że szybko nakręcono jego drugą część, rozgrywającą się na „wrogim terenie" – w Chicago. Wbrew intencjom twórcy film stał się zapowiedzią nadchodzącego putinizmu, końca smuty, odzyskania Rosji przez znających życie „silnych ludzi", którym reguły wyznacza własny kodeks spoza instytucji państwa prawa i demokracji. Takich jak filmowi bracia Bagrow.

Jego fabułę przesiąkają dziesiątki zaszytych obrazów, kulturowych kodów, w których rozpoznawali się Rosjanie, tęskniący za sowieckimi czasami, patriotyzmem („Rosjanie się nie poddają"), upadłym mocarstwem, ale też sprawiedliwością i porządkiem. Film akcentował również poczucie odrębności od Zachodu, uczulał na amerykanizację kultury. „Gdzie ta twoja ojczyzna, synku? Gorbaczow sprzedał ją całą Amerykańcom, by się im przypodobać. A teraz twoja ojczyzna dwie wojny i Krym przesrała!" – przekonuje Daniłę w jednej ze scen taksówkarz emigrant. Znów inna mówi więcej niż dziesiątki tekstów na temat Ukraińców i Rosjan. Zagubiony na

Fot. Shutterstock, materiały prasowe

eprasa.pl b12626

lotnisku wśród wylewającego się tłumu pasażerów Wiktor natychmiast rozpoznaje napotkaną przypadkiem słowiańską buźkę, więc bez namysłu pyta: „Słuchaj, bracie, jak dostanę się do miasta? – Taksówką – otrzymuje szybką odpowiedź, ale po ukraińsku – Moskal nie mój ziomek!" Wiktor szybko się odszczekuje, krzycząc: „Banderowiec?!", co jeszcze niedawno na streamingu Netflixa tłumaczono na angielski jako „ukraiński nazistowski kolaborant". Film jest popularny do dziś, kilka lat temu obchodzono jubileusz premiery, organizowano koncerty.

ROSYJSKA SOFT POWER

Od listopada ub.r. jeszcze większym zainteresowaniem Rosjan, a także Białorusinów czy Ukraińców, szczególnie młodego pokolenia, cieszy się serial „Słowo chłopca. Krew na asfalcie". Oparty na książce Roberta Garajewa „Słowo pacana. Kryminalny Tatarstan 1970–2010" opowiada historię półkryminalnych grup nastolatków z końca ZSRS. Sam Garajew opisał świat, który dobrze poznał, będąc członkiem grupy „Niza". Serial w reżyserii Żory Kryżownikowa (właściwie to Andriej Pierszyn), dostępny zarówno legalnie, jak i w pirackich wersjach, ma w sieci miliony wyświetleń. Niedawno został pokazany w telewizji NTV i jest bardzo gorąco komentowany oraz interpretowany. Podobno ma powstać jego kontynuacja. Choć zbiera skrajnie odmienne recenzje, to większość krytyków ocenia go pozytywnie.

Moim zdaniem to bardzo dobrze pomyślana produkcja, o wysokiej jakości artystycznej, z dobrze skonstruowaną fabułą, zróżnicowanymi postaciami, zagranymi przez aktorów młodego pokolenia. Imponuje też wyczuciem, z jakim udało się zrekonstruować realia tamtych czasów – kurtki, czapki, sprzęty domowego użytku oraz wszelkie dekoracje sowieckiego dziadostwa nadają mu autentyczności. I tutaj jest kolejny element układanki. Zrujnowane, drewniane domki, zapyziałe kamienice i niedocieplone chruszczowki z wielkiej płyty, z koszmarnymi mieszkaniami jak stały, tak stoją, bo na rosyjskiej prowincji niewiele się zmieniło.

Także Ukraińcy patrząc na ten film, rozpoznają w nim siebie, jak wskazują ukraińscy komentatorzy – takie samo dzieciństwo, wspólny kraj, jeden naród, podobne życie. A pacany, a więc chłopcy ziomale z Kazania, przypominają jakoś stojących dziś po drugiej strony frontu Ukraińców.

Rosyjskojęzyczna widownia w krajach bałtyckich lub Kazachstanie również znalazła się pod wpływem serialu, choć nie wszędzie, bo kwestia języka stanowi tutaj jedną z ważnych barykad kulturowych, które po 30 latach podzieliły kraje dawnego już imperium. Dlatego np. w Gruzji cieszą się, że ich młodzież nie zna rosyjskiego, co ma zwiększać ich odporność na kulturową intoksykację, o którą jest oskarżany film. Bo zawartą w serialu narrację uznano za niebezpieczną szczególnie dla rosyjskojęzycznych mieszkańców Ukrainy, natychmiast rozpoznając w niej oddziaływanie moskiewskiej soft power.

Film wyprodukowała Narodowa Grupa Medialna (NMG), kojarzona z bliskim Putinowi miliarderem Jurijem Kowalczukiem, przy finansowym wsparciu Instytutu Rozwoju Internetu (IRI), w którym są rozdzielane pieniądze na budowanie „treści patriotycznych" w kulturze. A odpowiada za nią Fiodor Bondarczuk, twórca m.in. „9. kompanii" o wojnie w Afganistanie i zarazem członek partii Jedna Rosja.

ZAPOWIEDŹ CZASÓW SMUTY

Serial pokazuje Kazań 1989 r., jedno z miast umierającego Związku Sowieckiego w Tatarstanie. Dziś jego włodarze, chcąc się odciąć od bandyckiej przeszłości, mieli nie zezwolić ekipie filmowej na zdjęcia w oryginalnych plenerach. Dlatego obrazy obskurnych sowieckich blokowisk, szeregów garaży i zrujnowanej infrastruktury przemysłowej nakręcono w Jarosławiu. O tym, że film może mieć negatywne konsekwencje, przestrzegał również Rustam Minnichanow, prezydent Tatarstanu, a eksperci dostrzegli m.in. bezpośredni związek między serialem a gloryfikacją grupy Wagnera, której integralną częścią byli przestępcy.

Koniec lat 80. to czasy gwałtownego wzrostu przestępczości, w których państwo, potrafiące u schyłku swej władzy umiejętnie terroryzować nie tylko własnych obywateli, lecz także obce kraje, nie potrafiło zaprowadzić w mieście choćby względnego porządku. Dotyczyło to nie tylko Kazania, bowiem prawie wszystkie sowieckie miasta nieoczekiwanie zostały podzielone na strefy wpływów. Kontrolowali je nastolatkowie zrzeszeni w minigangach, bronili „swoich" i bili „obcych", pięściami wybijając swoje miejsce „na asfalcie". Budując w ten sposób alternatywę dla fałszywej sowieckiej ideologii epoki Breżniewa, Andropowa i Gorbaczowa, czego pokazanie było chyba jednym z głównych zamiarów twórców.

Serial opowiada o „Universamie", jednej z takich grup, działających w tym czasie w Kazaniu. Główny bohater, uczący się gry na fortepianie inteligentny chłopak Andrei Wasiliew (Leon Kemstacz), zostaje zmuszony do wstąpienia do gangu przez Marata Suworowa (Ruził Minekajew) i z „czuszpana" (frajera) zmienia się w „pacana" (chłopaka). Pojawienie się wśród ziomków powracającego z Afganistanu Wowy Adidasa Suworowa (Iwan Jankowski) eskaluje wojnę o wpływy z innymi grupami. Pojawiają się ofiary śmiertelne, a nieszczęścia, które mnożą wokół siebie członkowie gangów, natychmiast jak zaraza przenoszą się do ich własnych domów, rodzin i na niewinnych ludzi. Ściągają na nich milicję, załamania psychiczne, poczucie strachu i śmierć, czego najbardziej wymownym przykładem jest samobójstwo kilkunastoletniej Aigul, której delikatna uroda zdaje się być uosobieniem niewinności i łagodności, startej w pył przez rozkręconą wokół spiralę przemocy. Wciągnięta w życie grupy zostaje zgwałcona przez jednego z konkurentów, a potem zaszczuta przez swoich jako „nieczysta". Bowiem zgodnie z kryminalnym kodeksem, takiej osobie nie podaje się ręki, nie rozmawia z nią i wydala poza społeczność.

Rzeczywiście, szczególnie pierwsze odcinki robią na widzu duże wrażenie. Film od pierwszych minut wciąga, a wartka akcja, wypełniona nieustannymi bójkami, przekleństwami i agresją wprawia widza w huśtawkę skrajnych emocji, odpowiednio wzmacnianych muzyką. Szczególnie za sprawą utworu „Pyala" wykonywanego przez Aigel Gaisinę, tatarską wokalistkę i poetkę, która w pulsowaniu muzyki trance mantruje tatarski recytatyw. Powtarzane w refrenie słowa „oko w oko", „ręka w rękę" wręcz wprawiają widza w trans, stając się jednym z najbardziej popularnych utworów w serwisach streamingowych. W serwisie

eprasa.pl b1262a55b7

Apple Music ścieżka dźwiękowa serialu znalazła się na szczycie rankingu najpopularniejszych utworów na Ukrainie. Poza nowościami film eksploatuje także utrwalone w powszechnej świadomości hity radzieckiej dyskoteki z tych lat, m.in. Łaskowyj Maj (tych od przeboju „Biełyje rozy"), Miraż, Forum, a także piosenki formacji Kino, Igora Talkowa, Stasia Namina czy współczesnego, popularnego w Rosji rapera Basty.

Fot. Materiały prasowe

CZUSZPANY I PACANY

Serial masowo oglądają nastolatkowie na Ukrainie, choć tamtejsze Ministerstwo Kultury zaapelowało do rodziców, by kontrolować, czy nie robią tego ich dzieci. Być może zadziałał mechanizm: zabraniasz, czyli uatrakcyjniasz zakazany owoc, co wzbudza zainteresowanie, przekorny bunt, a na końcu utożsamienie się z bohaterami. Zwrócono uwagę, że film bezrefleksyjnie szerzy kult przemocy, jest pochwałą przestępczości ubieranej w romantyczne kostiumy. Nie chodzi jednak wyłącznie o sceny okrucieństwa, wulgaryzmy, którymi od lat zalana jest także kultura popularna Zachodu, choćby wszechobecny hip-hop oraz filmowe produkcje z Hollywood. Chodzi o estetykę charakterystyczną dla kraju agresora i wrogą propagandę.

Choćby wtedy, gdy w nazwie zespołu Kiss jeden z bohaterów doszukuje się symboliki SS (nawiązanie do ukraińskich „nazistów") i namawia do grania własnej muzyki, a nie tej z Ameryki. W innym miejscu manifestuje poczucie dumy z tego, że obchodzi urodziny w tym samym dniu, co Lenin, „założyciel Związku Radzieckiego". Gdy powracający z wojny Wowa Adidas widzi u swojego brata bejsbolówkę z napisem „USA", każe mu ją zdjąć, wyjaśniając, że „americos" – jak pogardliwe określa Amerykanów – dostarczali rakiety Stinger walczącym z sowieckim najazdem afgańskim mudżahedinom. A nawet uzasadnia konieczność kontynuacji tej wojny (na ramieniu ma wytatuowany symbol Demokratycznej Republiki Afganistanu) obroną „naszych ludzi". Rozpoznano w tym echa słów Putina, który w ten sam sposób uzasadniał inwazję na Ukrainę: „To są nasi ludzie. Czują się częścią naszego narodu."

Instytucje edukacyjne uczulają też rodziców, aby zwracali uwagę na to, czy młodzież zaczyna używać wyrażeń odwołujących się do lansowanego w serialu więzienno-kryminalnego żargonu. Powiedzonka takie jak „pacan", „czuszpan", „skorupa", „w biznesie", „chłopaki nie przepraszają", „jesteś teraz chłopcem, teraz jesteś z ulicy" porządkują w tym świecie wszystko. „Czuszpan" to normalny, zwykły człowiek, niezwiązany ze światem przestępczym, po prostu frajer. Można go okraść, nie podaje mu się ręki, i nie udziela pomocy, nawet, gdy biją go chłopcy z wrogiej grupy. Pojęcia takie jak „skorupa", „super" i „seniorzy" – porządkują hierarchię gangów, a „autor", skrót od słowa „autorytet", oznacza osobę bardzo ważną. Do grupy można było się „przyszyć" (dołączyć) lub z niej „odszyć" i przejść na emeryturę. Można było trafić też do kategorii „wygaszonych" – obejmowała ona chłopców, którzy zgłosili się na policję (policyjny konfident – „koza") lub ukorzyli się przed obcymi. „Szczurem" stawał się ten, który okrada swoich, a więc robił coś, co było „zicher", a więc złe i zaciągające na siebie winę. No i najważniejsze: „Chłopcy nie przepraszają". Można się przyznać do błędu, naprawić szkodę, ale nigdy nie przepraszać. „Słowo pacana" to tytułowe „słowo chłopca" ziomka, gościa – właściwie przysięga, słowo, które można dać wyłącznie innemu chłopakowi. Bezapelacyjne, nieodwołalne, bo „słowo chłopaka jest tylko dla chłopaków".

> Ten rosyjski serial masowo oglądają nastolatkowie na Ukrainie, choć tamtejsze Ministerstwo Kultury zaapelowało do rodziców, by kontrolować, czy nie robią tego ich dzieci

I to według znawców jest właśnie Putin i jego Rosja. Słowo obowiązuje tylko wobec członków własnej korporacji, ale nie wobec czuszpanów frajerów, ulokowanych na najniższym szczeblu w relacjach z władzami z Kremla, które trudno odróżnić od grupy przestępczej. W tym filmie nie ma słowa o podziałach narodowościowych, wojnie na Ukrainie, „nazistach", a tym bardziej o Putinie i ogólnie o polityce. Choć jest on przesiąknięty polityką, z dyskretnie skonstruowanym przekazem przypominającym wspominane już dzieło Bałabanowa. O ile „Brat" był jednak podszyty nie przez wszystkich rozumianą ironią, o tyle tutaj wszystko jest bardzo dosłowne. Chodzi o romantyzację bandytyzmu, którego dziś we współczesnej Rosji uosobieniem jest w istocie sam Putin i wywodząca się z Petersburga grupa, która wyniosła go do władzy. Jest jednym z „pacanów", najwyższym rangą „autorem" i „seniorem", który udowodnił, że to silniejszy ma zawsze rację. A za wyrządzone zło nie będzie nikogo przepraszał. Ten świat zapełniają także ojcowie, matki, babcie, mężczyźni i kobiety, cieszący się autorytetem nauczyciele, ale nie ma w nim miejsca dla homoseksualizmu, LGTB+, gender, równouprawnienia, feminizmu, „mowy nienawiści" i znerowicowanych nastolatek, czujących się ofiarami katastrofy klimatycznej. Z tym akurat musimy się jednak zmierzyć.

eprasa.pl b1262a55b7

Jezus na ławie oskarżonych

Książka „Chrześcijaństwo. Amoralna religia" więcej niż o Chrystusie i religii mówi nam o uprzedzeniach, ignorancji i niewiedzy jej autorów

GRZEGORZ GÓRNY

Wydawnictwo „Prószyński i S-ka" ogłosiło niedawno, że stało się obiektem zmasowanego ataku w sieci. Na skrzynkę mailową oficyny wydawniczej zaczęły nadchodzić tysiące listów, uniemożliwiając normalną pracę. Były to petycje zawierające podpisy osób protestujących przeciw książce „Chrześcijaństwo. Amoralna religia" i domagających się wycofania jej ze sprzedaży.

Akcja stanowiła odpowiedź na wezwanie Fundacji Instytutu Edukacji Społecznej i Religijnej im. ks. Piotra Skargi oraz Stowarzyszenia Instytutu Ordo Iuris, które uznały publikację za obraźliwą dla chrześcijan. Część katolików nie ograniczyła się do wysyłania protestów, lecz zorganizowała nawet wspólne modlitwy przed siedzibą wydawnictwa w intencji powstrzymania bluźnierstwa.

Co zawiera książka, która wywołała tak wielkie wzburzenie?

CHRYSTUS JAKO ŹRÓDŁO ZŁA

„Chrześcijaństwo. Amoralna religia" to rozmowa prawnika Artura Nowaka z profesorem filozofii Ireneuszem Ziemińskim, który występuje w roli autorytetu objaśniającego czytelnikowi, czym naprawdę jest chrześcijaństwo. Co ciekawe, dzisiejszy wykładowca Uniwersytetu Szczecińskiego został niegdyś magistrem, a następnie doktorem na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, a w 2017 r. otrzymał nawet Nagrodę im. ks. Józefa Tischnera. Obecnie jawi się jako zdecydowany krytyk nie tylko Kościoła katolickiego, lecz także religii chrześcijańskiej, czemu daje wyraz w ostatniej publikacji.

Wspomniana książka, której premiera odbyła się w listopadzie ub.r., to właściwie jedno wielkie oskarżenie pod adresem chrześcijaństwa, które zostaje zidentyfikowane jako największe zło w dziejach ludzkości. To religia amoralna, perfidna i przewrotna, instrumentalizująca, dehumanizująca, degradująca i poniżająca człowieka, tłamsząca wolną wolę ludzi i tworząca z nich mentalnych niewolników. Odpowiedzialna za liczne patologie i zbrodnie, łącznie z ludobójstwem dokonywanym na wszystkich kontynentach. Chrześcijaństwo okazuje się złem nawet większym niż Holokaust, ponieważ trwał on zaledwie kilka lat, zaś chrześcijaństwo istnieje już dwa tysiąclecia, a na dodatek to właśnie ono stanowi źródło niezliczonych zbrodni, w tym zagłady Żydów. Właściwie nie ma na Ziemi takiego zła, którego nie bylibyśmy w stanie przypisać Kościołowi.

Potwornym złem w oczach autorów okazuje się nawet koncepcja chrześcijańskiego miłosierdzia, której przejawem są przykazania miłości bliźniego i przebaczania wrogom. Ich zdaniem jest to przewrotna idea, która usprawiedliwia największe krzywdy wyrządzane najsłabszym i bezbronnym. Nic zatem dziwnego, że według Stanisława Obirka, który napisał przedmowę, a właściwie hymn pochwalny na cześć książki, Nowak i Ziemiński obnażają skrywany obraz Boga jako „psychopaty nie tylko tolerującego, ale wręcz usprawiedliwiającego największe zbrodnie w dziejach ludzkości".

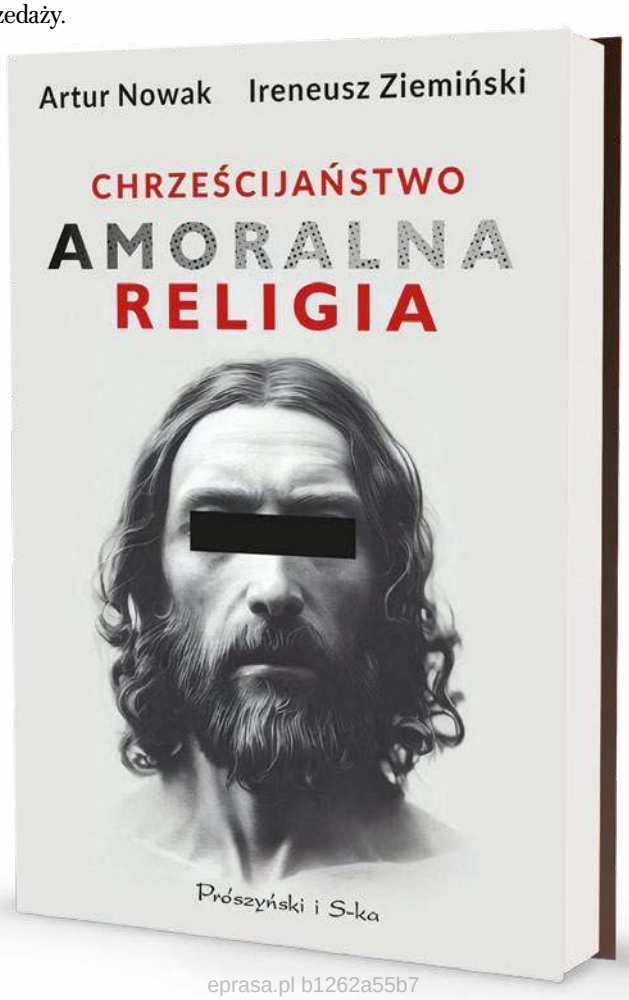

Wydźwięk publikacji dobrze oddaje nota się na tylnej stronie okładki: „Plemienność, język nienawiści, pogarda wobec kobiet, wreszcie uwielbienie Boga posyłającego go na okrutną śmierć – to nie tylko niektóre aspekty planu »zbawienia«, których spadkobiercą jest współczesny Kościół. To nie przypadek, że centralnym punktem ewangelii jest ślepe posłuszeństwo. Chrześcijanie od początku bali się wolności, dlatego narzucili światu przemocowy program Jezusa. Stąd nienawiść do Ewy, która miała odwagę przekroczyć granicę niewoli, uwielbienie Marii, będącej niewolnicą Pana, oraz lęk, żeby żadna owca nie oddaliła się od stada".

eprasa.pl b1262a55b7

Na tle współczesnej literatury antykatolickiej książka Nowaka i Ziemińskiego wyróżnia się tym, że krytykuje nie tylko instytucję Kościoła czy pewne aspekty jego nauczania, lecz także potępia chrześcijaństwo całościowo jako niezwykle toksyczną i bardzo niebezpieczną religię, zaś samego Chrystusa przedstawia jako głównego sprawcę tego całego zła. Jeśli wyznawcy Jezusa dopuszczali się w dziejach najokrutniejszych zbrodni, to nie dlatego, że wypaczali jego przykazania, ale dlatego że, zdaniem autorów, byli im wierni. W książce zostaje ukazany obraz mistrza z Nazaretu jako człowieka władzy, egoistycznego, okrutnego, mściwego, nienawistnego, niewykazującego zrozumienia dla ludzkich słabości i pozbawionego współczucia.

WYOBRAŻENIA ZAMIAST FAKTÓW

Gdybyśmy wzięli twierdzenia Nowaka i Ziemińskiego za dobrą monetę, musielibyśmy uznać Jezusa za osobnika wyjątkowo nikczemnego, budzącego wstręt, pogardę i potępienie, zaś chrześcijaństwo za religię, od której każdy przyzwoity człowiek powinien odwrócić się z obrzydzeniem. Opublikowana przez nich książka więcej jednak niż o Chrystusie i religii mówi o samych autorach: ich uprzedzeniach, ignorancji oraz niewiedzy.

Weźmy pierwszy z brzegu przykład. Opowiadając o Kościele pierwotnym, Ireneusz Ziemiński przywołuje opisaną w Dziejach Apostolskich historię Ananiasza i Safiry, twierdząc, iż „nie ma wątpliwości, że zginęli w wyniku egzekucji". W samym tekście biblijnym nie ma co prawda o tym ani słowa – śmierć małżonków była karą zesłaną na nich bezpośrednio przez Boga, a nie mordem dokonanym na rozkaz św. Piotra. Takiej interpretacji nie potwierdza także większość egzegetów, mimo to Ziemiński „nie ma wątpliwości", dodając: „Historia ta potwierdza, że w gminach chrześcijańskich stosowano karę śmierci za stosunkowo błahe wykroczenie – zatrzymanie części własnego majątku i okłamanie przywódców".

Problem polega na tym, że żadne źródła historyczne nie potwierdzają, by taka praktyka była stosowana w pierwotnym Kościele. Gdyby tak było, słyszelibyśmy to na każdym kroku we wszystkich dyskusjach na temat „zbrodni chrześcijaństwa". To „fakt", który zaistniał jedynie w wyobraźni Ireneusza Ziemińskiego. Nic w tym zresztą dziwnego, skoro firmowana jego nazwiskiem książka jest oparta właśnie na wyobrażeniach o chrześcijaństwie, a nie na rzetelnej wiedzy o tej religii.

Widać to na przykładzie tego, jak autorzy traktują chrześcijański nakaz miłowania bliźniego. Otóż bliźnim, który zasługuje na miłość, jest – ich zdaniem – tylko wyznawca religii Chrystusowej, a więc „swój". W związku z tym z powyższej kategorii zostają wykluczeni wszyscy obcy i innowiercy. Bliźni stają się więc czymś w rodzaju „ekskluzywnego klubu, grupy wybrańców".

Otóż te twierdzenia wykazują całkowitą nieznajomość chrześcijaństwa, w tym terminologii używanej na kartach Nowego Testamentu. Wierzący w Chrystusa nazywali bowiem swoich współwyznawców „braćmi", natomiast słowo „bliźni" zarezerwowane było dla pogan, czyli tych, którzy znajdowali się poza Kościołem. Nakaz miłowania dotyczył zatem obcych, a nie swoich. Było więc dokładnie odwrotnie, niż utrzymują Nowak z Ziemińskim. Podobnych przykładów można wskazać w publikacji znacznie więcej.

Na tle współczesnej literatury antykatolickiej książka Nowaka i Ziemińskiego wyróżnia się tym, że krytykuje nie tylko instytucję Kościoła czy pewne aspekty jego nauczania, lecz także potępia chrześcijaństwo całościowo jako niezwykle toksyczną i bardzo niebezpieczną religię, zaś samego Chrystusa przedstawia jako głównego sprawcę tego całego zła

TOTALNE ODWRÓCENIE POJĘĆ

Kierowanie się własnymi uprzedzeniami przez autorów szczególnie widać w tych fragmentach książki, w których zarzucają oni Jezusowi, że sam nie stosował się do własnych nauk, np. nie przebaczał swoim nieprzyjaciołom. Jak mówi o Chrystusie Ireneusz Ziemiński: „Także w czasie krzyżowej męki nie zdobył się na darowanie win swoim oprawcom, prosząc jedynie swego Ojca w niebie, aby nie policzył im tego grzechu, bo nie wiedzą, co czynią. Ta scena jest o tyle ważna, że uchodzi powszechnie za świadectwo moralnego heroizmu Jezusa, modlącego się za własnych prześladowców. W rzeczywistości mamy tu do czynienia z prośbą, aby wybaczył im zastępczo Bóg, gdyż sam Jezus nie potrafi się na to zdobyć". Artur Nowak przyklaskuje tym słowom, nazywając „ewidentną psychomanipulacją" twierdzenie, iż Chrystus wybaczył swym prześladowcom na krzyżu.

Prawdę mówiąc, trudno o większą nieuczciwość intelektualną niż ta wykazana w cytowanych powyżej wersach. Jest to całkowite odwrócenie rzeczywistego znaczenia opisywanej sceny i totalne zaprzeczenie jej prawdziwego sensu. Jezus, mówiąc: „Ja i Ojciec jedno jesteśmy", deklarował przecież wyraźnie, że jest Bogiem. Nawet ludzie nieprzychylni Kościołowi nie interpretowali słów Chrystusa na krzyżu jako odmowy wybaczenia swym oprawcom, wręcz przeciwnie. Tymczasem w oczach autorów książki prawdziwy akt przebaczenia staje się aktem nieprzebaczenia. Nic dziwnego, że przy takim podejściu religia miłości musi zamienić się w religię nienawiści. Wszystko da się przekręcić i zamienić w swoje przeciwieństwo.

Niestety, ten zafałszowany przekaz może dotrzeć do osób niemających pojęcia o chrześcijaństwie, stając się dla nich źródłem wiedzy. Tak jak dla tej młodej dziewczyny, która po lekturze książki napisała: „Wreszcie zrozumiałam, co mnie w tej »naszej« religii tak boli. Coraz bliżej mi do apostazji. Dziękuję".

eprasa.pl b1262a55b7

Cztery ważne debaty na Kongresie Rozwoju Polski

O stabilne i przewidywalne działania rządu

„Trzeba pilnować dorobku ostatnich lat. Nie możemy pozwolić, by Polakom odebrano szansę, by stać się wreszcie poważnym państwem"
Premier Mateusz Morawiecki

To był wyjątkowy dzień – w czasie zorganizowanego przez redakcję ekonomiczną Grupy Medialnej Fratria pierwszego Kongresu Rozwoju Polski podczas czterech następujących po sobie debat padło wiele ważnych deklaracji i wezwań. Wśród nich na pierwszy plan wysuwa się wezwanie o stabilne i przewidywalne rządzenie. A także pytanie, czy stać nas dziś – w obliczu potężnego kryzysu geopolitycznego – na wewnętrzne turbulencje, chaos prawny, personalny i kompetencyjny.

Jak pilnować dorobku ostatnich ośmiu lat gospodarczego rozwoju Polski, jakie wyzwania stoją przed polską gospodarką i jak wykorzystać wyjątkowy moment w geopolitycznej sytuacji w Europie Środkowej i Wschodniej – na te tematy dyskutowali eksperci i goście Kongresu Rozwoju Polski, organizowanego przez redakcję „Gazety Bankowej" i portalu wGospodarce.pl. Mottem Kongresu stały się słowa premiera Mateusza Morawieckiego, który powiedział, że „trzeba pilnować dorobku ostatnich lat".

Fot. Andrzej Wiktor

NIEPEWNOŚĆ W NIEPRZEWIDYWALNYM ŚWIECIE

Wielokrotnie formułowanym w czasie dyskusji zagrożeniem była odczuwana w wielu branżach gospodarki niepewność. I choć w skali makro dotyczy ona nieprzewidywalności i dużej zmienności sytuacji geopolitycznej w Europie i na świecie, to również wewnętrzna niepewność polityki gospodarczej państwa, niepewność utrzymania zobowiązań biznesowych podejmowanych w ostatnich latach przez polski rząd, niepewność działań członków nowego rządu, niepewność stabilności prawnej... Można mnożyć znaki zapytania, które sprawiają, że inwestorzy mogą traktować Polskę, jako kraj z dużym ryzykiem inwestycji.

– Pierwsze ryzyko to geopolityka. Wojna na Ukrainie, napięcia na Bliskim Wschodzie, niejasna sytuacja na półwyspie Koreańskim i wiele innych punktów zapalnych na świecie. Drugi czynnik to niepewne perspektywy wzrostu gospodarczego naszych głównych partnerów handlowych, którymi są kraje strefy euro, kraje Unii Europejskiej. Życzymy im więc jak najlepiej – mówił premier Mateusz Morawiecki podczas inaugurującego Kongres wywiadu z redaktorem naczelnym „Gazety Bankowej" Maciejem Wośko. – I wreszcie potężnym zagrożeniem jest niepewność co do polityki gospodarczej, finansowej, fiskalnej nowego rządu.

Niezwykle wyraźnie w czasie dyskusji wybrzmiało wezwanie, by politycy się zastanowili, czy faktycznie krytykując działania dużych polskich spółek, krytykując dotychczasową politykę gospodarczą i dezawuując osiągnięcia polskiej gospodarki – a te są naprawdę

Reklama | 46/1223/F, 1/0124/F

eprasa.pl b1262a55b7

imponujące – działają na korzyść polskiego biznesu i Polski.

– Suwerenność i bezpieczeństwo są tematem naszego spotkania. Powinniśmy dyskutować, czy istnieje możliwość stabilnego rozwoju państwa oraz w jaki sposób te dwa elementy są zagrożone. Bezpieczeństwo to oczywiście nasze bezpieczeństwo militarne, bezpieczeństwo kraju frontowego, który będzie poddawany różnym próbom, w tym próbom siły militarnej, ale i próbom siły gospodarczej – podkreślał w czasie wystąpienia inauguracyjnego doradca Prezydenta RP Zdzisław Sokal.

Podczas otwarcia Kongresu Rozwoju Polski specjalnie przygotowane wystąpienie wygłosił też prof. Adam Glapiński, prezes Narodowego Banku Polskiego.

– W ostatnich latach udało się poprowadzić polską gospodarkę ścieżką rozwoju, dającą znaczne szanse na szybkie odrobienie dystansu wobec zamożniejszych gospodarek i wzmocnienie roli Polski. Od 2016 r. polska gospodarka rozwinęła się o 32 proc. To niesłychany sukces! Szczególnie gdy weźmiemy pod uwagę, że PKB strefy euro zwiększył się w tym czasie o 11 proc. Jednocześnie polscy przedsiębiorcy z coraz większym powodzeniem konkurowali na zagranicznych rynkach, dzięki czemu wyraźnie wzrósł nasz udział w handlu światowym – mówił prezes NBP. – Bezsprzecznie Polska osiągnęła wielki sukces. On nie był zagwarantowany. Musieliśmy się zmagać z wielkimi zagrożeniami w gospodarce globalnej: najpierw wynikającymi z pandemii, a potem z agresji Rosji na Ukrainę. Wiele gospodarek wciąż silnie odczuwa skutki tych szoków. Polska choć nie była w pełni odporna, poradziła sobie z tym zagrożeniami bardzo dobrze. Kluczowe znaczenie miała tu właściwa reakcja po stronie polityki gospodarczej. Taka reakcja nie byłaby możliwa, gdybyśmy nie posiadali własnej waluty. Złotego. To dzięki polskiej walucie mamy możliwość prowadzenia polityki pieniężnej w pełni dostosowanej do potrzeb polskiej gospodarki.

CZTERY DEBATY

Pierwsza debata poświęcona była rozpoczętym w ostatnich latach dziejowym, pokoleniowym wręcz inwestycjom infrastrukturalnym i przemysłowym, tj. elektrowni jądrowej. Pytanie, które zadaliśmy uczestnikom, dotyczyło realnego zagrożenia kontynuacji tych przedsięwzięć. W sytuacji bezprecedensowego ataku na zasadność budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego, w trakcie niepewnych zapowiedzi dotyczących zahamowania budowy elektrowni jądrowej oraz w obliczu ogłoszonego raptem dzień po Kongresie wycofania się rządu z cyfryzacji systemu fakturowania (KSeF) – ten temat okazał się kluczową dyskusją Kongresu.

Drugi panel został poświęcony zjawiskom niezwykle ważnym dla gospodarki – repolonizacji i patriotyzmowi gospodarczemu, który przynosi wymierne efekty. I znów rozmówcy podkreślali rolę stabilności polityki gospodarczej rządzących.

– Wszelkie zakłócenia związane z procesem decyzyjnym, które mają charakter nieciągły i nietrwały mogą wzbudzić niepewność u wszystkich uczestników procesu. Przypomnę: rządząca obecnie koalicja przed przejęciem władzy bardzo silnie prezentowała przekaz o trudnej sytuacji finansów publicznych, o katastrofalnej sytuacji gospodarczej, wówczas jako ekonomiści przestrzegaliśmy: „Uważaj narratorze, bo w pewnej chwili będziesz musiał zasiąść w określonym miejscu, w roli ministra finansów i wówczas będziesz musiał się zderzyć z takim prostym procesem, jak oferowanie długu na rynku międzynarodowym i tłumaczenie inwestorom, że ta sytuacja nie jest tak tragiczna". Bo jeśli byłaby tragiczna, to co za szaleniec kupowałby papiery wartościowe? Trzeba uważać na to, co się mówi, jak się mówi i kiedy się mówi – wyjaśniał dr Artur Bartoszewicz.

O transformacji energetycznej mówi się od wielu lat właściwie na każdej konferencji i niemal w każdym panelu o gospodarce. Dyskusji o zielonej rewolucji nie mogło zabraknąć także na Kongresie Rozwoju Polski. W panelu zatytułowanym „Sprawiedliwa transformacja czy rewolucja energetyczna – polityka energetyczna Polski wobec wzrostu znaczenia OZE i redukcji emisji CO_2 w Europie" padło wezwanie, by polityka energetyczna Polski była racjonalna. Opieranie decyzji na przesłankach ideologicznych spowoduje wzrost cen energii, zagrozi rozwojowi gospodarki i doprowadzi do zubożenia społeczeństwa. Wszyscy uczestnicy podkreślali, że nowy rząd, formułując nową politykę dla szeroko rozumianego sektora energetycznego na kolejne dekady, musi brać pod uwagę specyficzne polskie uwarunkowania, a zwłaszcza to, że nie uda się zrezygnować z elektrowni węglowych w szybkim tempie.

To naturalne, że rozmawiając o zachowaniu suwerenności, należało się odwołać do wojny na Ukrainie i mocarstwowych aspiracji Rosji. Nie zabrakło i tych wątków w czasie debaty „Suwerenność gospodarcza Polski wobec wyzwań geopolitycznych w Europie".

– Z całą pewnością w bieżącym roku będziemy obserwować wiele potencjalnych zmian i napięć, które będą wpływały na utrzymanie dotychczasowej prosperity oraz decydowały o przyszłym rozwoju państwa polskiego. Kluczowy będzie oczywiście także sposób, w jaki odpowiemy na wspomniane już wcześniej zagrożenia, a także ewentualne szanse, jakie przed nami stoją – podkreślał minister Jacek Siewiera.

(red)

Zapis wideo kongresowych wystąpień i debat dostępny jest na profilu YouTube telewizji wPolsce.pl i na portalu wGospodarce.pl. Polecamy też relację w lutowym wydaniu „Gazety Bankowej"

PARTNERZY:

ALIOR BANK

Enea

TOTALIZATOR SPORTOWY

eprasa.pl b1262a55b7

Inwestycje, o których nie wolno zapomnieć

Przez osiem ostatnich lat Polska rozwijała się w bezprecedensowym tempie, jednak największe i najbardziej ambitne inwestycje dopiero są przed nami. Centralny Port Komunikacyjny, budowa elektrowni jądrowej, wreszcie cyfryzacja urzędów i tworzenie e-państwa to dziejowe, pokoleniowe inwestycje, rozpoczęte w ostatnich ośmiu latach. Czy nowy rząd będzie je kontynuował? A może czeka nas okres zastoju i tonowania narodowych ambicji?

Podczas debaty zatytułowanej „Inwestycje, których zatrzymać nie wolno" rozmawiali o tym Marcin Horała, poseł na Sejm RP, były sekretarz stanu w Ministerstwie Funduszy i Polityki Regionalnej i były pełnomocnik rządu ds. Centralnego Portu Komunikacyjnego, Zdzisław Sokal, doradca prezydenta RP, oraz Artur Soboń, członek zarządu Narodowego Banku Polskiego.

Jak przekonać rządzących do tego, by wspierali istotne dla rozwoju państwa inwestycje niezależnie od poglądów politycznych? Jak wskazał minister Marcin Horała, elementem przekonania obecnie rządzących do kontynuowania inwestycji poprzedniej ekipy może być wskazanie, iż pewne inwestycje są kluczowe dla strategicznego rozwoju Polski – pod warunkiem, że mamy wspólnotę celów. To powinien być rozwój naszego kraju.

– Już po wyborach w debatę na temat korzyści z budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego włączyło się wielu ekspertów, ale też użytkowników mediów społecznościowych,

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b1262a55b7

odkrywając ze zdziwieniem, że ta inwestycja to jednak dobry pomysł. Wcześniej obowiązywał przecież przekaz, że jeśli coś robi rząd, to jest z założenia złe – mówił Horała. – Obserwując przejęte media publiczne, można raczej odnieść wrażenie przygotowań do likwidacji CPK. Jesteśmy w stanie pewnego zawieszenia, debata publiczna i dyskusja wokół sondaży, mimo poparcia społecznego dla budowy, nie napawają optymizmem. Mam jednak nadzieję, że ta wielostronna presja opinii większości ekspertów, których nie da się podważyć, przyniesie efekt.

Były minister zaznaczył też, że takie inwestycje jak CPK mogą pomóc Polsce uzyskać przewagę nad konkurencją z Zachodu. Czasy wspólnego, wspólnotowego rozwoju odchodzą bowiem w niepamięć – teraz nastał czas konkurencyjności.

– Jesteśmy w trakcie transformacji modelu rozwojowego. Polska, bogacąc się, wychodzi z paradygmatu, w którym tzw. rozwój współzależny jest korzystny. Dziś liczymy bardziej na polskie korporacje konkurujące z zachodnimi, zachodnioeuropejskimi firmami. Nie ma dziedziny gospodarki, w której transport i logistyka nie byłyby jednym z głównych elementów marżowości – wyjaśniał Marcin Horała. – Siłą rzeczy nie jest w interesie naszych sąsiadów, także sojuszników, by wspierać konkurencję. Pytanie zatem o suwerenność, to problem, czy jako wspólnota jesteśmy w stanie zdefiniować nasze interesy sami, mając świadomość, że będą one w konkurencji.

Z kolei Zdzisław Sokal, doradca prezydenta RP, wskazał, iż w weryfikacji inwestycji przez nowe ekipy rządzące nie ma niczego złego, jednak należy prowadzić te weryfikacje w oparciu o przesłanki gospodarcze

– Weryfikacja inwestycji powinna być realizowana na każdym etapie i zawsze, ale przy inwestycjach mamy wiele elementów, np. stabilność prawną i finansową. Dla instytucji i inwestorów, którzy angażują się w realizację inwestycji, stabilność finansowa jest bardzo ważna.

POLSKA TRACI ZAUFANIE INWESTORÓW?

Stabilność inwestycji, myślenie strategiczne, wreszcie utrzymanie kierunków rozwoju mimo zmian ekip u steru władzy jest tym, co odróżnia silne gospodarki od słabych. W przypadku Polski bardzo ważne jest też, aby pewne kierunki były poszanowane ponadpartyjnie. Czy Polska może więc stracić zaufanie zagranicznych inwestorów, jeśli takiego konsensusu nie będzie? Choć brzmi to złowrogo, to doradca prezydenta tonuje emocje:

– Podejście inwestorów zagranicznych jest optymistyczne. Polska jest atrakcyjnym krajem, w którym wzrost gospodarczy jest bezdyskusyjny. Ważne też, że ze wzrostu gospodarczego korzystają polscy obywatele. Mamy dobry klimat do inwestycji, mimo zmiany decydentów.

Jak podkreślił Sokal, inwestycje strategiczne na Zachodzie pokazują, że zagraniczni inwestorzy patrzą długofalowo, nie ograniczają się do jednej kadencji. Mamy tam do czynienia z niezmiennością działań, bez względu na wyniki wyborów. Dobrze więc, by Polska dawała podobny przykład.

Jak wskazał z kolei Artur Soboń, członek zarządu Narodowego Banku Polskiego, zaufania inwestorów nie budują obecne ataki na prezesa NBP, prof. Adama Glapińskiego.

– NBP pośrednio wpływa na możliwości inwestycyjne poprzez prowadzenie polityki pieniężnej. By finansować wielkie inwestycje, konieczna jest stabilność makrofinansowa państwa i to stanowi kluczowe wyzwanie ze względu na czynniki podażowe, które pchnęły Europę na ścieżkę zwiększonej inflacji – mówił Soboń. Jak zaznaczył, NBP może niekiedy interweniować jako pożyczkodawca ostatniej instancji, ale nasz narodowy bank raczej stymuluje rynek swoimi działaniami, wspierając opłacalność projektów inwestycyjnych w stabilnych i bezpiecznych warunkach polityki pieniężnej oraz fiskalnej państwa.

OKRES STABILNOŚCI KOŃCZY SIĘ

Marcin Horała nie ma najmniejszych wątpliwości, iż czasy względnej stabilności na arenie międzynarodowej bezpowrotnie minęły.

– Obszar konsensusu co do tego, jak ma wyglądać ład międzynarodowy i inwestycje ekonomiczne, patrząc na ostatnie 30 lat, raczej się zmniejsza niż zwiększa i raczej nieprędko wrócimy do czasów względnej stabilności – wskazał były minister. – A wpływ polityki na gospodarkę jest coraz większy. Jako przykład podał sektor energetyczny, argumentując, iż widać w nim coraz większy wpływ ideologii i decyzji politycznych zamiast racjonalnej kalkulacji ekonomicznej.

Jednak, jak dodał Horała, także transport okazuje się sektorem mocno upolitycznionym, tymczasem to on determinuje, w jakim kierunku rozwija się państwo i czy czerpie zyski ze swojej gospodarki. A to właśnie budowa siły gospodarczej państw i społeczeństw będzie kluczowa dla przyszłości, co podkreślił Horała, zaznaczając, że w stosunkach międzynarodowych mamy do czynienia z bezwzględną rywalizacją.

– Okres stabilności był zwykłą ułudą – podsumował Horała. – Dawniej mogliśmy płynąć z prądem, a teraz wieje wiatr od czoła i my musimy mocniej wiosłować (lub wynaleźć silnik), by płynąć do przodu.

Zdzisław Sokal z kancelarii prezydenta RP zwrócił zaś uwagę na inny aspekt sprawy, konkretnie na zasób, jakim dla Polski są inwestycje, które nasze firmy tworzą za granicą. Jak zaznaczył, Polska to kraj bardzo sprawny w skutecznym przeprowadzaniu zagranicznych inwestycji, nie tylko w Europie, lecz także w innych częściach świata. Jak wskazał, również eksport z naszego kraju może być istotnym czynnikiem zwiększającym nasze szanse na arenie międzynarodowej.

– Polscy przedsiębiorcy są bardzo sprawni i świetnie sobie radzą – mówił Zdzisław Sokal. – Jest sporo wyzwań, ale mamy wielką szansę wykorzystać nasz potencjał. Co więcej, rodzimi przedsiębiorcy są niejako gwarantem stabilności, kotwicą dla gospodarki. Będąc w niestabilnym momencie, potrzebujemy stabilnych kotwic gospodarczych – zaznaczał Sokal. Jedną z takich stabilnych inwestycji może być energetyka jądrowa czy właśnie infrastruktura.

Goście panelu wyraźnie wskazali, że mimo wielu niepewności na świecie nasze priorytety nie powinny ulegać zmianom, a kierunki rozwoju gospodarczego bezwzględnie muszą bezwzględnie pozostać niezmienne.

Notował: Arkady Saulski

eprasa.pl b1262a55b7

Repolonizacja na czas geokryzysu

Przed nami nowa kadencja parlamentu, nowy rząd, nowe rozdanie. Jednym słowem, duże zmiany, które dotyczyć będą gospodarki, inwestycji, kapitału i de facto wszystkich Polaków. Jaka w obecnej sytuacji będzie rola patriotyzmu gospodarczego? Co z repolonizacją, która w poprzedniej kadencji parlamentu przyniosła korzystne dla gospodarki efekty?

To temat drugiej debaty, która odbyła się podczas Kongresu Rozwoju Polski. Uczestniczyli w niej: prof. Małgorzata Zaleska, dyrektor Instytutu Bankowości SGH, przewodnicząca Komitetu Nauk o Finansach PAN, członek korespondent PAN, prof. Zbigniew Krysiak, Instytut Myśli Schumana, dr Artur Bartoszewicz, Instytut Rozwoju Gospodarczego, Szkoła Główna Handlowa w Warszawie. Debatę prowadził Stanisław Koczot, zastępca redaktora naczelnego „Gazety Bankowej".

STAN WOJNY

Według dr. Artura Bartoszewicza w Polsce mamy ogromny problem z myśleniem strategicznym i analizowaniem długoterminowych skutków podejmowanych decyzji. Tymczasem w świecie przyjmuje ono formę przemyślanych, systematycznych działań.

– Skarb Państwa jest istotny, tak samo jak pieniądze publiczne inwestowane w gospodarkę. Funkcjonujemy w warunkach wojny gospodarczej. Bez względu na to, kto aktualnie rządzi, musi się z tym zderzyć. We Francji od 25 lat istnieje szkoła wojny gospodarczej, w której co roku szkoli się 200 osób. Są to „agenci wpływu", którzy pilnują francuskiego interesu. Francuzi nie brzydzą się tego, że środki publiczne inwestują w gospodarkę.

Nawiązując do Orlenu, dr Artur Bartoszewicz stwierdził, że w Polsce bardzo łatwo można obrzydzić wielkie i ważne przedsięwzięcia, uderzyć w to, co Polacy zbudowali z własnych zasobów, również inwestując środki publiczne. Zwrócił uwagę na poważne konsekwencje zmian wprowadzanych w ostatnim okresie.

– Trzeba uważać na to, co się mówi, jak się mówi i kiedy się mówi. Partia, która przejmuje teraz władzę, ma prawo dokonywać zmian w spółkach Skarbu Państwa, ale sposób, w jaki to robi, jak się komunikuje, może spowodować, że przez następne miesiące będą one miały kłopoty; to się przełoży na ich wyniki finansowe za 2024 r.

Które sektory gospodarcze powinny znajdować się w polskich rękach?

Według prof. Małgorzaty Zaleskiej na pewno strategiczne, takie jak energetyka. Co do sektora bankowego to, jej zdaniem, struktura kapitału powinna

Reklama | 1/0124/F

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b1262a55b7

Enea
Konsekwentnie inwestujemy w rozwój OZE
#TransformacjaEnei
Więcej informacji
o Grupie Enea:

być w nim zróżnicowana z przewagą kapitału polskiego, ale bez negatywnego nastawienia do kapitału zagranicznego. – Potrzebny jest pewien złoty środek – mówiła prof. Małgorzata Zaleska – m.in. z tego powodu, że rynki finansowe są globalne, sektor bankowy jest globalny i nie da się go zamknąć na obszarze Polski.

Jej zdaniem w tej chwili sektor bankowy ma zadowalającą strukturę, aczkolwiek wskazane byłyby zmiany w kierunku zwiększenia udziału polskiego kapitału prywatnego. Podkreśliła, że kapitał państwowy jest potrzebny, co było bardzo widoczne podczas globalnego kryzysu w latach 2007–2009, kiedy banki z kapitałem zagranicznym znacząco ograniczyły akcję kredytową, natomiast największy bank w Polsce tego nie zrobił i konsekwentnie zasilał finansowo naszą gospodarkę.

ZDOLNOŚĆ PRZETRWANIA

Prof. Zbigniew Krysiak przypomniał, że gdyby nie PKO BP, w czasie kryzysu mielibyśmy do czynienia z falą bankructw. Przed pandemią i wojną na Ukrainie wydawało się, że normalne czasy będą trwały wiecznie. Tymczasem tak nie jest. Pandemia uświadomiła nam, jak należy kształtować model gospodarki narodowej odpornej na kryzysy. Według niego w czasie pandemii dobrze radziły sobie państwa, które posiadały mocne filary, takie jak energetyka, transport, własne zasoby. Z takich sytuacji należy wyciągnąć wnioski, a także proponować takie rozwiązania i tak kształtować gospodarkę, by miała ona zdolność przetrwania.

– To, że posiadamy instrumenty, żeby z takimi kryzysami sobie poradzić, zawdzięczamy polskiemu kapitałowi. Łatwo sobie przecież wyobrazić sytuację, co by się działo, gdyby w czasie kryzysu finansowego cały sektor bankowy należał do kapitału zagranicznego. Na pewno w pierwszym rzędzie zatroszczyłby się o siebie, co jest naturalne – mówił prof. Zbigniew Krysiak.

Źródło pochodzenia kapitału ma więc kolosalne znaczenie. – Za każdym przedsiębiorstwem stoi konkretny naród. Np. za 16 największymi międzynarodowymi korporacjami farmaceutycznymi stoją poszczególne narody, a należy do nich 80 proc. światowego rynku leków. Udział polskiego przemysłu farmaceutycznego w globalnym rynku wynosi zaledwie 0,24 proc. – przypomina dr Artur Bartoszewicz. – Uważam, że udział polskiego kapitału w gospodarce powinien zostać bardzo mocno zwiększony. Mamy w Polsce 30 proc. leków, które są produktami polskimi, a 70 proc. pochodzi z zagranicy. Na wschodzie trwa wojna, w którą możemy zostać wciągnięci. W czasie wojny z powodu braku leków umiera więcej ludzi niż od bombardowań i innych działań militarnych.

NIEBEZPIECZNY GEOKRYZYS

Polskie przedsiębiorstwa i polskie banki działają w określonych ramach regulacyjnych. Prof. Małgorzata Zaleska podkreśliła, że polski sektor finansowy jest zdrowy i stabilny. Ma to bardzo duże znaczenie dla gospodarki. – Nie funkcjonujemy na jakieś wyspie, ale w konkretnym otoczeniu, zarówno geopolitycznym, jak i regulacyjnym, które ma duży wpływ na sektor bankowy.

Jej zdaniem w dzisiejszych czasach kluczowa jest geopolityka, ponieważ funkcjonujemy w pewnego rodzaju geokryzysie. Patrząc z perspektywy globalnej, liczy się Bliski Wschód i Daleki Wschód, jednak dla nas szczególnie istotne jest to, by zainteresowanie świata tymi odległymi z polskiego punktu widzenia regionami nie odwróciło uwagi od tego, co dzieje się za naszą wschodnią granicą.

Warto pamiętać, co podkreśliła prof. Małgorzata Zaleska, że poszczególne kraje członkowskie mają swobodę w kształtowaniu struktury własności w sektorze bankowym. Instytucje unijne nie mogą decydować, jaki jest udział kapitału krajowego, państwowego czy prywatnego. Prof. Małgorzata Zaleska przypomniała, że w ciągu ostatnich ośmiu lat nastąpiła zmiana właścicielska w Pekao SA i w tej chwili kapitał polski ma większość w naszym sektorze bankowym, przy czym ten kapitał jest zdominowany przez kapitał państwowy. Według niej wciąż brakuje nam w bankach prywatnego kapitału polskiego.

KAPITAŁ NARODOWY

Synonimem prywatyzacji było oddanie majątku narodowego w obce ręce. Kapitał międzynarodowy jest potrzebny, jednak początkowo było go za dużo.

– Obecnie, idąc w kierunku kapitału narodowego, należy pomyśleć o tym, jak inwestycje czy kapitały obywateli, poszczególnych gospodarstw domowych mogłyby uczestniczyć we współwłasności – mówił prof. Zbigniew Krysiak. Jego zdaniem wzrost kapitału gospodarstw domowych jest kluczowy. Zarządzanie gospodarką powinno polegać na tym, żeby ten kapitał, kiedy się tylko pojawi, mógł zostać wykorzystany dla wzrostu naszego majątku narodowego.

Jest on w stanie nie tylko budować siłę gospodarczą, lecz także zapewnić nam bezpieczeństwo i niezależność oraz umacniać naszą pozycję międzynarodową. Prof. Zbigniew Krysiak podał za przykład Orlen, który w bardzo dużym stopniu przyczynił się do tego, że uniezależniliśmy się od rosyjskich surowców. Koncern działa w Austrii, Czechach, Niemczech, w różnej formie funkcjonuje aż w 120 państwach na całym świecie.

Prof. Zbigniew Krysiak porównał dwa okresy w najnowszej historii Polski: lata 2007–2015 (rządy Platformy Obywatelskiej) z latami 2016–2023 (rządy Prawa i Sprawiedliwości). Okazało się, że polityka gospodarcza prowadzona przez rząd Zjednoczonej Prawicy przyczyniła się do wyraźnego wzrostu PKB na mieszkańca Polski. W latach 2007–2015 PKB per capita pozostawało na stałym poziomie 13 tys. dol., natomiast od 2016 r. wzrosło do 18 tys. dol.

Jednak, jak podkreślił prof. Zbigniew Krysiak, ocena kondycji gospodarki nie powinna ograniczać się jedynie do wskaźnika PKB na mieszkańca. Gospodarka ma działać tak, żeby dochodziło do konwergencji, czyli do tego, żeby potencjał gospodarczy Polski zbliżał się do potencjału Niemiec i Francji. Pomiar tego potencjału, czyli konwergencja, musi być oceniana z perspektywy nie tylko PKB per capita, lecz także średniej płacy, poziomu kapitału gospodarstw domowych, minimalnej płacy i innych parametrów.

Oprac. JB

Reklama | 30/0124/F

eprasa.pl b1262a55b7

MATERIAŁ
MARKETINGOWY

Ubezpiecz więcej
niż cztery ściany

Oszacuj realną wartość domu i wyposażenia,
aby otrzymać odpowiednie odszkodowanie
w razie szkody.

Dowiedz się więcej
u **agenta**, w **oddziale**, w **mojePZU**
lub pod numerem **600 600 601**
(Opłata zgodna z taryfą operatora)

Zakładem ubezpieczeń jest PZU SA. Materiał nie stanowi oferty w rozumieniu art. 66 kodeksu cywilnego. Szczegółowe informacje o zakresie ubezpieczenia, w tym o wyłączeniach i ograniczeniach odpowiedzialności, znajdziesz w aktualnych ogólnych warunkach ubezpieczenia PZU Dom dostępnych na pzu.pl, w naszych oddziałach i u naszych agentów. Prezentowane wartości wyposażenia są przykładowe, mają jedynie informacyjny charakter i są każdorazowo określane indywidualnie.

eprasa.pl b1262a55b7

Rozsądek przed ideologią, czyli sprawiedliwa transformacja

Polityka energetyczna Polski musi być racjonalna, w przeciwnym razie spowoduje wzrost cen energii, zagrozi rozwojowi gospodarki i doprowadzi do zubożenia społeczeństwa. To główne wnioski z debaty zatytułowanej „Sprawiedliwa transformacja czy rewolucja energetyczna", która odbyła się w ramach Kongresu Rozwoju Polski 2024

Gośćmi debaty byli posłowie PiS Maciej Małecki i Krzysztof Tchórzewski, a także minister klimatu i środowiska w rządzie Mateusza Morawieckiego Anna Łukaszewska-Trzeciakowska oraz prof. Władysław Mielczarski. Wszyscy podkreślali, że nowy rząd, formułując nową politykę dla szeroko rozumianego sektora energetycznego na kolejne dekady, musi brać pod uwagę specyficzne polskie uwarunkowania, a zwłaszcza fakt, że nie uda się w szybkim tempie zrezygnować z elektrowni węglowych. Natomiast same odnawialne źródła energii, czyli farmy wiatrowe i fotowoltaiczne, nie zapewnią Polsce i Polakom bezpieczeństwa energetycznego.

RZĄDZENIE TO NIE REALITY SHOW

Goście debaty skomentowali wypowiedź wiceminister klimatu i środowiska Urszuli Zielińskiej w Brukseli, która wsparła pomysł nowego celu dla UE – redukcji emisji CO_2 o 90 proc. do 2040 r. Choć wobec wielu krytycznych opinii dzień później szefowa resortu Paulina Hennig-Kloska zapewniała, że nie ma jeszcze zgody rządu na taki cel.

Poseł Maciej Małecki określił wypowiedź Urszuli Zielińskiej jako „infantylny wyskok w Brukseli" i dodał, że „wycięcie węgla oznacza wycięcie całej gospodarki". To, na co chce się zgodzić resort klimatu, jest irracjonalne.

Prof. Mielczarski uważa, że powstaje wrażenie, iż „ideologia klimatyczna wyprodukowała współczesnych komsomolców", czyli osoby, które są skupione tylko na idei i chcą ją wdrażać bez względu na konsekwencje.

– Nasi następcy są chyba w jakimś reality show, w którym liczy się „klikalność" i nie bierze się rzeczywistej odpowiedzialności za słowa i czyny, bo wszystko jest na niby – mówiła była minister klimatu i środowiska. – Bezpieczeństwo energetyczne Polski to ogromna odpowiedzialność i jeden z głównych celów oraz zadań rządu. O tym trzeba mówić w Brukseli i się nie bać. My nie się baliśmy – dodała.

Zdaniem posła Macieja Małeckiego „resort klimatu dostał się w ręce infantylnych uczennic, które pomyliły realia bezpieczeństwa energetycznego ze szkolnym wypracowaniem w konkursie, jak wyobrażam sobie przyszłość".

eprasa.pl b1262a55b7

– A tymczasem naszym obowiązkiem jest twarda walka w Brukseli o polskie interesy i troska o utrzymanie konkurencyjności polskiej gospodarki – mówił. – Polska musi twardo negocjować nawet za cenę podniesionych brwi niektórych urzędników Komisji Europejskiej, bo od efektu tych negocjacji zależy przyszłość naszej gospodarki i miejsc pracy. Nie można wpuścić Polski w korkociąg zmian klimatycznych, bo ucierpi na tym rynek pracy i społeczeństwo. Nie można na to pozwolić – dodał poseł Małecki.

BEZPIECZNY MIKS DLA POLSKI

Temat miksu energetycznego dla Polski był jednym z głównych w czasie debaty. Tym bardziej że obecny rząd ma przygotować strategię w tym zakresie. Gabinet Mateusza Morawieckiego przyjął założenia do Polityki Energetycznej Polski do 2040 r. Ich nadrzędnymi celami były m.in. suwerenność energetyczna, stopniowe odchodzenie od wykorzystywania węgla w energetyce, ale utrzymanie jego produkcji do 2049 r., a także rozwój źródeł niskoemisyjnych – nie tylko fotowoltaiki i farm wiatrowych na lądzie oraz Bałtyku, lecz także budowę energetyki jądrowej – wielkoskalowej i małych reaktorów atomowych (SMR).

– Polska musi postawić na stabilne źródła energii, bo to podstawa bezpieczeństwa energetycznego i bez nich zabraknie nam prądu. Dlatego zostawiliśmy naszym następcom konkretne plany w zakresie energetyki jądrowej, zarówno gdy chodzi o małe reaktory modułowe, jak i duże elektrownie – mówił w czasie debaty poseł Maciej Małecki. Przypomniał, że polska energetyka bazuje na elektrowniach węglowych „nie z własnej winy", ale „to spuścizna" po PRL, czyli decyzjach podejmowanych w czasie rządów komunistycznych, a kraj nie był suwerenny.

Były minister energii Krzysztof Tchórzewski wskazał w czasie debaty na to, iż energetyka nie może funkcjonować tylko w oparciu o odnawialne źródła. – Po prostu nie ma takiej możliwości, słońce nie zaświeci w nocy, a wiatr nie zawsze wieje – dodał. Jego zdaniem nawet gdy w Polsce przybędzie OZE, to „należy utrzymać elektrownie węglowe, muszą bowiem być w gotowości, by nie zabrakło energii".

W opinii prof. Mielczarskiego bez względu na plany inwestycyjne źródła odnawialne mogą dostarczyć maksymalnie od 55 do 60 proc. energii, bo „więcej nie przyjmie żaden system energetyczny". Ekspert wskazał, że „być może ok. 10 proc. energii dostarczać będą bloki gazowe, a zatem i tak w praktyce 40 proc. energii będziemy potrzebować z węgla". – Ale jest jeszcze kwestia mocy dostępnej w systemie, dlatego musimy mieć elektrownie węglowe, gazowe i atomowe, by pokryć zapotrzebowanie, czyli mieć w dyspozycji 28 tys. MW mocy – dodał profesor.

Anna Łukaszewska-Trzeciakowska uważa, że „mówienie w Polsce o energetyce rozproszonej jako podstawie miksu to mrzonki". – Dlatego rządzący muszą urealnić swoje fantazje, nie można nakrzyczeć na sieci czy na elektrownie, bo od tego na pewno ani ich nie przybędzie ani nie będą działać lepiej – mówiła.

BEZPIECZEŃSTWO PRZEDE WSZYSTKIM

Uczestnicy debaty podkreślali znaczenie zapewnienia Polsce i Polakom bezpieczeństwa energetycznego, rozumianego jako stabilne dostawy energii elektrycznej po akceptowalnych dla społeczeństwa i gospodarki cenach.

– Dla nas najważniejsza była i jest dbałość o portfele Polek i Polaków, dlatego nie godziliśmy się, by kosztem polskich rodziny być prymusem Unii Europejskiej w polityce klimatycznej – mówił poseł Maciej Małecki.

Zdaniem Krzysztofa Tchórzewskiego na energetykę ze źródeł odnawialnych stać przede wszystkim bogate państwa i bogate społeczeństwa, które w imię ochrony klimatu są w stanie płacić wyższe rachunki za prąd. – Gdyż płacimy za odnawialny prąd odbierany i za czekający na odbiór rezerwowy prąd konwencjonalny – mówił. – Wzrost zamożności Polaków pozwala na powolny trend w tym kierunku.

Anna Łukaszewska-Trzeciakowska przekonywała, że stabilnych dostaw energii i akceptowalnych cen oczekują nie tylko obywatele, lecz także firmy zainteresowane inwestycjami w Polsce. Dodała, że przed zmianami w prawie energetycznym istniała możliwość stawiania tzw. systemów wyspowych, zatem każdy podmiot mógł sam zorganizować źródła produkcji energii i korzystać tylko z nich, nie przyłączając się do sieci krajowej, „ale nikt z tego nie skorzystał, żaden przedsiębiorca".

Unia Europejska przyjęła najbardziej ambitne cele w zakresie redukcji emisji i chce być pierwszym kontynentem neutralnym klimatycznie, co oznacza inwestycje w nowe technologie, znaczące – liczone nawet w bilionach euro – wydatki oraz zmiany nie tylko dla przemysłu i przedsiębiorstw, lecz także dla społeczeństwa. Prof. Mielczarski uważa, że trwająca od dwóch dekad próba wdrożenia polityki klimatycznej zmierza do stworzenia systemu oderwanego od rzeczywistości. A wcześniej przez stulecia kierunek zmian cywilizacyjnych był taki, „by było taniej i lepiej". – Ta transformacja zmierza w błędnym kierunku – stwierdził ekspert.

Prof. Mielczarski zwrócił uwagę na to, że na UE przypada ok. 8 proc. populacji i mniej niż 10 proc. emisji CO_2 na świecie. – Inne kraje, nie martwiąc się o politykę klimatyczną, rozwijają się, a my w Europie narzucamy sobie sztuczny kierunek rozwoju, nie mając żadnej pewności, że przyniesie efekty. Być może Europie Zachodniej po części to się uda, ale nie nam – stwierdził ekspert. I dodał, że Zachód próbuje rozłożyć związane z tym koszty na inne państwa członkowskie.

Jego zdaniem w niektórych krajach widać już symptomy braku akceptacji społecznej dla polityki klimatycznej i „powoli następuje przebudzenie", właśnie ze względu na koszty zmian i obciążenie społeczeństw. Dlatego też – w opinii eksperta – jako kraj członkowski „powinniśmy realizować politykę Unii, ale nie wychodzić przed szereg i nie przyjmować zbyt ambitnych celów".

Anna Łukaszewska-Trzeciakowska uważa, że jako kraj przetrwamy politykę klimatyczną i dokonamy transformacji, „o ile zachowamy zdrowy rozsądek".

Not. AŁ

eprasa.pl b1262a55b7

Suwerenność, czyli bezpieczeństwo, o które musimy zadbać

Przy obecnych turbulencjach i wojnie prowadzonej za naszą wschodnią granicą kwestia militarnego i ekonomicznego bezpieczeństwa Polski nabiera wyjątkowego znaczenia. Kluczowe pozostaje również pytanie o rolę, jaką odrywają w procesie budowania suwerennej gospodarki największe rodzime podmioty, jak choćby silny bank centralny – stojący na straży niezależności monetarnej kraju

To główne zagadnienia, na których skupili swoją uwagę goście zaproszeni na ostatni panel Kongresu Rozwoju Polski „Suwerenność gospodarcza Polski wobec wyzwań geopolitycznych w Europie".

Wśród panelistów znaleźli się: minister Jacek Siewiera, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego, prof. Grażyna Ancyparowicz, Górnośląska Szkoła Handlowa, prof. Konrad Raczkowski, Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego, i red. Marek Budzisz, publicysta tygodnika „Sieci" i „Gazety Bankowej".

Do podstawowej kwestii wyjątkowo zmiennego geopolitycznego krajobrazu, w jakim przyszło nam dzisiaj funkcjonować w kontekście budowy suwerennego i bezpiecznego państwa oraz perspektyw, jakie nas czekają w najbliższym czasie, odniósł się minister Jacek Siewiera.

– Z pewnością w bieżącym roku będziemy obserwować wiele potencjalnych zmian i napięć, które będą wpływały na utrzymanie dotychczasowej prosperity oraz decydowały o przyszłym rozwoju państwa polskiego. Kluczowy będzie oczywiście także sposób, w jaki odpowiemy na wspomniane wcześniej zagrożenia oraz ewentualne szanse, jakie przed nami stoją – podkreślił.

Jego zdaniem istotne znaczenie będą również miały wybory na Białorusi i w Federacji Rosyjskiej, one bowiem też wpływają na pewną dynamikę prowadzenia działań wojennych czy w końcu narrację odnośnie do działań propagandowych wymierzonych w interesy naszego kraju.

– Biorąc pod uwagę skalę protestów, z którymi reżim Łukaszenki miał do czynienia przy poprzednich wyborach, możemy się spodziewać większej ostrożności ze strony władz w Mińsku. Warto też zwrócić uwagę na obecne działania militarne Rosji, mające również bezpośredni związek z przygotowaniami do wyborów. Chodzi o intensyfikację uderzeń rakietowych na Ukrainę przy wzmożonej aktywności lotnictwa dalekiego zasięgu, co ma oddziaływać także na wewnętrzną opinię publiczną. Jest to element demonstracji ze strony Putina swojej pozycji politycznej i umacniania elektoratu – dodał Jacek Siewiera.

Według niego nie możemy się więc spodziewać, że presja, którą Federacja Rosyjska wywiera aktualnie na Ukrainę, będzie w najbliższym czasie malała. Natomiast to, co jest dla nas kluczowe i o co powinien zabiegać polski rząd na arenie międzynarodowej (głównie za Atlantykiem), to możliwie jak największe wsparcie dla naszego wschodniego sąsiada.

Reklama | 34/0124/F

eprasa.pl b1262a55b7

TOTALIZATOR SPORTOWY

LOTTO

Właściciel marki LOTTO

NAJWIĘKSZY MECENAS SPORTU I KULTURY W POLSCE

PONAD 20

MILIARDÓW ZŁOTYCH

PRZEKAZANYCH NA POLSKI SPORT I KULTURĘ OD 1994 ROKU

#WygrywamyRazem

eprasa.pl b1262a55b7

– Pamiętajmy, że z przebiegiem wojny bezdyskusyjnie wiąże się przyszłość krajów Europy Centralnej. I tu warto zaznaczyć, że pomimo trwającego od dwóch lat konfliktu i ogromnej agresji, której Europa nie doświadczała od dziesięcioleci, Polska nadal jest niezwykle atrakcyjnym krajem dla inwestorów – mówił szef BBN.

Według niego do tej pory zachodni inwestorzy nie mieli też żadnych powodów, by wątpić w wiarygodność realizowanych u nas inwestycji czy bezpieczeństwo kapitału lokowanego nad Wisłą.

– Każdy inwestor lokując kapitał w konkretnym miejscu, zwłaszcza w Europie Centralnej, kieruje się uzyskaniem określonej stopy zwrotu, przy wykorzystaniu synergii z różnych projektów (w tym również zapoczątkowanych i deklarowanych przez administrację rządową). A wystarczy np. wymienić inwestycje infrastrukturalne, takie jak budowa CPK czy terminalu głębokowodnego w Świnoujściu. Jeżeli dziś inwestor dostaje informacje, które wiążą się z potencjalną redukcją zaangażowania państwa w ten obszar rozwoju logistyki, to zaczyna na nowo kalkulować ryzyko na rynku dotyczące jego własnego kapitału, co w konsekwencji może nieść za sobą wiele negatywnych decyzji biznesowych w przyszłości – mówił Jacek Siewiera.

ODPORNOŚĆ PAŃSTWA

Z kolei Marek Budzisz skupił uwagę m.in. na takich aspektach silnego państwa, jak potencjał gospodarczy czy zdolności przemysłu do produkcji odpowiedniej liczby sprzętu albo artykułów koniecznych na wypadek choćby zagrożenia militarnego.

– Niesłychanie ważna jest także kwestia społecznej odporności na wypadek kryzysu, co mogliśmy obserwować po wybuchu wojny na Ukrainie. Wojna ma to do siebie, że przeciwnik szuka słabych punktów i uderza w sposób celowy, zaplanowany i zorganizowany – mówił.

Jego zdaniem kluczowe są tutaj również kształt oraz jakość i charakter debaty publicznej w Polsce, które mogą wpływać pozytywnie lub negatywnie na wspomnianą już odporność społeczną i gotowość reagowania w sytuacjach kryzysowych. Tu odpowiedzialność spada na elity polityczne i partie parlamentarne, a także media. Jego zdaniem rząd i opinia publiczna tutaj poświęcają większą uwagę rozgrywce politycznej niż kwestiom strategicznym. W efekcie nasza gotowość do obrony i odparcia ataku z zewnątrz może być daleka od tej prezentowanej na lewym skrzydle NATO (kraje północne) czy też na prawym odcinku granicy sojuszu (gdzie dominującą rolę gra Turcja).

– Widać też, że bardzo zaawansowane zmiany w Polsce, jakich byliśmy świadkami w ostatnich miesiącach, są teraz wyhamowywane lub zaczynają być kwestionowane. To jest bardzo niebezpieczny sygnał, bowiem przeciwnik zawsze szuka takich właśnie punktów słabości – podkreślił Marek Budzisz.

PRÓBY DESTABILIZACJI

Prof. Grażyna Ancyparowicz odniosła się natomiast do zagrożeń wynikających m.in. z prób wewnętrznej destabilizacji w kraju – ataków na prezesa banku centralnego prof. Adama Glapińskiego. Pojawiły się też sygnały polityczne, sugerujące chęć pozbycia się np. narodowej waluty i tym samym przyjęcia euro, co również wiązałoby się z utratą suwerenności monetarnej i gospodarczej.

– Pamiętajmy, że potencjalne wejście do strefy euro jest obecnie możliwe tylko i wyłącznie na skutek decyzji politycznych, bowiem nie spełniamy żadnych kryteriów konwergencji nominalnej ani prawnej – podkreśliła.

Według niej wprowadzenie u nas waluty eurolandu (przy narzuconym z góry kursie) doprowadziłoby też do zapaści rodzimych przedsiębiorstw przy jednoczesnym zahamowaniu napływu bezpośrednich inwestycji z zagranicy (w tym projektów rozwojowych napędzających polską gospodarkę). Należałoby się tutaj również spodziewać uderzenia w krajowy sektor bankowy, zmuszony w takim scenariuszu do integracji z zachodnimi podmiotami.

– Jeżeli te ataki na Narodowy Bank Polski nie ustaną i dalej będzie się pojawiało zagrożenie gwałtownej zmiany na stanowisku prezesa bądź dezawuowanie osiągnięć całego zarządu, to skutecznie wystraszymy inwestorów, którzy chcą mieć stabilne warunki gospodarcze i przewidywalną sytuację w zakresie polityki monetarnej – dodała prof. Ancyparowicz.

WĘZEŁ GORDYJSKI

Prof. Konrad Raczkowski również zwrócił uwagę na szczególnie istotną kwestię wiarygodności państwa wobec inwestorów i rynków zagranicznych, w tym konieczność prowadzenia przewidywalnej polityki regulacyjnej oraz wdrożenia stabilnych przepisów prawnych

– Widzimy, że każda zmiana władzy w państwie powoduje jakieś turbulencje. Ale nierozwiązana do tej pory sytuacja prawno-polityczna jest bardzo niekorzystna dla Polski. Mamy aktualnie bardzo duże zagrożenia geopolityczne, a zajmujemy się przede wszystkim własnym podwórkiem – dodał.

Jego zdaniem politycy powinni tutaj w końcu stanąć na wyżynach i najzwyczajniej przeciąć ten węzeł gordyjski, który pojawił się w ostatnim czasie.

– Z kolei inwestorzy obdarzyli nowy rząd zaufaniem, ale przyjęli teraz pozycję wyczekiwania, obserwując, co dalej wydarzy się w najbliższym czasie. Z ich perspektywy po zmianie na scenie politycznej jeszcze *de facto* nie widać, żeby nowa władza do końca przejęła rządy. Z kolei w odniesieniu do starej władzy również trudno jednoznacznie powiedzieć, czy jeszcze rządzi, czy już nie – podkreślił prof. Konrad Raczkowski.

Według niego w tych właśnie realiach bałaganu prawnego możliwe procesy inwestycyjne nie będą następowały tak długo, aż ta cała sytuacja nie zakończy się wskazaniem, że istnieje jeden system prawny, prawo broni praw i interesów zwykłych obywateli, wspierając zdrowy rozwój przedsiębiorstw. To również – w opinii eksperta z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego – wydaje się być największą bolączką, która nas w tej chwili dotyczy, tworząc jednocześnie ogromne zamieszanie w sferze polityczno-gospodarczej.

Oprac. KP

eprasa.pl b1262a55b7

Co może łączyć „Obsesję", w której grają oscarowe gwiazdy Julianne Moore i Natalie Portman, z „Dziewczyną influencera" poza tą samą datą polskiej premiery? Naginając zasady, bohaterowie obu filmów kreują medialną rzeczywistość oraz swoją w niej rolę

W medialnym świecie

Natalie Portman w filmie „Obsesja"

Fot. Netflix

eprasa.pl b1262a55b7

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Już wiadomo, że „Obsesja", nominowana do Złotych Globów (także za kobiece kreacje), powalczy o Oscara w jednej kategorii – oryginalny scenariusz. W czym tkwi siła historii wyreżyserowanej przez Toda Haynesa, którą uwiarygadnia aktorskie trio: Natalie Portman, Julianne Moore i Charles Melton?

MIĘDZY MAJEM A GRUDNIEM

Oryginalny tytuł – „May December" – mówi o filmie wiele więcej niż jego polski odpowiednik. Między dwójką bohaterów skojarzonych z nazwami miesięcy – majem wciąż wchodzącego w dojrzałość roku, a schyłkowym, chłodnym i wykalkulowanym grudniem – rozgrywa się dramat nieprzepracowanych emocji. Zamiecionej pod dywan, nieodpokutowanej opresji, do której doszło przed laty. Sytuacji, która nie powinna była się zdarzyć, a jednak została społecznie zaakceptowana, medialnie opakowana. Jej skutki tkwią głęboko w psychice przynajmniej jednego z bohaterów. Wydobywa je pojawienie się nowej postaci.

Joe (Melton) i Gracie (Moore) tworzą, jak się wydaje, zgraną parę. Doczekali się trójki dorosłych dziś dzieci. Małżonkowie, nadal atrakcyjni dla siebie i w odbiorze otoczenia, mają kontrowersyjną przeszłość. Nim doszło do ślubu, Grace trafiła do więzienia, gdzie urodziła córkę – owoc związku z 13-latkiem, kolegą syna. Starsza o ponad dwie dekady od partnera, wtedy licząca 36 lat, mimo upływu czasu utrzymuje, że to nie ona uwiodła nieletniego, lecz została przez niego „uwiedziona". Taką narrację skutecznie prowadzi od lat, ale czy to umniejsza szkód, które wyrządziła? Nawet jeśli dorosły dziś partner nie czuje się wykorzystany? Albo też nie chce wracać do głęboko zakopanych wątpliwości? Dzieje się tak do czasu, gdy do domu pary trafia popularna aktorka.

Kadr z filmu „Dziewczyna influencera"

Fot. Kino Świat

SZLIFOWANIE POSTACI

Elizabeth Berry (Portman) ma zagrać (znaną Amerykanom) Grace w filmie, więc chce jak najgłębiej poznać bohaterkę oraz jej rodzinę. Za zgodą małżonków rozpoczyna studia nad ich relacjami i związkiem. I tu zaczyna się tworzenie (i kruszenie) obrazu świata opakowywanego od lat w tabloidowe scenografie i figury. Moore rozwija przed obserwującą ją aktorką (i widzami) cały wachlarz gestów i emocji. Z kolei Portman, czerpiąc z własnego warsztatu, daje Elizabeth narzędzia do wnikliwego przyjrzenia się i przeanalizowania zachowań Grace.

Sławomir Idziak, który był autorem zdjęć do reżyserskiego debiutu Portman – filmu „Opowieść o miłości i mroku" (2015) – zdradzał, że aktorka (osoba inteligentna, kompetentna i przenikliwa), jak przystało na absolwentkę psychologii na Harvardzie, potrafi do skutku szlifować swoje postaci. Jeśli trzeba, czerpie z materiałów źródłowych i dociera do sedna. Kolejnych bohaterek oraz ich historii. Jak w nagrodzonej Oscarem kreacji w „Czarnym łabędziu" oraz – począwszy od roli Matyldy w „Leonie zawodowcu" przez królową Amidalę w trzech częściach „Gwiezdnych wojen" czy ukochaną herosa Thora – w opowieści o Jackie Kennedy.

MAPY GWIAZD

Na planie „Obsesji" Portman stanęła naprzeciw fascynującej aktorki. Udowadniającej, że do ligi hollywoodzkich gwiazd można się przebić nawet po czterdziestce i błyszczeć w niej po sześćdziesiątce. Julianne Moore miała pięcioletniego syna, kilkumiesięczną córeczkę, a na zawodowym koncie nominacje do Oscara (za „Boogie Nights", 1997, i „Koniec romansu", 1999), gdy u boku Meryl Streep i Nicole Kidman zagrała koncertowo w filmie „Godziny" (2002). Od Srebrnego Niedźwiedzia za tę rolę zaczęła się jej aktorska passa.

Do dziś dziewięciokrotnie była nominowana do Złotych Globów. Rola w filmie „Motyl Still Alice", w którym zagrała utytułowaną profesor lingwistyki, dostrzegającą u siebie wczesne objawy Alzheimera, poza Złotym Globem przyniosła jej Oscara w 2015 r. Od tamtego czasu zagrała w blisko 25 różnorodnych gatunkowo produkcjach (począwszy od „Mapy gwiazd", 2014, przez „Igrzyska śmierci: Kosogłos", 2014–2015, „Kingsmana: Złoty Krąg", 2017, po „Glorię Bell", 2018, i „Obsesję"), nawet na drugim planie tworząc bohaterki, obok których nie sposób przejść obojętnie.

KREACJA Z DYSTANSEM

Takiej charyzmy nie mają postaci z „Dziewczyny influencera", ale i one żyją w wydmuszkowym, tworzonym na pokaz świecie. Widz poznaje go, towarzysząc Zosi, wschodzącej gwiazdce internetu (kinowy debiut Kariny Rezner). Na ekranie nie zabrakło też bardziej doświadczonych czy rozpoznawalnych aktorów (m.in. Olga Kalicka, Mateusz Banasiuk, Rafał Królikowski, Kamil Wodka).

Po raz pierwszy w dużej kinowej roli wystąpiła Joanna Koroniewska-Dowbor. Aktorka, promująca w sieci naturalność (bez wszechobecnych filtrów i programów graficznych), przyciąga do swojego profilu ponad 750 tys. obserwujących. W „Dziewczynie influencera" z dystansem zagrała mocno lansującą się fitblogerkę.

Autopromocja

eprasa.pl b1262a55b7

NOWA TELEWIZJA W POLSCE PL

W KAŻDY PIĄTEK O 12:00

OGLĄDAJ NAS

polsat box
wcześniej Cyfrowy Polsat
NA POZYCJI 196

NETIA
NA POZYCJI 192

vectra
NA POZYCJI 825

PLAY
dawniej UPC
NA POZYCJACH 339 dekoder Mediabox 121 dekodery KAON i Horizon

www.wPolsce.pl

eprasa.pl b1262a55b7

3 MIŁOŚCI

Aniołek i kaktus

ROBERT TEKIELI

Rzeczywistość jest rozszarpywana przez politykę. Coraz wyraźniej widzę, że poddanie się tym paroksyzmom, uporczywe śledzenie wejść, wyjść, zamachów na ludzkie zdrowie czy na konstytucję do niczego mnie nie prowadzi. Słyszę wezwanie, by znów zacząć robić coś, co jest warte najgłębszej uwagi, co zmienia ludzkie życie.

Gdy nachodzi mnie poczucie bezsensowności swojej pracy, przypominam sobie spotkanie sprzed lat. Do radia Józef przyszła czterdziestoparoletnia kobieta. Przyniosła mi doniczkę z kaktusem i porcelanowego aniołka. Powodem jej wizyty była jedna z moich audycji z cyklu „Pocieszenie i strapienie". Wysłuchała jej, będąc w trwającej już dwa lata depresji. Straciła córkę. Niewiele dni po tym, jak Ania zaczęła skarżyć się na silne bóle głowy, w ekspresowym trybie została skierowana na operację. Lekarze otworzyli jej czaszkę, ale już trwale nie zamknęli. Powiedzieli: to nie ma sensu, dziewczynie zostało parę dni życia. Okazało się inaczej, po dłuższym czasie Ania trafiła do Budzika. I jej matka wiele miesięcy trwała przy swoim nieprzytomnym dziecku, które, jak mi powiedziała, „leżało z mózgiem na wierzchu". Po śmierci córki kobieta położyła się do łóżka i przez dwa lata nie wstawała, mimo że miała jeszcze jedno, młodsze dziecko, również dziewczynkę. Którejś z kolejnych bezsennych nocy o 3 czy 4 nad ranem w audycji „Pocieszenie i strapienie" usłyszała historię człowieka, który, jak powiedziała, „podniósł się z tragedii większej niż moja". Rano wstała, zrobiła córce śniadanie, wyprała firanki, a potem kupiła aniołka i doniczkę z kaktusem. Bildungsroman, rzecz o wzrastaniu, katharsis, moc świadectwa.

Anita straciła narzeczonego w wypadku. Całkowicie się załamała. Wpadła w wieloletnią depresję. Wyrzucono ją z pracy. Rozwaliły się jej wszystkie relacje. Nawet z mamą, z którą mocno się kochały. Kiedy znajdowała jakieś zajęcie, nie była w stanie go utrzymać nawet parę tygodni. Jej życie było w totalnym rozkładzie. Kiedy zobaczyłem ją trzy lata po śmierci chłopaka, była w pełnej żałobie. Przez półtorej godziny rozmowy szukałem momentu, w którym mogła nieświadomie otworzyć się na działanie złego ducha. Nic nie znalazłem. Dopiero na koniec powiedziała: „A parę dni po śmierci mój narzeczony zaczął przychodzić do mnie w snach". Powiedziałem, że być może znaleźliśmy przyczynę jej tragicznego stanu. Zły duch, który przychodził pod postacią zmarłego chłopaka, nawiązał z nią relację, zdobył zaufanie. I w pewnym momencie zaczął ją namawiać do rzeczy niemoralnych. Nie mogła w to uwierzyć, chłopak, którego znała, czegoś takiego nigdy by nie zrobił. Dlatego przyszła po pomoc. Kiedy zrozumiała, co się stało, w trakcie modlitwy o uwolnienie z radością wyrzekła się tej chorej, demonicznej relacji. A kapłan w modlitwie o uwolnienie mocą Jezusa Chrystusa uwolnił ją z trzyletniej depresji. Życie Anity zmieniło się diametralnie w pięć minut. W krótkim czasie znalazła pracę, odbudowała relację z mamą. Kiedy zobaczyłem ją, jak wychodzi z kaplicy franciszkańskiego kościoła przy ul. Zakroczymskiej wyprostowana i uśmiechnięta, po raz kolejny uświadomiłem sobie słabość złego ducha. Wspominam tę historię, bo wyraziście widzę w niej odpowiedź na pytanie: jak znów mogę poczuć sens własnego działania, co robić, by pomagać Bogu zmieniać ludzkie życie? I nie próbuję się tutaj dowartościowywać nad miarę. Nie przeceniam swojego udziału w tej historii, był, jaki był. Tym bardziej że każda taka sprawa ma swoją cenę dla jej uczestników.

I kolejna sensowna rzecz: pokazywanie ludziom, jak mocno może ich skaleczyć fałszywa nadzieja, zła wiara. Wiara w nadludzką moc umysłu, wiara w cudowną moc niezwykłych przedmiotów, wiara w możliwość kreowania swej przyszłości przez manifestowanie pragnień czy tzw. pozytywne myślenie. Ta zła wiara kaleczy dziś dziesiątki, setki tysięcy osób.

Gdy ludzie czytają o sektach, oglądają filmy o uzależnieniach duchowych, wchodzą na strony poświęcone skutkom praktyk okultystycznych, magicznych czy satanistycznych, zaczynają kojarzyć swoje depresje, których nie da się leczyć farmakologicznie z wizytami u tarocistów. Zaczynają kojarzyć prześladującego ich skrajnego pecha z noszeniem pierścienia Atlantów czy pentagramu. To niesamowite, ale statystycznie nieprawdopodobną liczbę negatywnych wydarzeń w życiu może wywołać wiara w to, że kawałek metalu noszony na palcu czy na szyi może dać nam bezpieczeństwo, zdrowie czy szczęście. Zabawa w magię, fascynacja ciemną czy ekstremalnie ciężką muzyką może być przyczyną wahań nastroju dziecka, nieadekwatnych do bodźca. Pokazywać zagrożenia duchowe. Tak, to również ma sens. W ten sposób można zmienić czyjeś życie.

eprasa.pl b1262a55b7

WOJNA CYWILIZACJI

POPKULTURA

Może być Seryjny morderca, brutalna, plemienna magia śmierci, detektyw z traumą – znamy ten schemat. Co dobrego mogę powiedzieć o thrillerze ***„Rytuał śmierci"*** George'a Gallo („Zatruta róża", „Cwaniaki z Hollywood")? Po pierwsze, występuje w nim Morgan Freeman, choć nie dostał od scenarzysty możliwości pokazania choćby 10 proc. swego aktorskiego kunsztu. Cole Hauser, grając głównego bohatera, tworzy postać za pomocą bardzo grubej kreski, nie błyszczy też specjalnie Peter Stormare, którego mogliśmy zapamiętać z roli jednego z porywaczy w „Fargo". Jednak gra aktorska jest przyzwoita, akcja rozwija się logicznie, a tematyka mnie zaskoczyła. Hollywoodzki mainstream raczej wystrzega się tego typu historii. Mało kto mówi o ludziach sukcesu – biznesmenach czy menedżerach wysokiej rangi – którzy kupują krwawe rytualne usługi mające zapewnić im powodzenie w kluczowych transakcjach czy awans. Jedyny raz oglądałem na ten temat film dokumentalny, bodajże produkcji BBC, którego nigdy potem już nie znalazłem w sieci. Traktował on o weekendowych wyjazdach do Czarnej Afryki i składaniu rytualnych ofiar z dzieci ulicy, o krwawej turystyce na usługach magii. W „Rytuale śmierci" podobne rytuały ukazane zostały w sposób zaiste niehollywoodzki. Co oczywiście jest komplementem.

POPKULTURA

Może być Podobnie jest z filmem ***„Wiking"***: szamańskie rytuały, opowiedziane w mainstreamowym kinie na poważnie, demoniczna duchowość transowych wojowników pokazana bez komiksowych uproszczeń. Berserk był wojownikiem, który w bojowym transie, niewrażliwy na ból, często dokonywał nadludzkich wyczynów. Był dla wikingów „bronią" przełamania – nawet kilku berserków potrafiło w starciu setek wojowników robić różnicę. Ich bojowy trans z jednej strony jest częścią ludzkiej natury, każdy człowiek może wejść w niego w sytuacjach bezpośredniego zagrożenia życia; znamy opowieści o filigranowych kobietach zdolnych podnieść na chwilę samochód, pod który wpadło ich ukochane dziecko. Tajemnicą skandynawskich szamanów był skład ziół i intencjonalna technologia pobudzenia specyficznej chemii neurotransmiterów oraz gruczołów dokrewnych, prowadząca do bitewnego szału. Z drugiej jednak strony w ostateczności liczy się intencja.

Krew ofiar berserków była składana demonowi, a zło czyniono na jego chwałę. W ogóle duża część pogańskich rytów z całego świata była sataniczna. Oczywiście nie wszystkie. Wracając do filmu. Niestety scenariusz nie stworzył przestrzeni dla tak zacnej gromady aktorów jak zdobywczyni Złotego Globa Anya Taylor-Joy, laureatka Oskara Nicole Kidman czy równie utytułowani Alexander Skarsgård, Ethan Hawke i Willem Dafoe. Oni oczywiście grają swoje, ale nie dano im możliwości, by zabłysnąć.

W „Wikingu" może się podobać to, że ta baśń nie baśń jest opowiadana w histerycznym tempie. Jednak historia jest zbyt prosta, jedna zemsta to za mało, by przykuć widza do fotela. Wizualna strona „Wikinga" jest imponująca, jednak jak długo da się oglądać najpiękniejsze nawet krajobrazy? Film musi być o czymś; również artystowskie kino. Nie wystarczy epicki rozmach, nie wystarczy gwiazdorska obsada. Pomścić ojca, uwolnić matkę, zabić wuja – to jeszcze nie epopeja. Nie wystarczy nadać głównemu bohaterowi imię Amleth, to z reżysera nie czyni Szekspira.

POPKULTURA

No, nie wiem Obcy najeżdżają Ziemię. Ale okupanci są nam życzliwi. Nie używają przemocy. Po prostu górują nad Ziemianami technologicznie w sposób niewyobrażalny. Rozmnażają się poprzez pączkowanie, więc fascynuje ich ludzka miłość i nasze najzwyczajniejsze emocje. Obejrzyjcie państwo ***„Krajobraz z niewidzialną ręką"***. Obecność kosmitów nie czyni z tego filmu science fiction. Rzadko brakuje mi rezonu, ale tutaj kompletnie nie wiem, jak ten obraz zrozumieć czy nawet zakwalifikować. Reżyser Cory Finley nie jest debiutantem, grali u niego i Hugh Jackman, i Anya Taylor-Joy, więc o co chodzi? Jaki był reżyserski zamysł? Dramat pokolenia płatków śniegu? Gustowny trolling? W kinie to bardzo niebezpieczne. Być może oglądamy krytykę liberalnej demokracji, wtedy jednak byłaby opowiedziana skrajnie infantylnie. Nie da się stworzyć science-fiction dla młodzieży, które jednocześnie jest ekskluzywną satyrą. Tak jak nie istnieje radio dla 70+ z poradami geriatrycznymi i hip hopem. Mam nadzieję, że zainteresowałem „Krajobrazem z niewidzialną ręką" choć kilka osób, proszę obejrzeć, nie chcę zostać sam z dysonansem poznawczym.

***Robert Tekieli**, Polskie Radio*

Wychłostać Europę

Kárpátia, „Napkelettől napnyugatig", Exkluziv Music Kiadó 2023

Kárpátia to najbardziej emblematyczny z zespołów tworzących węgierską narodową scenę rockową, tzw. nemzeti rock. W Polsce to zjawisko niemające swojego odpowiednika. Gdy 50-letnia młodzież Owsiaka jedzie poudawać hipisów, Węgrzy odwiedzają festiwal Magyar Sziget, odbudowując swe dziedzictwo kulturowe. Jego stałą gwiazdą, obok Romantikus Erőszak czy Hungaricy, jest oczywiście Kárpátia, która w 2012 r. zagrała także koncert na warszawskim Ursynowie. A zorganizował go nieżyjący już poseł Artur Górski. Na kolejnej już płycie János Petrás przesyła światu komunikat o dumnych Węgrach, wnukach Hunów: „Byliśmy, jesteśmy i będziemy! Niech żyje lud Attyli!" („Hunok unokája").

„Napkelettől napnyugatig" to 14 płyta zespołu. Nostalgiczne ballady („Lement a nap") przeplatają się z rockowymi brzmieniami à la Motörhead, podlanymi skocznym, karpackim folkiem („Ahány madár annyi fészek"). Bardzo ładnie wypada też poetycka parafraza legendy o smoku z bagien Ecsed („Báthori legenda"). To kolejna już płyta, na której Madziarzy z rozrzewnieniem wspominają czasy, gdy jeźdźcy Attyli co rusz pukali do bram miast Europy, wzbudzając poczucie grozy („Kalandra fel"). Słychać, że muzycy pewnie trzymają w swych rękach instrumenty – jest żywiołowo i pomysłowo, a każdy z serwowanych 10 kawałków uderza z siłą dobrej palinki. Więc i słuchaczowi może przyjść fantazja wychłostania Berlina, Paryża czy innej Brukseli, wzorem siejącego niegdyś przerażenie *Flagellum Dei*.

Bratankowie ponosili też swoje ofiary. Jednak, jak śpiewa Petrás János, „żadne poświęcenie nie jest zbyt wielkie, jeśli celem jest wolność". „A láthatatlanok" („Niewidzialni") to nawiązanie do oddziałów partyzanckich, które po pacyfikacji powstania w Budapeszcie w 1956 r. wycofały się w góry Mecsek, w których tworzący je żołnierze, policjanci, górnicy i studenci kontynuowali walkę z sowiecką interwencją. János dostrzega też zjawisko dehumanizacji człowieka, poddanego oddziaływaniu mass mediów, konsumpcji („kierowani instynktami i pragnieniami") i pozbawianego korzeni. To nieznający przeszłości ani przyszłości „już nie człowiek, ale jeszcze nie zwierzę". Uwagę przykuwa nostalgiczne „Piros szív, fehér hó, zöld levél" Miklósa Mártonffyego wyrażające tęsknotę za Zakarpaciem, a płytę zamyka hymniczne „Dicsőség Istennek" („Chwała Bogu!"). Nie przypadkiem János otrzymał od rządu Węgierski Złoty Krzyż Zasługi.

Maciej Walaszczyk

Moniuszko religijny

Od niemal 200 lat w Wilnie ok. 16 listopada odbywa się ośmiodniowy odpust Ostrobramskiej Matki Miłosierdzia, zwany Opiekami Ostrobramskimi. Ostatniego dnia, podczas ich kulminacji, wilnianie śpiewają litanię do NMP. Wydarzenie, silnie przeżywane przez całe miasto, dla Stanisława Moniuszki stało się inspiracją do skomponowania czterech „Litanii Ostrobramskich". Choć miał na niego wpłynąć także Tomasz Zan, pisarz, poeta i przyjaciel Adama Mickiewicza ze Związku Filomatów, który ponoć zwrócił mu uwagę na niedostateczny poziom muzyczny tych nabożeństw. Wierni śpiewali po prostu sposobem psalmodycznym, tak jak zwykli to robić w czasie nabożeństw majowych. Moniuszko od razu postanowił wypełnić tę lukę. Poza niewątpliwym talentem ukończył też bardzo dobre studia w Berlinie, dzięki którym zdobył gruntowną wiedzę na temat muzyki sakralnej. Jednocześnie bliski był mu kult Matki Boskiej Ostrobramskiej, przed której wizerunkiem codziennie się modlił.

W latach 1843–1855 ojciec polskiej opery narodowej napisał więc cztery „Litanie". Nadał im zróżnicowany kształt – skomponowane na głosy solowe, chór mieszany i skromną orkiestrę, łączą formę koncertową z religijną prostotą modlitwy. O ile dwie pierwsze mają charakter religijny, o tyle trzecia jest utworem typowo koncertowym. Docelowo mieli je wykonywać raczej muzycy amatorzy, co było spowodowane restrykcjami carskich władz, które próbując degradować Wilno do roli prowincjonalnego ośrodka kulturalnego, przyczyniły się też do tego, że z miasta wyjechało wielu profesjonalnych muzyków. Dlatego po tym, jak również Moniuszko wyprowadził się z Wilna, „Litanie" były wykonywane sporadycznie, a potem częściej w salach koncertowych niż w Ostrej Bramie.

Na tej płycie, brzmiącej wspaniale pod względem wykonania, produkcji i jakości dźwięku, znajdujemy trzy z czterech „Litanii Ostrobramskich". Andrzej Szadejko, gdański specjalista od muzyki sakralnej, wraz z orkiestrą Goldberg Baroque Ensemble postanowił nagrać je z udziałem czterech solistów i niemieckiego chóru Gellert Ensemble. Po raz pierwszy grając na instrumentach historycznych. Płytę uzupełnia m.in. „Marsz żałobny", napisany w 1861 r. na śmierć Antoniego Orłowskiego, kompozytora i szkolnego kolegi Chopina. *Mater Misericordiae, ora pro nobis.*

„Moniuszko: Requiem Aeternam", Goldberg Baroque Ensemble; Gellert Ensemble; Andrzej Szadejko, MDG 2023

eprasa.pl b1262a55b7

Polityka przede wszystkim

Charles Maurras – artysta, który stworzył dzieło polityczne, polityk tworzący literaturę – jak kreśli jego postać Krzysztof Tyszka-Drozdowski

Inspirował i wywoływał gwałtowne polemiki. Przyznawali się do niego Marcel Proust, Henry de Montherlant, T.S. Eliot. Był inspiracją dla umysłów z prawicy oraz Waltera Benjamina czy Jacquesa Lacana. Twórca V Republiki gen. Charles de Gaulle był pod wpływem jego antyniemieckiego nacjonalizmu, teorii silnej władzy stabilizującej demokratyczny chaos i sam wyrósł w domu bliskim ideom Action Française. A potem obaj dosłownie stanęli naprzeciw siebie. Maurras, popierając ugodę marszałka Petaina z Niemcami, nie rozumiał roli de Gaulle'a i zapłacił za to potworną cenę. Wydany w ręce lewicowych oponentów, osądzony i umieszczony w ciężkim więzieniu, po wyjściu z którego szybko zmarł.

„Dzieło Maurrasa stanowi jedną z osi intelektualnych przedwojennej Francji" – pisze Tyszka-Drozdowski. Monografia przybliża więc poglądy człowieka, który 100 lat temu mocno oddziaływał na polityczne i umysłowe życie nad Sekwaną, choć nie odegrał w nim żadnej roli politycznej. Był autorem 147 książek i broszur, kilku tysięcy artykułów, wśród których są dzieła filozoficzne, polityczne, eseje, proza, poezje, krytyka literacka. Miał wyznać, że czuł powołanie poety, ale był zmuszony wkroczyć na teren polityki, odkrywając, jak niewiele trzeba, by „piękno obrócić w pył". Widział to w ruinach ateńskiego Partenonu, ale też porewolucyjnej Francji. Przeciwstawiał empiryzm idealizmowi, prawa naturalne nihilistycznym ideologiom, twierdził, że budowę porządku należy rozpocząć na gruncie estetyki, a potem w społeczeństwie. Klasycyzm przeciwstawiał romantyzmowi, który zwalczał zarówno w polityce, jak i w kulturze.

Dziś Maurras mógłby być jednym z patronów wszystkich rozpoznających w federalizacji UE ślad niemieckiego hegemonizmu. Krytykował rządy biurokracji („anonimowy, bezosobowy, wszechwładny, nieodpowiedzialny Cezar"), proponując decentralizację. Instytucje rozumiał jako wielkie, porządkujące rzeczywistość stałe współrzędne życia społecznego. Postulował więc restytucję monarchii, dającej rękojmię silnej władzy będącej protektorem, lecz nie dyktatorem prowincjonalnych wspólnot. Tej odnowionej Francji spajanej ideą narodową proponował nowy instytucjonalny ład, mający dać jej sprawność i siłę, dobrobyt i bezpieczeństwo. W przeciwnym razie, jak przewidywał, w Europie zapanuje uniformizacja, a ta przygotuje teren dla hegemonii, kładącej kres wolności i narodowym różnorodnościom. Francuska prawica do dziś identyfikuje unijny federalizm jako realizację planu rozbicia państw narodowych przez manipulowanie separatyzmami i narzucanie wszystkim identycznego statusu, krępowanie drobiazgowymi regulacjami, w których gąszczu rozkwitać ma władza brukselskiej centrali. To więc nic innego jak spotęgowany na skalę kontynentalną centralizm jakobinów.

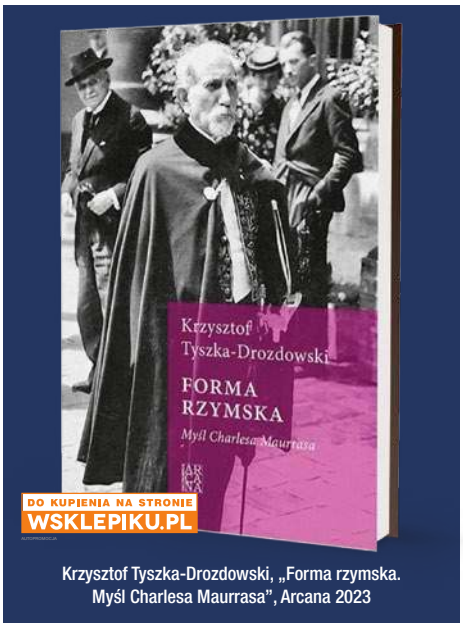

Krzysztof Tyszka-Drozdowski, „Forma rzymska. Myśl Charlesa Maurrasa", Arcana 2023

W skrajnym liberalizmie Maurras dostrzegał siłę odrywającą ludzi od wspólnoty, prowadzącą do całkowitego podporządkowania państwu, od absolutnego indywidualizmu do państwa absolutnego, od Deklaracji Praw Człowieka prosto do terroru. „Wolność bez porządku i zasad to chaos, całkowite zło" – tłumaczył. W kulcie nieograniczonej wolności, zarówno w sztuce, jak i polityce, widział przyczynę dekadencji. Demokrację uznawał za niestabilną i uzależnioną od emocji mas, podatną na podszepty „uzdrowicieli" oraz samozwańczych „cezarów". Prowadzącą do anarchizacji życia, obezwładniania państwa przez obce wpływy, podziału między partie, teatralizacji rządzenia. Twierdził, że pod naciskiem nieprzychylnych okoliczności – niestabilności opinii i pieniądza – polec musi nawet największy człowiek. „Polityka przede wszystkim" – przekonywał, podkreślając, że rządzi się ona własnymi prawami i nie jest ani częścią moralności, ani religii czy ekonomii. Maurras, choć agnostyk, w trudnych dla Kościoła czasach III Republiki wezwał katolików do powrotu do polityki. Jednak intrygi modernistów doprowadziły do tragedii ekskomuniki nałożonej na Action Française w 1926 r. i cofniętej tuż przed wybuchem wojny. Uczyniono to człowiekowi, za którego głosem wielu intelektualistów powróciło do Kościoła, a wielu młodych skierowało swoje kroki do seminariów i klasztorów.

eprasa.pl b1262a55b7

Teatr Wielki – Opera Narodowa wie, jak rozwijać młode talenty

To, jak zbudować autorytet projektu kulturalnego w ciągu zaledwie kilku lat, pokazuje przykład warszawskiej Akademii Operowej Teatru Wielkiego – Opery Narodowej. Funkcjonująca stosunkowo krótko, bo od 2011 r., Akademia Operowa jest kluczem otwierającym przed młodymi artystami, którzy dzięki niej szlifowali swoje umiejętności, drzwi największych muzycznych scen

Pod mecenatem ORLEN

Wiosną 2009 r., po spotkaniu Dyrektora Teatru Wielkiego – Opery Narodowej Waldemara Dąbrowskiego z Bernardem Foccroullem (ówczesnym dyrektorem Festiwalu Aix-en-Provence) zrodził się pomysł założenia Europejskiej Sieci Akademii Operowych (ENOA – European Network of Opera Academies), co jednocześnie dało impuls do stworzenia Programu Kształcenia Młodych Talentów Akademia Operowa – nakreśla historię projektu Beata Klatka, dyrektor Międzynarodowego Konkursu Wokalnego im. Stanisława Moniuszki oraz kierownik Akademii Operowej Teatru Wielkiego – Opery Narodowej. Akademia Operowa rozpoczęła działalność w 2011 r., chociaż pilotażowe warsztaty odbyły się już w grudniu 2010 r. Jest to jedyny w Polsce pomostowy program wspierania rozwoju młodych talentów sztuki operowej w okresie pomiędzy kształceniem akademickim a karierą zawodową – przede wszystkim śpiewaków i pianistów, ale również dyrygentów, kompozytorów i reżyserów operowych. Młodzi artyści doskonalą swoje umiejętności pod opieką znakomitych pedagogów i artystów sceny operowej – śpiewaków, pianistów-korepetytorów, reżyserów, dyrygentów, lingwistów i specjalistów od technik psychofizycznych.

Inscenizowany koncert Portrety intymne, Sale Redutowe im. F. Chopina, 12.12.2023 r. Reżyseria: Ilona Molka, Ewa Rucińska; dramaturgia: Ewa Rucińska; wykonawcy: śpiewacy i pianiści Akademii Operowej

– Działalność Akademii Operowej to m.in. regularnie organizowane warsztaty i kursy mistrzowskie, indywidualne konsultacje wokalne, pianistyczne, aktorskie i językowe, stała opieka merytoryczna, koncerty i angaże w Operze Narodowej oraz innych instytucjach kultury w kraju i za granicą, a także możliwości nawiązania kontaktów i zaistnienia w międzynarodowym środowisku muzycznym – mówi Beata Klatka.

MISTRZOWIE KSZTAŁCĄ NASTĘPCÓW

Jak podkreśla miłośniczka i znawczyni opery, a także obserwatorka Akademii Operowej od momentu jej powstania Alina Ert-Eberdt, lista wybitnych pedagogów warszawskiej Akademii Operowej niewątpliwie robi ogromne wrażenie.

W gronie stałych pedagogów Akademii znaleźli się wybitni artyści i autorytety sztuki operowej: Izabella Kłosińska, Olga Pasiecznik, Eytan Pessen (2013–2020) i Matthias Rexroth (2014–2020). Ostatnio dołączyło do nich troje młodych pianistów – coachów wokalnych: Katelan Trần Terrell, Sophia Muñoz i Michał Biel. Wszyscy troje są absolwentami nowojorskiej Juilliard School of Music, Michał Biel jest również absolwentem Akademii Operowej i pianistą stale współpracującym i koncertującym z innym absolwentem AO – Jakubem Józefem Orlińskim.

Gościnnie warsztaty Akademii Operowej prowadziło wielu wybitnych śpiewaków i pedagogów śpiewu z Polski i zagranicy.

– Po latach działalności możemy poszczycić się licznymi osiągnięciami – sukcesami naszych absolwentów na scenach operowych w kraju i za granicą, wśród których wymienić należy młode gwiazdy światowej wokalistyki: Jakuba Józefa Orlińskiego – kontratenora, jednego z najbardziej charyzmatycznych wykonawców muzyki barokowej,

Artykuł sponsorowany | 29/0124/F

eprasa.pl b1262a55b7

Krzysztofa Bączyka – basa, znanego już publiczności Opery Paryskiej, Nowojorskiej Metropolitan Opera i Salzburger Festspiele oraz Andrzeja Filończyka – barytona, laureata Nagrody dla Najlepszego Młodego Śpiewaka OPERA AWARDS 2023. Bacznie obserwujemy rozwój karier młodszych absolwentów i adeptów Akademii Operowej. Mamy nadzieję, że rozwiną szeroko skrzydła w operowych przestworzach, lecz będziemy się cieszyć ich powrotami na scenę Teatru Wielkiego – Opery Narodowej – dodaje dyrektor Beata Klatka.

Miłośnicy opery i osoby ciekawe tego, jakie talenty szlifuje Akademia, będą miały okazję przekonać się o tym już niedługo.

– W lutym br. zapraszamy na dwa koncerty Akademii, które odbędą się w Salach Redutowych Teatru Wielkiego: 4 lutego koncert organizowany we współpracy z Ambasadą Irlandii z okazji Dnia św. Brygidy z Irlandii (https://teatrwielki.pl/repertuar/kalendarium/2023-2024/saint-brigid-of-ireland--songs-of-celebration/termin/2024-02-04_19-00/) oraz 24 lutego inscenizowany koncert Portrety intymne (https://teatrwielki.pl/repertuar/kalendarium/2023-2024/portrety--intymne/termin/2024-02-24_18-00/), sceniczną fantazję wykreowaną przez Ewę Rucińską (reżyser i dramaturg) i Ilonę Molkę (choreograf i reżyser) wokół repertuaru niemieckich pieśni romantycznych autorstwa Brahmsa, Schuberta i Schumanna – zaprasza Beata Klatka.

SUKCES AKADEMII PRZEKŁADANY NA BALET

Od tego sezonu artystycznego pilotażowo realizowany jest również nowy projekt, który wspiera młodych twórców baletowych.

„Nowa inicjatywa Polskiego Baletu Narodowego jest próbą wypełnienia luki powstałej pomiędzy owocami pracy szkół baletowych a oczekiwaniami ilościowymi i jakościowymi naszych scen teatralnych. Dlatego tworzymy przy zespole baletowym Teatru Wielkiego – Opery Narodowej dziesięcioosobową grupę juniorów, której członkowie będą przez rok, dwa pracowali na oddzielnych zasadach, szlifując swój warsztat techniczny i artystyczny w celu osiągnięcia kwalifikacji niezbędnych dla ewentualnego podjęcia regularnej pracy w PBN lub innym polskim zespole baletowym" – czytamy na stronie internetowej Teatru Wielkiego w Warszawie.

Wybrani już juniorzy, głównie wychowankowie polskich szkół baletowych, w trakcie uczestnictwa w projekcie otrzymują specjalną opiekę pedagogiczną doświadczonych artystów PBN. Uczestniczą w warsztatach mistrzowskich, prowadzonych przez zaproszonych baletmistrzów zagranicznych, występują w poświęconych im programach artystycznych na scenie kameralnej Teatru Wielkiego – Opery Narodowej, w codziennych zajęciach całego PBN oraz przedstawieniach baletowych teatru. W miarę upływu czasu dostają szansę dołączenia do zespołu PBN lub z dodatkowym doświadczeniem będą się starać o angaż w innych teatrach.

Skład osobowy grupy PBN Junior na sezon 2023/2024 to: Maria Grzymała, Julia Skubis, Paweł Dobrzyński i Cezary Szlachta – absolwenci Ogólnokształcącej Szkoły Baletowej im. Romana Turczynowicza w Warszawie; Weronika Gałązka i Maciej Duda z OSB im. Janiny Jarzynówny-Sobczak w Gdańsku; Kamila Lechowska i Mikołaj Spiżewski z OSB im. Feliksa Parnella w Łodzi; Łucja Ulbrych, która uczyła się w szkołach baletowych Warszawy i Gdańska, ale zakończyła szkolenie w prywatnej Szkole Tańca i Baletu „Piruecik" w Warszawie; wreszcie ich włoski rówieśnik Roberto Olivieri – absolwent Szkoły Baletowej Opery Rzymskiej.

Na co dzień młodzi tancerze pracują pod opieką pedagogiczną wieloletniej solistki Iriny Wasilewskiej i pierwszego tancerza Dawida Trzensimiecha, który po bytomskiej szkole doskonalił swój warsztat w londyńskiej Royal Ballet School, a potem przez kilka lat występował z Royal Ballet. Kadrę szkoleniową uzupełniają także inne wybitne postacie, takie jak Natalia Hoffmann, była solistka Het Nationale Ballet, a obecnie pedagog tańca Akademii Baletu w Wyższej Szkole Muzyki i Teatru w Monachium, a także Rafael Sady, były solista szwedzkiego zespołu Cullberg Ballet, gdzie był także repetytorem baletów Matsa Eka, oraz kolejni pedagodzy zagraniczni, np. David Makhatelli, były pierwszy tancerz Royal Ballet. Pierwszą pracą zespołową juniorskiego baletu były dwa wieczory baletowe na scenie kameralnej pod hasłem „Juvenalia", których premiera odbyła się już 24 listopada ub.r., a więc zaledwie trzy miesiące po inauguracji szkolenia.

Obydwa te istotne dla młodych pokoleń artystów projekty zostały wsparte przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz ORLEN, który jest mecenasem Teatru Wielkiego – Opery Narodowej i partnerem Akademii Operowej.

PARTNER DODATKU

ORLEN

Fot. Kinga Karpati & Daniel Zarewicz

eprasa.pl b1262a55b7

Nowa odsłona Alior Mobile jest już dostępna dla klientów Alior Banku

Zgodnie ze swoją strategią rozwoju Alior Bank stawia na wzmocnienie zdalnych kanałów obsługi. Jednym z działań w kierunku maksymalnej personalizacji rozwiązań dla klientów indywidualnych jest aktualizacja aplikacji mobilnej Alior Mobile

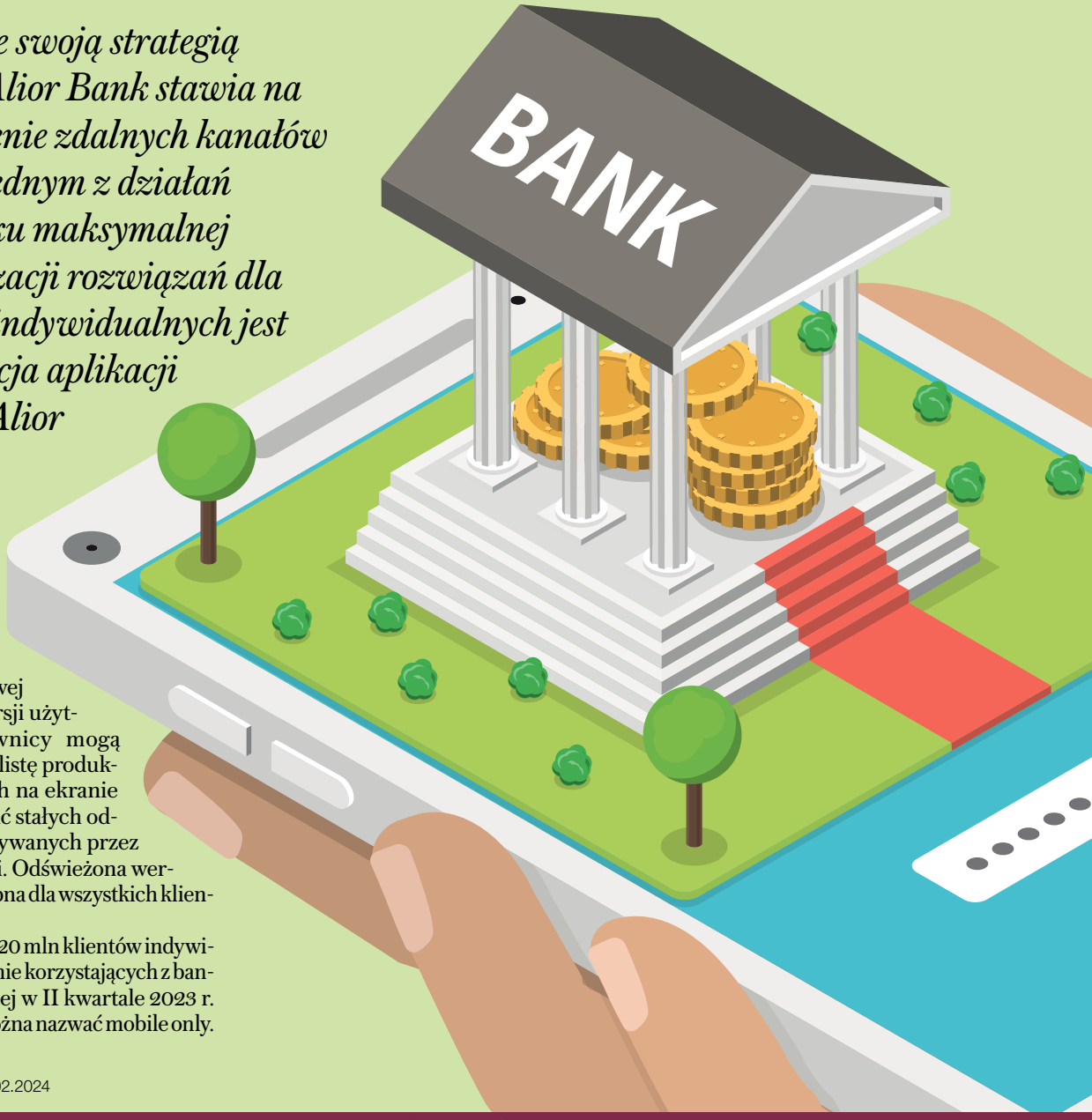

W nowej wersji użytkownicy mogą m.in. edytować listę produktów widocznych na ekranie głównym i dodać stałych odbiorców wykonywanych przez siebie transakcji. Odświeżona wersja jest już dostępna dla wszystkich klientów banku.

Wśród ponad 20 mln klientów indywidualnych aktywnie korzystających z bankowości mobilnej w II kwartale 2023 r. ponad 14 mln można nazwać mobile only.

eprasa.pl b1262a55b7

Oznacza to, że 70 proc. użytkowników loguje się przynajmniej raz w miesiącu do aplikacji mobilnej, ale w ogóle nie korzysta z bankowości internetowej. To właśnie z myślą o nich aplikacja mobilna Alior Banku przeszła kolejne zmiany.

– W czerwcu br. Alior Mobile został nagrodzony w kategorii Best Mobile Banking App konkursu The Digital Banker. Kapituła doceniła przede wszystkim nasze innowacyjne usługi, w tym Alior Pay i Moje Rachunki, a także wdrożenie wielu nowych inicjatyw i ulepszeń do już istniejących rozwiązań w aplikacji mobilnej. Jej kolejne aktualizacje są dowodem na to, że nie spoczywamy na laurach. Zgodnie z naszą strategią chcemy dalej rozszerzać wachlarz usług dostępnych w Alior Mobile. Wszystko po to, by ułatwiać klientom codzienne bankowanie – mówi Wojciech Dubiel, dyrektor Działu Produktu Alior Mobile w Alior Banku.

Jedną z wprowadzonych zmian jest możliwość decydowania przez użytkownika o tym, jakie produkty i w jakiej kolejności będą widniały na ekranie głównym jego aplikacji. Klient może zrobić to z poziomu zakładki „Wygląd" w opcji „Widok produktów na pulpicie". Ekran dostosowania widoku składa się z trzech sekcji. Pierwszą z nich jest „Produkt główny", drugi to „Pozostałe produkty", których liczbę i kolejność można ustalić według własnych preferencji, a trzeci segment to „Ukryte produkty", które nie będą widoczne na ekranie głównym. Przenoszenie elementów pomiędzy sekcjami odbywa się za pomocą symboli „+" oraz „-", a ustawienie ich w odpowiedniej kolejności jest możliwe dzięki opcji przeciągania i upuszczania poszczególnych elementów.

W nowej wersji aplikacji są dwie zakładki produktowe, „Moje produkty" oraz „Moje karty". Każda z nich zostanie podzielona na odpowiednie segmenty. W przypadku sekcji produktowej będą to „Rachunki" (ROR PLN, ROR walutowe, konta oszczędnościowe), „Lokaty", „Produkty kredytowe" (pożyczki gotówkowe i konsolidacyjne, kredyty ratalne, kredyty hipoteczne oraz Alior Pay), „Otwarta bankowość" oraz „Produkty inwestycyjne" (produkty Biura Maklerskiego Alior Banku). W zakładce z kartami użytkownik znajdzie „Karty do konta" (debetowe) oraz „Karty kredytowe". Kliknięcie w kafel danego produktu przekieruje użytkownika do jego szczegółów.

Nowością jest również sekcja „Zapisani odbiorcy" dostępna na pulpicie oraz w zakładce „Płatności i usługi". Daje ona możliwość szybkiego przejścia do wykonania transakcji płatniczej na wskazane konto bankowe. Opcja obejmuje odbiorców przelewu krajowego, podatkowego, doładowania i przelewu zagranicznego czy walutowego. Wybrane profile można przypiąć do ekranu głównego i zarządzać ich kolejnością w taki sam sposób, jak w przypadku listy widocznych produktów – korzystając z symboli „+" i „-" oraz opcji przeciągania i upuszczania poszczególnych elementów. Na pulpicie można umieścić maks. 20 odbiorców, a kolejni będą prezentowani w sekcji „Pozostali odbiorcy".

Aby dodać nowego członka do listy, należy podczas wykonywania przelewu z aplikacji, po uzupełnieniu danych odbiorcy, wybrać „Dodatkowe opcje" i zaznaczyć pole „Dodaj do listy odbiorców", a następnie wpisać jego nazwę i nacisnąć przycisk „Dalej". Po sfinalizowaniu transakcji na ekranie głównym aplikacji pojawi się informacja o wykonanej płatności oraz o tym, czy odbiorca został dodany do listy zapisanych. Dodatkowo użytkownik w każdej chwili może rozszerzyć listę zapisanych odbiorców dla opcji przelewu krajowego z poziomu zakładek „Płatności" i „Usługi" oraz odpowiedniego widżetu na pulpicie. Użytkownik musi uzupełnić dane i nazwę nowego członka listy, a następnie potwierdzić operację PIN. Z poziomu szczegółów wykonanego przelewu można także usunąć wskazany profil z zapisanych.

Odświeżona wersja aplikacji została udostępniona wszystkim klientom banku w styczniu br.

Fot. Shutterstock

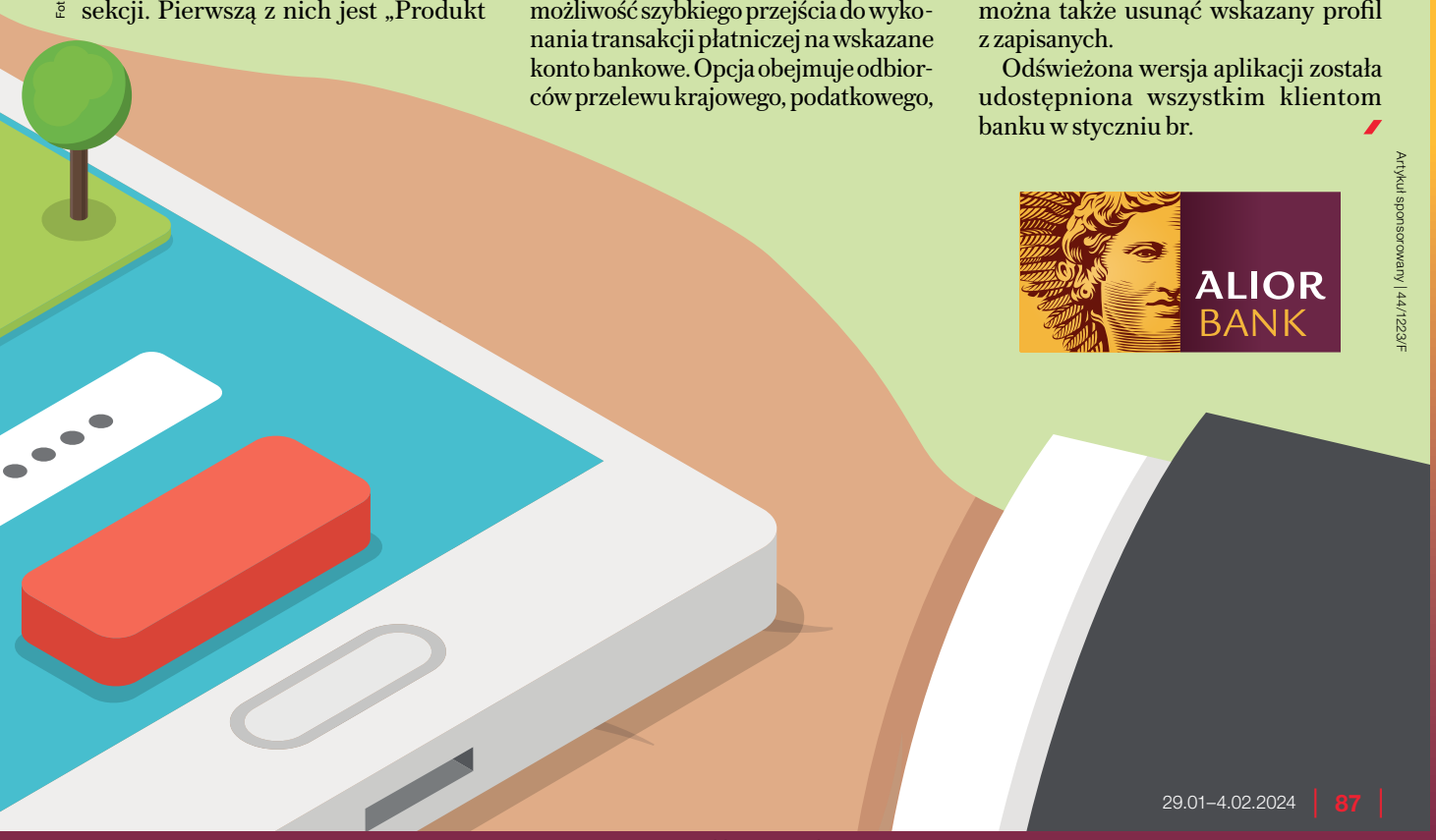

ALIOR BANK

Artykuł sponsorowany | 44/1223/F

eprasa.pl b1262a55b7

Społeczna odpowiedzialność biznesu w ORLEN

Sięgając coraz dalej, dbają o korzenie

Ekspansja największego polskiego koncernu na światowych rynkach sprawia, że logo przedstawiające białą głowę orła na czerwonym tle jest coraz lepiej rozpoznawalne na całym świecie

W połowie ub.r. ORLEN miał już 3157 stacji paliw, z czego aż 1238 na rynkach zagranicznych, głównie na Litwie, Węgrzech, w Niemczech, Czechach i na Słowacji, a dodatkowo stał się trzecim pod względem udziałów graczem na rynku detalicznym w Austrii, nabywając w tym kraju 268 stacji pod marką Turmöl, które z czasem przejdą zapewne orlenowski rebranding. Omawiając tak dynamiczną ekspansję, warto zauważyć, że koncern nie zapomina o swoich korzeniach, o swoim mazowieckim mateczniku, a mieszkańcy Płocka i przyległych powiatów cały czas żyją ze świadomością, że to tutaj bije serce tego wielkiego biznesowego przedsięwzięcia.

Obszar społecznej odpowiedzialność biznesu (CSR) w przypadku tak dużego podmiotu jak ORLEN składa się z tysięcy inicjatyw i nie sposób wymienić je wszystkie w krótkim, prasowym tekście. Przyjrzymy się jednak, co rzadko się dzieje w prasie krajowej, jak na lokalizacji głównej rafinerii ORLEN w Płocku korzystają mieszkańcy miasta i regionu płockiego.

SKĄPANI W ŚWIATŁACH

Okres bożonarodzeniowy to w wielu polskich miastach czas ekspozycji przepięknych świetlnych iluminacji. Choć konkurencja jest w tej materii coraz większa, to Płock, dzięki organizowanym od kilku już lat akcjom „Święta z ORLEN-em", ma jedną z najpiękniejszych świetlnych dekoracji na Boże Narodzenie. Świetlne ogrody zawsze powstają w samym sercu miasta, bo i sceneria jest tam wyjątkowa, a tworzy ją 900-letnia katedra, zamek książąt mazowieckich oraz przepiękny widok na Wisłę. Sława świetlnych ogrodów dawno przekroczyła granice Płocka, a do miasta zjeżdżają turyści z odległych zakątków Polski, by nacieszyć oczy tym urzekającym widokiem. Ekspozycji świetlnej co roku towarzyszy wiele innych atrakcji, takich jak konkursy plastyczne czy koncerty, ale to nadal tylko jeden z elementów „Świąt z ORLEN-em" w Płocku.

WYJĄTKOWY KIERMASZ

Na uwagę zasługuje coraz większy z roku na rok Świąteczny Kiermasz Bożonarodzeniowy, który odbywa się w Centrum Administracji ORLEN przy ul. Chemików w Płocku. Swoje prace oferują na nim

Artykuł sponsorowany | 32/0124/F

eprasa.pl b1262a55b7

mieszkańcy Domów Pomocy Społecznej oraz Warsztatów Terapii Zajęciowej z okolic Płocka. Podczas kiermaszu stoły uginają się pod kolorowymi, migoczącymi ozdobami choinkowymi, drewnianymi aniołami, stroikami wykonanymi z gałązek świerka, a także wyrobami z ceramiki, wełnianymi ciepłymi skarpetami, opaskami czy magnesami na lodówki w formie uroczych skrzatów. To oferta skierowana głównie do pracowników ORLEN, którzy, nabywając te samodzielnie stworzone ozdoby, wspomagają podopiecznych wymienionych ośrodków. Z roku na rok przybywa zarówno wystawców, jak i zainteresowanych klientów; tworzy to wyjątkową atmosferę, pełną świątecznego uroku. Biuro Zarządzania Relacjami Społecznymi ORLEN informuje, że zgłasza się coraz więcej placówek chętnych do udziału w kiermaszu, co świadczy o rosnącym zainteresowaniu i wsparciu dla osób z niepełnosprawnościami.

WYKUPILI WSZYSTKO W GODZINĘ

Niezwykle popularne okazały się aniołki na stoisku Domu Pomocy Społecznej w Koszelewie, zdobywając nawet uznanie czytelników „Tygodnika Płockiego". Dyrektor placówki Marzena Jakubowska podkreśla różnorodność ich oferty, obejmującą aniołki w różnych formach i kolorach. Podobną popularnością cieszyły się także piękne choinki, będące hitem DPS, wymagające wielu godzin pracy. Klienci chętnie sięgali po te ozdoby, gwarantujące świąteczny blask w domach.

Na kiermaszu można było znaleźć także wyjątkowe prace innych placówek, takie jak figurki, bałwanki, mikołajki i choinki, przywiezione przez DPS w Goślicach, czy ozdoby z naturalnych materiałów prezentowane przez DPS w Miszewie Murowanym. Drewniane ozdoby z Brwilna zdobyły uznanie ze względu na swoją oryginalność. Stworzone z drewna sojowego świeczki, tworzące piękne formy świąteczne, również były popularne. Wartością dodaną kiermaszu jest nie tylko możliwość zakupu pięknych ozdób, lecz także wspieranie placówek opiekuńczych. Dochód ze sprzedaży jest przeznaczany na działalność statutową Warsztatów Terapii Zajęciowej, przyczyniając się do integracji społecznej i rozwijania artystycznego potencjału mieszkańców. Świąteczny Kiermasz Bożonarodzeniowy dla pracowników ORLEN nie tylko tworzy atmosferę świąt, lecz także integruje społeczność i daje szansę osób niepełnosprawnych na zaprezentowanie swoich talentów. To wydarzenie cieszy się ogromnym zainteresowaniem, kreując magiczny nastrój świąt i ukazując piękno tworzonych przez mieszkańców Domów Pomocy Społecznej dzieł sztuki. Wspólnota rodząca się podczas kiermaszu jest niezwykle cenna, co sprawia, że to wydarzenie staje się nieodłączną częścią świątecznych przygotowań. Warto dodać, że tegoroczna oferta kiermaszu, choć wyjątkowo bogata, została wykupiona przez pracowników ORLEN w ciągu godziny! Kolejny kiermasz w budynku przy ul. Chemików już przed Wielkanocą.

LATO TEŻ PEŁNE ATRAKCJI

Warto bowiem podkreślić, że oferta ORLEN dla mieszkańców Płocka nie ogranicza się jedynie do sezonu zimowego, a wiele inicjatyw jest realizowanych przez cały rok. W tym miejscu warto przypomnieć chociażby akcje pozwalające zorganizować „najlepsze wakacje w życiu" dla wielu dzieci z Płocka i sąsiednich gmin. W lipcu Szkoła Podstawowa z Oddziałami Integracyjnymi nr 23 im. Armii Krajowej w Płocku ponownie gościła „Wakacje Kulturalne z ORLEN-em", zorganizowane przez Stowarzyszenie Edukacji Kulturalno-Artystycznej i Nauki, a sponsorowane w całość przez koncern. Dwa tygodniowe turnusy półkolonii artystycznych przyciągnęły łącznie 240 dzieci z Płocka i sąsiednich gmin. Podzielone na piętnastoosobowe grupy dzieci uczestniczyły w różnorodnych warsztatach artystycznych, obejmujących muzykę, plastykę, teatr, film, taniec oraz wiele innych dziedzin sztuki. Roman Kusy, koordynator projektu „Wakacje Kulturalne z ORLEN-em", podkreślił otwartość na uczestnictwo dzieci z różnych szkół i miejscowości, co sprzyja integracji między nimi.

Inny letni projekt, „Wakacje Sportowe z ORLEN-em", przyniósł dzieciom i młodzieży z Płocka oraz okolic wiele emocji i radości związanej z aktywnym wypoczynkiem. W sumie 320 uczestników brało udział w dwóch tygodniowych turnusach, uczestnicząc w różnych grach, zabawach oraz zajęciach sportowych. Klub Stoczniowiec Płock był głównym organizatorem, a ORLEN sponsorem „Wakacji Sportowych". Projekt ten cieszy się dużym zainteresowaniem, a zapisy zakończyły się już w pierwszym dniu naboru.

W sezonie wakacyjnym ORLEN dba także o bezpieczny i udany wypoczynek na popularnej plaży Patelnia w Grabinie nad Jeziorem Górskim koło Płocka. Co najmniej trzech, a w dni słoneczne i weekendy nawet czterech czy pięciu ratowników wodnych czuwa tam nad bezpieczeństwem kąpiących się. Dla ich wsparcia przygotowano łódź motorową, specjalnie dostosowaną do działań na kąpielisku, a także sprzęt nurkowy na wypadek konieczności przeszukiwania jeziora. Ratownicy prowadzą także patrole wokół brzegów Jeziora Górskiego, obejmując również miejsca poza strzeżonym kąpieliskiem.

Inicjatywa ta, finansowana przez ORLEN, ma na celu zapewnienie bezpiecznego wypoczynku nad kąpieliskiem w Grabinie. Plaża Patelnia została wybrana ze względu na jej popularność wśród mieszkańców Płocka i okolicznych miejscowości.

Fot. Materiały prasowe Orlen, Shutterstock

PARTNER DODATKU

eprasa.pl b1262a55b7

PolSKI Turniej. Najlepsi skoczkowie świata skakali w Polsce

Szczyrk czy Dubaj?
A może jedno i drugie...

Gorące uczucia, które polscy kibice żywią do skoków narciarskich, to coś zdecydowanie głębszego i poważniejszego niż tylko czasowe zauroczenie, przybierające na sile w momentach największych sukcesów sportowych. Rozegrany po raz pierwszy w historii cykl konkursów nazwany PolSKIm Turniejem pokazał, że Polacy zapełniają trybuny przy zeskokach, nawet gdy nasi reprezentanci nie walczą o miejsca na podium. Choć ten fenomen zauważa i docenia dyrektor Pucharu Świata w skokach Włoch Sandro Pertile, to już zapowiedział, że taka formuła zawodów w sezonie 2024/2025 się nie odbędzie

Rywalizacja w skokach narciarskich w sezonie zimowym z pewnością jedynie by zyskała, gdyby PolSKI Turniej stał się imprezą cykliczną, coroczną, jaką jest Turniej Czterech Skoczni czy też tzw. Turniej Nordycki „Raw Air". Co ciekawe, taki pomysł na organizację sezonu PŚ w skokach miał jego poprzedni szef, Austriak Walter Hofer, który piastował tę funkcję przez 28 lat (1992–2020). Widział on szansę na uatrakcyjnienie rywalizacji poprzez podział sezonu na kilka cykli, z których każdy miałby rangę turnieju i oprócz klasyfikacji generalnej PŚ podlegałby osobnemu rankingowi z oddzielnymi nagrodami dla zwycięzców. Taka organizacja sezonu nie tylko dodawałaby więcej smaku rywalizacji skoczków, lecz także byłaby sporym ułatwieniem logistycznym dla wszystkich ekip i ograniczała koszty startów. Wynikałoby to po prostu ze zgrupowania zawodów w jednym regionie Europy, bez konieczności dalszych podróży co kilka dni. Następca Hofera na stanowisku dyrektora cyklu PŚ Włoch Sandro Pertile ma inną koncepcję – chciałby on poszerzać listę krajów, w których byłyby organizowane konkursy w taki sposób, by szukać nowych fanów dla dyscypliny. Wiadomo, że największym marzeniem Włocha jest organizacja konkursu skoków w hali w Dubaju. Zanim jednak szejkowie zbudują skocznie narciarską na gorącej pustyni pod dachem, wróćmy do podsumowania polskich zawodów.

WIATR ZEPSUŁ ŚWIĘTO

Do mekki polskich skoków, czyli Wielkiej Krokwi w Zakopanem oraz znanej już znakomicie fanom skoków na całym świecie skoczni im. Adama Małysza w Wiśle dołączył w tym roku Szczyrk, dla którego miał to być pierwszy historyczny konkurs rangi Pucharu Świata na skoczni Skalite. Niestety, po 40 skokach zbyt silny wiatr wymusił odwołanie zawodów. Żal był tym większy, że w momencie przerwania imprezy na pierwszym miejscu był sklasyfikowany Dawid Kubacki. Mimo to Szczyrk także zdążył pokazać się światowej publiczności skoków i oznaczyć się jako nowe miejsce w kalendarzu Pucharu Świata.

– Szkoda , że konkurs w Szczyrku się nie odbył, ale jednak pewne skoki się odbyły. Kibice mogli przeżyć jakieś emocje, transmisja poszła w świat, także Szczyrk poniekąd zaistniał. No i mam nadzieję, że w przyszłości te turnieje będą kontynuowane. Czas pokaże, czy zmieni się forma, czy będzie dalej tak samo – mówił po zawodach na skoczni Skalite Kamil Stoch dla serwisu skijumping.pl.

– Podoba mi się PolSKI Turniej, myślę, że była to ciekawa rywalizacja na obiektach, które dobrze znamy. Oczywiście byłoby lepiej, gdybyśmy zajęli wyższe miejsce niż piąte. Mam nadzieję, że dokonamy tego w przyszłym roku. Wielka szkoda, że nie udało się zorganizować zawodów

Artykuł sponsorowany | 26/0124/F

eprasa.pl b1262a55b7

w Szczyrku. Była tam niezła publiczność i jest trochę smutno, że opuściliśmy to miasto bez żadnego konkursu. To był dobry turniej – dodał Norweg Halvor Egner Granerud, najlepszy skoczek sezonu 2022/2023 w rozmowie z Interią Sport.

MAŁYSZ BĘDZIE WALCZYŁ

Starania o jak najszybsze powtórzenie rywalizacji w formule PolSKIego Turnieju w kalendarzu PŚ zapowiedział już prezes Polskiego Związku Narciarskiego Adam Małysz. Niestety Sandro Pertile już zdążył ogłosić, że nie stanie się to w przyszłym sezonie, gdyż konkursy w Zakopanem i Wiśle zostaną rozdzielone. Pechowy Szczyrk będzie także musiał poczekać na kolejną szansę w PŚ.

– Na przyszły sezon mamy już inne plany. W kalendarzu znajdzie się miejsce dla Wisły i Zakopanego, ale w różnych częściach sezonu. Jesteśmy zadowoleni z organizacji turnieju. Po raz pierwszy takie zawody gościły w Polsce i zainteresowanie było bardzo duże. Polscy fani to eksperci w skokach i kolejny raz to udowodnili. Pomimo trudnego sezonu dla Biało-Czerwonych przyszli i wspierali zarówno swoich, jak i zagranicznych skoczków – wykazał się kurtuazją Sandro Pertile, komentując PolSKI Turniej dla serwisu sportowefakty.pl.

Cóż, polskim kibicom zostaje liczyć na to, że w kolejnych latach PolSKI Turniej jednak wejdzie na stałe do kalendarza Pucharu Świata. Jeśli chodzi bowiem o stronę organizacyjną, to wszystkie konkursy były przygotowane bardzo dobrze i FIS (Międzynarodowa Federacja Narciarska i Snowboardowa) powinna to oczywiście docenić. Polscy działacze podnoszą też, że skoro Polska i tak ma zarezerwowane dwa weekendy w sezonie z uwagi na konkursy w Wiśle i Zakopanem, to dodatkowa organizacja konkursu w środku tygodnia w położonym tuż obok Wisły i Szczyrku niewiele by zmieniła w harmonogramie cyklu.

Imponująca jak na standardy płacowe obowiązujące w świecie skoków narciarskich była także nagroda za zwycięstwo w PolSKIm Turnieju, wynosząca aż 50 tys. euro do podziału dla zwycięskiej reprezentacji. Tutaj niespodzianki nie było, gdyż nagrodę zdobyli Austriacy, których lider Stefan Kraft zdominował rywalizację w obecnym sezonie. W tym miejscu warto podkreślić, że PolSKI Turniej wprowadził pewną nowość, gdyż o zwycięstwo w nim walczyły drużyny, a nie jak w przypadku TCS czy Raw Air zawodnicy indywidualnie. Liczył się łączny wynik danego kraju, na który w konkursach indywidualnych składali się swoimi punktami dwaj najwyżej sklasyfikowani jego reprezentanci. Polacy zajęli w tych zawodach szóste miejsce, co z pewnością nie jest wynikiem na miarę oczekiwań naszych kibiców, ale...

...JEDEN SKOK MOŻE ZMIENIĆ WSZYSTKO

Pamiętajmy, że skoki narciarskie to dyscyplina sportu, która potrafi zaskakiwać. Rzadko bywa tak, by skoczkowie utrzymywali się w najwyższej formie przez cały sezon zimowy i zazwyczaj inni zawodnicy zajmują czołowe miejsca w grudniu, a inni np. w lutym. Dodatkowo czasem wystarczy jeden naprawdę udany skok, drobiazg poprawiony w pozycji dojazdowej, co jest zupełnie nieuchwytne dla oka kibica, by odmienić skoki i cały sezon. W przypadku tak doświadczonych sportowców jak Kamil Stoch, Piotr Żyła, Dawid Kubacki, Maciej Kot i Aleksander Zniszczoł taka odmiana nie będzie żadnym zaskoczeniem.

TALENTY SĄ...

Gdy zamykaliśmy ten numer tygodnika „Sieci", na skoczni mamuciej Kulm w austriackim Bad Mitterndorf nasza kadra odliczała już minuty do startu w mistrzostwach świata w lotach. To akurat zawody, których żaden z naszych skoczków nigdy nie wygrał, a jedyne medale w konkursach indywidualnych wywalczyli Piotr Fijas, który był trzeci w 1979 r. w Planicy i Kamil Stoch, który zdobył wicemistrzostwo w 2018 r. w Oberstdorfie. W konkursach drużynowych nasza kadra wywalczyła dwa brązowe medale we wspomnianym 2018 r. i dwa lata później w Planicy.

Na Kulm selekcjoner polskiej kadry Thomas Thurnbichler zabrał głównie doświadczonych skoczków: Kamila Stocha, Dawida Kubackiego, Piotra Żyłę, Aleksandra Zniszczoła i Pawła Wąska, ale warto śledzić, jak radzą sobie ich następcy. Tu na uwagę na pewno zasługuje brązowy medal wielkiego polskiego talentu Łukasza Łukaszczyka, zdobyty w czasie Zimowych Igrzysk Olimpijskich Młodzieży 2024 w Korei Południowej. 16-latek z klubu Wisła Zakopane odniósłby pewne zwycięstwo, gdyby nie upadł przy lądowaniu w drugim skoku. Wywalczenie miejsca na podium mimo upadku świadczy jednak o wielkim potencjale młodego skoczka. Na koniec warto przypomnieć, że umowa sponsorska wiążąca PZN z największą polską firmą, jaką jest ORLEN, sprawia, że nasi skoczkowie, alpejczycy czy snowboardziści zawsze mają zapewnione najlepsze warunki do treningów. Wszystko zatem w rękach i nogach trenerów oraz sportowców.

PARTNER DODATKU

ORLEN

Fot. Tadeusz Mieczyński/materiały prasowe Orlen; Shutterstock

eprasa.pl b1262a55b7

GOSIA NEALON*

Łączniczka z Long Island

Mieszka w Nowym Jorku, a pisze o wojennej Warszawie. Mówi: Jestem Polką, więc historia mojego kraju jest dla mnie bardzo ważna. Amerykańscy czytelnicy często zaznaczają w recenzjach, że po przeczytaniu moich książek dowiadują się takich rzeczy o losach Polski, o których zupełnie nie wiedzieli. To nadaje sens mojemu pisaniu.

Pierwszą książkę – „The Last Sketch" – wydałam we wrześniu 2021 r. Dzięki temu, że spodobała się czytelnikom i zdobyła złoty medal na początku 2023 r., wyd. Bookouture (jest częścią Hachette) wypuściło ją z nowym tytułem i okładką. Teraz właśnie ta książka ukazała się w Polsce jako „Kochając wroga. Tajemnice łączniczki" (Wyd. Znak).

Główna część powieści rozgrywa się w 1944 r. Powstanie warszawskie całkowicie zmienia życie moich bohaterów. Wątki powstańcze rozwinęłam też w kolejnych książkach.

Nie urodziłam się w Warszawie. Prawie cały research zrobiłam w internecie. Zresztą z przyjemnością, bo stolicę darzę szczególnym sentymentem.

Moim ulubionym pisarzem jest Stefan Żeromski. W liceum przeczytałam wszystkie jego książki, a także „Dzienniki". Zawsze chciałam odwiedzić Park im. Stefana Żeromskiego na Żoliborzu. Z tego powodu Wanda mieszka właśnie w tej dzielnicy. Uwielbiam również Łazienki Królewskie, więc i moja bohaterka chętnie spędza w nich czas. Oryginalna okładka mojej pierwszej książki ma w tle amfiteatr w Łazienkach.

Dorastając, słyszałam dużo wojennych opowieści. Prababcia była niezwykle dzielną kobietą i postać łączniczki Wandy Odwagi została zainspirowana właśnie nią. Jeśli chodzi o Finna [rozdzielonego w dzieciństwie z bratem bliźniakiem Stefanem, w czasie wojny niemieckim oficerem – przyp. red.], wymyśliłam go, podobnie jak fabułę książki, lecz historie zasłyszane w domu miały ogromny wpływ na moje postrzeganie wojny.

Jestem zachwycona polskim tłumaczeniem „Kochając wroga". Pan Antoni Górny idealnie oddał klimat powieści i to, w jaki sposób chciałam ją czytelnikowi przekazać.

Do tej pory wydałam w języku angielskim trzy książki i podpisałam kontrakt na kolejne trzy (premiera czwartej jest przewidziana na sierpień 2024 r.). Są dostępne (w formatach: paperback, ebook i audiobook) na Amazonie na całym świecie (najwięcej w Stanach, Anglii, Kanadzie i Australii), a także w wersji drukowanej w innych sklepach.

„Kochając wroga" (ang. „Her Secret Resistance") jest pierwszą częścią cyklu. Kolejne tomy to „The Resistance Wife" i „Daughter of the Resistance". Mam nadzieję, że również ukażą się po polsku.

Urodziłam się i wychowałam niedaleko Łomży, w małej miejscowości otoczonej pięknymi lasami. Studiowałam w Olsztynie. Do Nowego Jorku wyjechałam w 2005 r., dwa dni po obronie pracy magisterskiej. Planowałam powrót po roku, ale spotkałam obecnego męża i zostałam na dobre.

Mieszkam na Long Island. Rodzinnie chętnie odwiedzamy Central Park – moje dzieci uwielbiają jeździć tam na łyżwach. Ja uwielbiam przedstawienia na Broadwayu. Szczególnym miejscem w NY jest dla nas American Museum of Natural History, gdzie fantastycznie spędzają czas starsi synowie (Jakub i Jacek – lat 14 i 7, najmłodszy, Jordan, ma rok).

Kiedy przyjeżdżamy do Polski, staramy się zatrzymać na chwilę w Warszawie, przejść się po Starówce i Łazienkach. W stolicy rozgrywa się spora część akcji mojej kolejnej książki, ale zabieram czytelników też do Krakowa i pod Białystok.

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

**Pisarka, autorka powieści „Kochając wroga. Tajemnice łączniczki"*

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl b1262a55b7

SŁODKO-SŁONY

Sezam smaku

ANNA MONICKA

Pierwsze spotkanie? W dzieciństwie dostałam sezamki. Były pyszne, lepsze niż wszystkie cukierki. I tak trudne do zdobycia, że nieudolnie próbowałam sama zrobić te ciasteczka z siemienia lnianego i karmelizowanego na patelni cukru.

Drugie odkrycie sezamu nastąpiło wiele lat później – przez kilka miesięcy mieszkałam w Izraelu, a tam jest w kuchni wszechobecny, to przecież jeden z głównych składników humusu, pasty z ciecierzycy i mielonych na krem prażonych ziarenek, czyli tahini. Jada się jej dużo na tamtych terenach, słynie z niej kuchnia libańska. Humus dodaje się do falafeli, pieczonych papryk, bakłażanów, oliwek albo zajada z pitą i pachnącą, pyszną oliwą. Przez kilka miesięcy jadłam humus codziennie, każdy znajomy robił go inaczej, dodawał swoje tajne składniki, niektórzy kupowali gotową tahini, inni przygotowywali ją sami. U nas w tamtym czasie była to kompletna egzotyka, podobnie jak uliczne stoiska, na których do późnych godzin nocnych można było zjeść napchane warzywami i humusem kanapki, a tak było w Tel Awiwie.

Prażonym sezamem posypywano sałatki, steki smażone z polanych oliwą i posypanych curry kalafiorów (genialne), bułeczki faszerowane serem, zupy kremy, grillowane ryby. Chałwa też zawdzięcza smak złotym oleistym nasionom oraz karmelowi, słonecznikowa nie jest tak delikatna. Olej tłoczony z podprażonych pestek w genialny sposób nadaje głębię sosom i zupom, zwłaszcza rybnemu bulionowi, ale kilka kropli warto dodać nawet do zwykłej kartoflanki. Zakochałam się w tym smaku i często do niego wracam.

Ostatnio przyjaciółka uraczyła mnie chałwowym sernikiem – był niezwykły. A inna opowiedziała mi o musie z tahini i sosu sojowego, który zamienia różne zwykłe dania, np. makarony czy modne ostatnio burgery, w wybitne doświadczenie kulinarne. Zaciekawiła mnie do tego stopnia, że następnego dnia po spotkaniu ruszyłam do sklepów z orientalną żywnością, by uzupełnić zapasy.

Porządną tahini można kupić już bez problemu, do tego ocet ryżowy, sos sojowy, olej sezamowy, czosnek, sok z cytryny, odrobina startego imbiru, na czubek noża chili i woda. Proporcje zależą od tego, co polewamy. Ja upiekłam blachę warzyw, więc wzięłam dwie duże łyżki pasty sezamowej i doprawiałam ją po trochu, aż uznałam, że sos jest już dobry. Koleżanka nie przesadziła z zachwytami.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Olsza czarna

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Olsza czarna (*Alnus glutinosa*) to drzewo dorastające do wysokości 25 m i 80 cm pierśnicy (czyli średnicy mierzonej na wysokości 1,3 m – pomiar stosowany w leśnictwie). Pień ma prosty, a jego przebieg jest wyraźnie wykształcony, jak u drzew iglastych, dlatego w przypadku olszy jako jedynego z drzew liściastych o pniu mówi się „strzała" (jak u świerka czy jodły), a nie „kłoda" (jak u buka czy dębu).

Olsza czarna jest związana z terenami nizinnymi i wyżynami, w górach zastępuje ją olsza szara. Preferuje gleby wilgotne, a także tereny zalewowe i obszary z wodą stagnującą, na których tworzy bardzo interesujące przyrodniczo siedlisko bagiennego olsu.

Na korzeniach olszy żyją symbiotyczne bakterie, pomagające drzewu przyswajać wolny azot atmosferyczny, a w zamian korzystające z odżywczych cukrów wytwarzanych przez drzewo podczas asymilacji. Olsze rosnące wzdłuż brzegów rzek wytwarzają korzenie schodzące pod wodę do dna, a u góry wznoszące się jak szczudła. Swoim wyglądem i rolą jako schronienie ryb oraz innych wodnych stworzeń przypominają gęstwinę korzeni tropikalnych namorzynów.

Owoce olszy to drobne szyszeczki, skrywające niewielkie nasiona. Są one ulubionym pokarmem wielu gatunków ptaków – stanowią m.in. podstawowe pożywienie stad zimujących czyżyków i czeczotek. Te drugie przybywają do nas w zimie z dalekiej północy. Z powodu miękkiego drewna ułatwiającego kucie olsze czarne są chętnie zasiedlane przez pięknie ubarwione dzięcioły zielone, z kolei parę tygodni temu obserwowałem kującą w pniu suchej olszy samicę dzięcioła czarnego.

Z węgla drzewnego z drewna olszy czarnej robi się najlepszy proch strzelniczy o dużej mocy, a na palach z olszyny jest zbudowana Wenecja. Zdobywając teren pod budowę republiki, Wenecjanie wykorzystali cechę drewna olszy, które w warunkach beztlenowych – pod wodą lub w przesyconym wodą mule – zachowuje trwałość i wytrzymałość przez setki lat. Utwardzali więc grunt, wbijając olszowe pale głęboko, aż sięgnęły stabilnego podłoża i bardzo gęsto: dziewięć na m^2. Na taką podstawę sypano warstwy kamieni i żwiru, a po ustabilizowaniu wznoszono budowle.

Pobrano przez 5b7262a55b7

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Zatrzymać psucie państwa

www.wojciechreszczynski.pl

Niezwykle trafne słowa ks. prof. Waldemara Chrostowskiego zamieszcza pismo „Wiara, Patriotyzm, Sztuka" krakowskiego wydawnictwa „Biały Kruk". „Nie od dzisiaj wiadomo, że aby ludzi zmienić i nimi rządzić, to trzeba ich zepsuć i obalić najważniejsze autorytety".

Obserwowaliśmy to wieloletnie psucie za PRL, jak i w III RP, lecz głównie wtedy, gdy Platforma Obywatelska uznała się za „totalną opozycję", a może nawet wcześniej, po przegranych przez Donalda Tuska wyborach prezydenckich w 2005 r. To był dla niego szok, gdyż wygrał w pierwszej turze, a przegrał w drugiej. Lech Kaczyński zdobył wtedy 8,2 mln głosów, o 1 mln więcej od Donalda Tuska. W 2007 r. prezydent Kaczyński desygnował Tuska na premiera, a dwa lata później lider PO podsumował swoją walkę z głową państwa, twierdząc publicznie, że prezydent nie jest mu do niczego potrzebny. Psucie państwa, dzielenie obywateli wkroczyło na kolejne, niebezpieczne tory. Ta destrukcja nie ustała nawet po tragicznej śmierci Lecha Kaczyńskiego w Smoleńsku w 2010 r. Ponownie wzmogła się po przegranych przez Bronisława Komorowskiego z Andrzejem Dudą wyborach prezydenckich w 2015 r. i zwycięstwie parlamentarnym Prawa i Sprawiedliwości. Zaciekłość, z jaką opozycja pozbawiona większości władzy w państwie walczyła z rządem i prezydentem, nakręcał Donald Tusk po swoim powrocie z Brukseli w 2022 r.

Po przejęciu władzy przez koalicję 13 grudnia konflikt polityczny w Polsce wkroczył w nową, ostrą fazę. Wrogiem premiera Tuska i obecnej większości sejmowej stał się jak dawniej prezydent RP. Koalicjant Tuska, stary komunista Leszek Miller, twierdzi dziś, że należy zlikwidować urząd prezydenta, który „nie jest potrzebny, a może się dostać w takie ręce, jakie teraz widzimy". Miller może mówić co chce, gdyż stoi za nim europejska i światowa liberalna lewica. Prezentuje ona ten sam pogląd na sprawy polskie co Tusk. W „Washington Post" ukazał się artykuł, w którym oskarża się PiS o zniszczenie demokracji, pogardę dla pluralistycznej demokracji, dyktaturę i nepotyzm. „PiS poobsadzał swoich ludzi w sądach, prokuraturze, państwowych mediach, banku centralnym", dlatego „Tusk zdaje sobie sprawę, że ma do czynienia z próbą zbudowania przez siły Kaczyńskiego systemu dwuwładzy". Tak też sądzą wyborcy Tuska i wszyscy zwolennicy koalicji ośmiu gwiazdek, wychowani na propagandzie TVN. Dla partii Tuska i jego koalicjantów państwo prawa jest wtedy, kiedy oni rządzą. Dogmat jak za czasów komuny.

Tak oto niszczenie demokracji w Polsce znajduje swoje usprawiedliwienie, a winnym staje się ofiara, a nie sprawca łamania prawa. Łupem rządu stają się przejęte siłą media publiczne, które jak za pierwszego i drugiego rządu Tuska przemilczają niewygodną prawdę i bezczelnie kłamią. Wobec jawnego łamania prawa przez rząd Tuska sądy stanęły teraz przed wielką próbą. Znaczna część trzeciej władzy, która popierała dawną opozycję, ma dziś chyba świadomość jawnego łamania prawa przez obecną ekipę. I zapewne zdaje sobie sprawę, że ulegając bezprawiu, doprowadza Polskę do kompletnej anarchii. W sposób nielegalny, za sprawą ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego Adama Bodnara, jest przejmowana prokuratura. Tu także następuje dramatyczny podział tej instytucji. Okazuje się, że zakończona ułaskawieniem przez prezydenta RP batalia o uwolnienie z więzienia Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika nie przesądza o ich powrocie do ław sejmowych. Co więcej, premier Tusk wygraża posłom, zapowiadając ich dalsze ściganie i karanie.

Na naszych oczach pod pretekstem przywracania praworządności jawnie jest łamana konstytucja. Władza za nic ma opinie wielu uznanych konstytucjonalistów, w tym prof. Ryszarda Piotrowskiego, który zwraca uwagę, że konstytucja przyjęta w referendum w 1997 r. jest ciągle najwyższym prawem w Polsce i musi być przestrzegana. „I żadna teza, że »nie ma praworządności dla przeciwników praworządności«, »nie ma wolności dla wrogów wolności«, »nie ma demokracji dla wrogów demokracji» – nie ma miejsca w demokratycznym państwie prawa" – twierdzi profesor.

Z tym, że można zmieniać prawo, nie łamiąc konstytucji, nie może się zgodzić prof. Adam Strzembosz, obrońca komunistycznych sędziów, który swoimi wypowiedziami od lat napędza konflikt polityczny w Polsce. Najwyraźniej on też nie może pogodzić się, że za sprawą PiS (jak pewnie sądzi) nie pozwolono mu startować w wyborach prezydenckich w 1995 r. Dziś uważa, że „nie ma możliwości stworzenia konstytucji, która obroni się przed siłą". To pogląd z repertuaru prawniczego pozytywizmu. Ma tę samą wartość, co wypowiedzi sprzed lat prof. Małgorzaty Gersdorf, byłej pierwszej prezes Sądu Najwyższego, dla której suwerenem jest konstytucja, a nie naród polski. Dziś nie broni tej konstytucji, jak i ci wszyscy, którzy wycierali sobie nią gęby, tworząc fałszywy przekaz o łamaniu prawa przez PiS.

A wśród lewicowych agend szykowanych do procedowania przez Sejm czeka już projekt ustawy o mowie nienawiści. Nowelizując Kodeks karny, rządzący będą chcieli ograniczyć wolność słowa i zastraszyć polskich obywateli. Protestujmy!

eprasa.pl b1262a55b7

2 mld zł od Europejskiego Banku Inwestycyjnego

na inwestycje w dystrybucję w Grupie Enea

Umowa kredytu inwestycyjnego, której pierwsza transza w wysokości 1 mld zł została przyznana spółce pod koniec 2023 r., przewiduje finansowanie rozwoju i modernizacji sieci dystrybucyjnej Enei Operator. Inwestycje zwiększą niezawodność oraz bezpieczeństwo dostaw energii elektrycznej, będą wspierać odpowiedzialną transformację energetyczną Grupy Enea i rozwój odnawialnych źródeł energii w północno-zachodniej Polsce.

Zgodnie z założeniami Strategii Rozwoju Grupa Enea aktywnie uczestniczy w procesie transformacji polskiego sektora elektroenergetycznego, konsekwentnie realizując projekty, których celem jest zeroemisyjność oraz wspierająca ten cel rozbudowa i dostosowanie infrastruktury dystrybucyjnej do dynamicznie rozwijającej się energetyki rozproszonej.

– Konsekwentnie inwestujemy miliardy złotych na rozbudowę naszego portfela zeroemisyjnych źródeł wytwarzania energii, które w przyszłości mają zapewnić tanią i bezpieczną dla środowiska energię elektryczną. To proces wymagający nie tylko czasu, lecz także ogromnych środków przeznaczonych właśnie na modernizację sieci dystrybucyjnej, która jest fundamentem dalszego rozwoju OZE. Odpowiedzialna transformacja Grupy Enea opiera się na tych dwóch filarach – wyjaśnia Paweł Majewski, prezes Enea S.A. – Pozyskane od EBI finansowanie zostanie przeznaczone na modernizację i budowę sieci energetycznych średniego i niskiego napięcia, podłączenie do sieci nowych klientów i nowych mocy wytwórczych OZE czy instalację inteligentnych liczników – dodaje.

Fot. Materiały prasowe

Enea sfinalizowała transakcję z Europejskim Bankiem Inwestycyjnym (EBI), pozyskując łącznie 2 mld zł kredytu na inwestycje w obszarze dystrybucji

Współfinansowane przez EBI inwestycje w zakresie rozwoju i modernizacji sieci dystrybucyjnej Grupy Enea obejmą lata 2023–2025 i będą realizowane w północno-zachodniej Polsce, w województwach wielkopolskim, zachodniopomorskim, lubuskim i kujawsko-pomorskim.

– Europejski Bank Inwestycyjny niezmiennie angażuje się w realizację programu RePowerEU, którego celem jest zmniejszenie uzależnienia od importu energii i transformacja europejskiego sektora energetycznego w stronę zrównoważonego rozwoju. Wsparcie finansowe udzielone Enei jest niezbędne dla przyspieszenia transformacji i dekarbonizacji polskiego sektora energetycznego, który ma jakże istotny wpływ na rozwój gospodarczy kraju – podkreśla Teresa Czerwińska, wiceprezes EBI.

Pozyskanie kapitału finansowego na inwestycje w obszarze dystrybucji przyczyni się do utrzymania wysokiej jakości usług oraz pozwoli na zwiększenie potencjału sieci Enei Operator do przyłączania nowych OZE i ich integrację z siecią. Na koniec 2022 r. do sieci Enei Operator było przyłączonych ponad 151 tys. OZE o łącznej mocy ponad 4,3 GW. Tylko w trzech kwartałach 2023 r. do systemu dystrybucyjnego w północno-zachodniej Polsce firma przyłączyła ponad 18 tys. nowych zielonych źródeł, a ich moc przekroczyła 1,1 GW.

Artykuł sponsorowany | 30/1223/F

eprasa.pl b1262a55b7

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Rewolucja prostaków

Aleksander Nalaskowski

W zasadzie jest mi obojętne, jak kto siebie nazywa. Czy mówi o sobie narodowiec, konserwatysta, socjaldemokrata czy liberał, to i tak poznaję go po działaniu, po sposobach, do których się ucieka w realizacji celów. Na tej podstawie, lecz na własny użytek, wyławiam z grona osób publicznych wszelkiej maści lewicowców, czyli, odwołując się do potocznego żargonu, komuchów. Nie trzeba mieć komunistycznej przeszłości, można mieć nawet opozycyjną, nie trzeba mieć taty w SB czy mamy w PZPR, nie trzeba mieć doktoratu uzyskanego w Sowietach, aby być komuchem. Tutaj bowiem decyduje nade wszystko czynnik psychospołeczny, kreujący indywidualne i zbiorowe prostactwo, chamstwo, żulię oraz gburowatość. Aby być lewicowcem, trzeba być nade wszystko prostakiem.

O lewicy można powiedzieć bodaj wszystko, ale nie da się jej określić mianem „subtelny". Subtelna czy taktowna lewica to zwykły oksymoron, niezaistniały w żadnych realiach. Dla lewicy nie istnieją inne środki perswazji niż pała. Może to być grupa „silnych ludzi", może to być pała ewidentnego kłamstwa, może to być cham minister kultury czy buc minister sprawiedliwości albo minister środowiska o kurzym mózgu. Wszystko to jest funkcją pały, czyli przemocy rozlanej po naszym kraju.

Subtelna czy taktowna lewica to zwykły oksymoron, niezaistniały w żadnych realiach. Dla lewicy nie istnieją inne środki perswazji niż pała

Nie dajmy się zwieść pozorom. Ubrany w drogi garnitur (z wewnętrzną kieszenią na torebeczki foliowe), mówiący nienaganną polszczyzną minister czy też facet z doktoratem medycznym, a nawet z prawniczą habilitacją też może być – a jakże często bywa! – prostakiem. A prostak nie wychyli się poza swoje prostactwo. Elokwencja i tytuły nie rugują prostactwa. Tutaj świeci przykładem prof. Wojciech Sadurski. To wcale niejedyny reprezentant sojuszu tytułu naukowego z bezbrzeżnym prostactwem.

Pałą prostactwa można walić w konstytucję, można walić w prezydenta, w Kościół, w ludzi zasłużonych i z dorobkiem. Tęczową pałą można wymuszać miłość i szacunek dla wszelkich odmieńców oraz wynosić ich na spiżowe cokoły. Jakie to wszystko brudne, pozbawione dobrego smaku i minimalnej troski o zwykłą przyzwoitość!

Prostactwo nie tylko ma twarz Hartwig, Krzywonos czy Petru. Jak bardzo prostackim aktem było mianowanie mocno ograniczonego Kołodziejczaka wiceministrem rolnictwa czy Gawkowskiego wicepremierem albo Śmiszka wiceministrem (nie bardzo jednak wiem od czego). Taka personalna pała uderza w zdrowy rozsądek i okruchy zaufania do rządzących.

Nikt mi nie wmówi, że manifestująca w trakcie Eucharystii swoje chore poglądy Scheuring-Wielgus nie dokonała czynu na wskroś prostackiego. Ale od tej niewiasty nie można wszak wiele wymagać. Siebie nie przeskoczy. Czy stojąca tyłem do mównicy, polskiego godła i krzyża Krzywonos nie dała popisu prostactwa? Czy Jachira ze swoimi licznymi odzywkami i filmowymi klipami nie okazała się prostaczką o mentalności kramarki? Czy bufonowaty Hołownia nie trąci prostactwem? A Żukowska? A Komorowski „gotujący bigos" i stający na krześle w japońskim parlamencie? A Nowacka, dyletantka od edukacji?

Wszyscy, których tu wymieniłem, a mógłbym podać znacznie więcej przykładów, to mniej lub bardziej świadomi lewicowcy. Nawet jeśli tak o sobie nie mówią ani nie myślą, to są neokomuchami, owocami i użytkownikami pał.

I jeszcze na koniec główny pałkarz i komuch – Donald. Onże dał popis prostactwa, zabierając się za naprawianie szwajcarskiego zegarka kilofem. Tak mniej więcej działa. Bierze odwet na Polsce za to, że nie chciała go wybrać jako prezydenta, że osiem lat temu przegrał wybory, że ktoś miał czelność mieszać jego rodzinę w aferę Amber Gold, że ogólnie w Brukseli był pionkiem i nie zrobił błyskotliwej kariery. Zemsta jest szczególnym objawem prostactwa emocjonalnego i intelektualnego. To konserwatyści szukają dialogu, wierzą w konstytucję i prawo. Lewicowcy w nic nie wierzą, bo ich myślenie jest ledwie horyzontalne i na pewno nie wertykalne. Ich dialogiem zawsze i w trakcie każdej rewolucji były gilotyna, pała, terror. Polska jest właśnie w trakcie takiej rewolucji. Tylko bolszewicy są gdzieś indziej, ale mamy już swojego Lenina, który też wrócił z zagranicy, a on ma swojego Dzierżyńskiego od specjalnych zadań. Jakie to wszystko prostacko okrutne.

Ale przeżyjemy i to. A jak przeżyjemy, to będziemy mocniejsi i w końcu zapędzimy komuchów tam, gdzie ich miejsce – na śmietnik historii.

eprasa.pl b1262a55b7

Michał Korsun prezentuje:* *Nowy format lektur według ministry edukacji Barbary Nowackiej

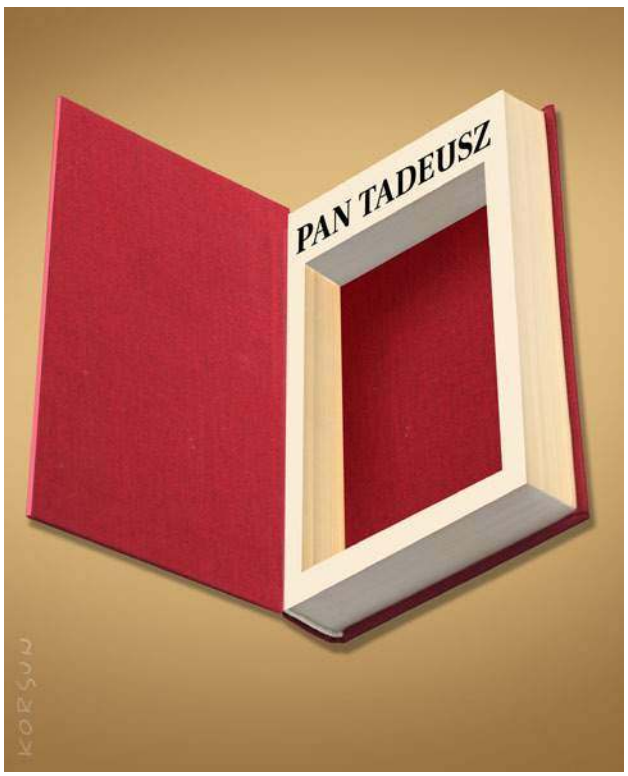

Wycinki z przeszłości

Kino popularne wraca do postaci Tadeusza Kościuszki, przypomnijmy zatem w naszym kąciku fragment doskonałego opisu tego bohatera autorstwa Feliksa Konecznego z wydanej w 1917 r. pracy „Tadeusz Kościuszko. Na setną rocznicę zgonu naczelnika. Życie – czyny – duch".

„Jeżeli w nieszczęściu trudniej utrzymać godność własną, a tem bardziej powierzoną sobie godność narodu, dokonał Kościuszko dzieła jak najtrudniejszego; nigdy chyba nie wypadło żadnemu bohaterowi działać na tle nieszczęść większych, groźniejszych, a powszechniejszych. Czasy rozbiorów, doba ostatecznego upadku państwa polskiego, wykreślenie królestwa polskiego z mapy politycznej Europy – oto, na co Kościuszko musiał patrzeć, to są wspomnienia i doświadczenie jego życia. Przepełnienie goryczą to cecha jego czasów; a gorycz to była najgorsza, bo rodząca się z upadku, na który daremnie szukano ratunku. [...] Nam zabrano państwowość, lecz nie zdołano wydrzeć z nas ducha, i my rośliśmy duchowo nawet bez własnego państwa, szerzyliśmy i rozwijali polskość, nie dbając o to, że nie ma królestwa polskiego na mapie, nosząc je w duszy.

[...] Jest więc Kościuszko bohaterem Polski nie upadającej, lecz odradzającej się. To pochodnia rozpraszająca ciemności i wskazująca nowe a świetlane drogi ku mocy i potędze".

(mk)

Fantazja styczniowa

(czyli wspomnienie – przypomnienie czasów, kiedy w styczniu bywały jeszcze stycznie...)

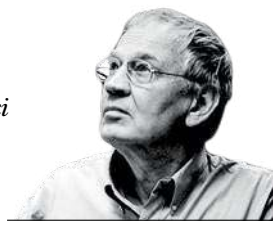

Leszek Długosz

Biało, biało
Głęboko, wysoko
Prawie już się stykają zaspy i obłoki
Cóż, styczeń...
Gdzie nie spojrzysz przez okno
Biały szkwał światem sunie
Zaciągnięty horyzont szeroko

A tu w oczach zachwycenie?
Srebrna zamieć, olśnienie
Od źrenicy do źrenicy
Cóż, styczeń

U framugi okiennej stań rychło
Ze mną patrz synchronicznie
Chryzantemy i lilie
Mróz na szybie jak wije
Tnie z fantazji przeczystej
Srebrnoszkliste, przejrzyste
Czarodziejstwo to zwykłe

Zwykle, może niezwykle
Z czarodziejstwem tak zwykle
Kiedy styczeń jest styczniem
I herbata, gdy jaka?
Wonność z dalekiego świata
Mocnym łykiem podbita
Więc namiętnie gorąca
Z okowitą gdy pita

I niedziela, cóż ona
Leciuteńko wstawiona jak muzyka Mozarta
Rozmarzona upływa
W tej fantazji przyokiennej
(Przyokienno styczniowej)
W styczniu bywa, no bywa...
I gdy jeszcze ktoś obok
Lub na odwrót przy „ktosiu" no kto?

Świat za szybą drży cały
W turbulencji śnieżnobiałej
A tu w głębi ciepły piec, cichy port
Noo...
No... i co?

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

Dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl b1262a55b7

OD A DO ZYBERTOWICZ

Rzecznicy złej zmiany

Dziś obaj profesorowie zachowują się tak, jakby unieważnili etos, na straży którego niegdyś stali. Doszli do etapu: moim etosem antyPiS

Kolejny tydzień i kolejny stosik nowych numerów różnych czasopism leży na stole w kuchni. Wybieram trzy tygodniki. Patrzę na ich okładki. Twarze profesorów Andrzeja Zolla i Adama Bodnara. Obaj byli Rzecznikami Praw Obywatelskich – Zoll w latach 2000–2006, Bodnar 2015–2021.

„Państwo nie może ustąpić" – z okładki „Tygodnika Powszechnego" woła taka deklaracja Zolla. Z kolei „Newsweek" eksponuje Adama Bodnara jako „Jokera Tuska". I chwali: „z żelazną konsekwencją i siłą spokoju usuwa miny i zasieki, jakie PiS zostawiło nowej władzy, by zapewnić sobie bezkarność". Kontrastuje to z tygodnikiem „Do Rzeczy", który ocenia tak: „W imieniu bezprawia. Minister sprawiedliwości Adam Bodnar szuka jakiejś podstawy prawnej".

Niebagatelny jest fakt, że obaj bohaterowie okładek piastowali urząd ważny dla obywateli. Urząd z ducha ponadpolityczny, pełen otwartości na pluralizm poglądów, dystansu w ocenie postaw i działań obywateli, wreszcie dużej empatii. Dziś obaj profesorowie zachowują się tak, jakby unieważnili etos, na straży którego niegdyś stali. Doszli do etapu: moim etosem antyPiS.

Zaczynam lekturę od wywiadu z byłym RPO Andrzejem Zollem. Dziennikarze „TP" pytają o chaos prawny, który zafundowała Polakom nowa władza. Profesor prawa zagadnięty o opinię na temat kontrowersyjnych działań ministra Sienkiewicza mówi, że nie chce być „egzaminowany" z „konstruktu prawnego, na jakim oparł się minister" i skromnie dodaje: „kodeks handlowy nie jest moją domeną". Redaktorzy stwierdzają: „Nowa władza miała przywrócić wysokie standardy rządzenia, a telewizję odzyskała z naruszeniem prawa", na to profesor z rozbrajającą szczerością: „Pierwszy krok zrobiła rzeczywiście po bandzie". I wydaje się tym w ogóle nie przejmować, bo jego zdaniem media publiczne „odgrywały okropną rolę", i to „w szczególnej sytuacji, w której spory procent kraju nie miał pełnego dostępu do wszystkich stacji telewizyjnych". Sprawdzam więc w internecie. Od ręki mam informacje, że już w 2017 r. ponad 98 proc. Polaków dzięki multipleksom miało dostęp do różnych stacji, w tym TVN i Polsatu.

Trudno mi to ująć inaczej, jak skutek zapadnięcia na syndrom antyPiS, tak samo jak pomijanie tego, że zasadniczym źródłem informacji dla coraz większej części Polaków wcale nie są już telewizje, lecz internet. Były RPO ma całkiem prostą radę dla większości sejmowej na wypadek ewentualnej „obstrukcji" posłów PiS w Sejmie: wyprowadzić ich z pomocą Straży Marszałkowskiej. Zdumieni dziennikarze reagują: „Prawie 200 ludzi?! Trzeba by wezwać posiłki policyjne". A rozmówca na to: „Jak się inaczej nie da, trzeba wezwać policję na pomoc".

Drugi były RPO Adam Bodnar to, jak wiadomo, obecnie minister sprawiedliwości i prokurator generalny. Tego polityka „Newsweek" prezentuje niczym szeryfa: „Przekonał do siebie Tuska, bo udowodnił, że ma plan na reformę wymiaru sprawiedliwości i będzie dłubał tak długo, aż znajdzie sposób na ludzi Ziobry". I jest to, proszę państwa, podsumowanie misji kogoś, do kogo całkiem niedawno zwracali się Polacy jako do ponadpolitycznego ombudsmana w sprawach naruszania ich praw, wolności i godności.

Tymczasem po drugiej stronie rzeczywistości. Publicysta Łukasz Warzecha w działaniach i słowach ministra Bodnara dostrzega raczej „politycznego bolszewika". I chyba z żalem stwierdza: „rolę człowieka od brudnej roboty [...] przyjął na siebie prawnik, który nie musiał tego robić [...] miał swój dorobek i pozycję"; niestety wybrał drogę na skróty.

Dwóch prawników, kiedyś stojących po stronie obywateli, starających się chronić etos wspólnotowy, dziś zaangażowało się w logikę przemocowych rozwiązań, poważnie okaleczających demokrację. Jeden realizuje (Bodnar), a drugi legitymizuje (Zoll) złą zmianę, wciągającą Polaków w pętlę „logiki wojny, czyli sytuacji, kiedy każdy atak jest odpowiedzią na atak przeciwnika, a w konsekwencji po pewnym czasie trudno jest odróżnić, kto jest napastnikiem, a kto ofiarą". To słowa Adama Bodnara jako Rzecznika Praw Obywatelskich.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 4/0124/F

eprasa.pl b1262a55b7

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy, że jesteście z nami. To z myślą o Was co tydzień przygotowujemy nowe wydanie „Sieci", abyście mogli:

- wygodnie śledzić najważniejsze informacje z Polski i ze świata,
- czytać ekskluzywne wywiady z najważniejszymi postaciami polskiej polityki, biznesu, nauki i sztuki,
- poznawać mocne i wyraziste opinie redakcji, analizy ekspertów i komentarze naszych publicystów.

Zachęcamy do wykupienia prenumeraty dla siebie albo bliskiej osoby. Dzięki wsparciu naszych Prenumeratorów będziemy mogli nadal publikować wysokiej jakości materiały oraz dbać o rzetelność i patriotyzm w polskiej publicystyce.

Życzymy dobrej lektury każdego numeru tygodnika „Sieci"!

Serdecznie pozdrawiamy,
Zespół tygodnika „Sieci"

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
109 zł	189 zł	349 zł

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na poczcie:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty: .....

.....

(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota: .....

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 349 zł)

eprasa.pl b1202a55b7

18+

Czy wiesz, jaki jest
ULUBIONY SPORT
POLAKÓW?

LOTTO

Aleksandra Mirosław
rekordzistka i dwukrotna mistrzyni
świata we wspinaczce na czas

Graj w punktach LOTTO i na
lotto.pl